

**RICHARD BACHMAN
(STEPHEN KING)**

Wielki marsz

Przełożył
Paweł Korombel

W mych oczach Wszechświat był wyzbyty Życia, Celu, Woli, nawet Wrogości; była to jedna przeogromna, martwa, niezmierzona Maszyna Parowa, kręcąca się z martwą obojętnością, aby mnie zmiażdżyć, kończyła po kończyźnie. O rozległa, ponura, samotna Golgota, o Fabryko Śmierci! Czemu Żywi byli skazani na twoje progi w samotności, świadomi? Czemu, jeśli nie ma diabła; chyba że diabeł jest naszym Bogiem?

Tomasz Carlyle

Zachęcam każdego Amerykanina do jak najczęstszych intensywnych spacerów. To nie tylko zdrowe, to frajda.

John F. Kennedy (1962)

*Pompa wysiadła.
Bo łobuzy dźwignię zwinęli.*

Bob Dylan

Część pierwsza

Start

Rozdział pierwszy

Zgadnij hasło i wygraj sto dolarów. George, kto jest naszym pierwszym uczestnikiem? George...? Jesteś tam?

Groucho Marx
You Bet Your Life

Tamtego rana wystużony niebieski ford, przypominający umęczoną zziąjaną psinę po długim biegu, wjechał na strzeżony parking. Jeden ze strażników, młody człowiek o twarzy pozbawionej wyrazu, w mundurze koloru khaki z koalicijką, zażądał okazania karty identyfikacyjnej. Chłopak na tylnym siedzeniu podał ją matce, matka strażnikowi. Strażnik wrzucił kartę do końcówki komputerowej, dziwnie nie na miejscu w tej wiejskiej głuszy. Komputer połknął identyfikator i rzucił dane na ekran:

GARRATY RAYMOND DAVIS
DROGA NR 1 POWNAL STAN MAINE
NR IDENTYFIKATORA 49—801—89
OK—OK—OK

Strażnik nacisnął przycisk i wszystko znikło, ekran komputerowy znów opustoszał, zielony i gładki. Strażnik dał znak przejazdu.

— A co z kartą? — spytała pani Garraty. — Nie oddadzą nam?

— Nie, mam — rzekł cierpliwie Garraty.

— No, mnie się to nie podoba — powiedziała zajmując miejsce parkingowe. Mówiła to, od kiedy wyruszyli w ciemnościach o drugiej w nocy. Tak faktycznie to nie mówiła. Jęczała.

— Nie martw się — rzekł machinalnie.

Był spięty, pełen lęku. Wysiadł, jeszcze zanim samochód zarzęził astmatycznie po raz ostatni — wysoki, dobrze zbudowany chłopak w spranej wojskowej kurcie roboczej chroniącej przed porannym wiosennym chłodem. Dochodziła ósma.

Matka Garraty'ego również była wysoka, ale za chuda, niemal bez biustu. Jej oczy, błędzące i niepewne, wyrażały strach. Twarz miała zniszczoną, mysie włosy potargane mimo mnóstwa spinek mających utrzymać je w ryzach. Ubranie wisiało na niej, jakby straciła ostatnio dużo na wadze.

— Ray — powiedziała konspiracyjnym szeptem, od którego skóra mu ścięła. — Ray, słuchaj...

Pochylił głowę i udawał, że wpycha koszulę do spodni. Strażnik zajadał mielonkę z puszki i czytał komiks. Garraty przyglądał mu się i nie wiedzieć który raz pomyślał: To wszystko dzieje się naprawdę. Wreszcie ta myśl zaczęła nabierać nieco znaczenia.

— Wciąż jest czas, żebyś zmienił zdanie... Strach i napięcie jeszcze się wzmogły.

— Nie, nie ma już czasu — powiedział. — Wycofać się można było do wczoraj.

— Zrozumieją — ciągnęła tym samym głosem konspiratorki, którego nienawidził. — Na pewno zrozumieją. Major...

— Major... — zaczął Garraty i zobaczył, że matka kuli ramiona. — Wiesz, co major by zrobił, mam.

Następny samochód przeszedł kontrolę przy wjeździe i zaparkował. Wysiadł z niego czarnowłosy chłopak z rodzicami. Naradzali się niczym baseballiści w trudnym momencie meczu. Chłopak miał lekki plecak. Garraty zaczął żałować, że nie zabrał swojego.

— Nie zmienisz zdania?

Dreńczyło ich poczucie winy, poczucie winy tylko udające niepokój. Chociaż Ray Garraty miał tylko szesnaście lat, wiedział już co nieco o winie. Matka zdawała sobie sprawę, że jest zbyt wycieńczona, a może tylko zbyt zajęta rozpamiętywaniem wieloletnich zgryzot, by w zarodku położyć kres szaleństwu syna, zanim połknie go skomplikowana maszyna państwa z jego strażnikami w mundurach koloru khaki i końcówkami komputerowymi. Jeszcze do wczoraj mogła syna powstrzymać. Teraz już nie.

Położył dłoń na jej ramieniu.

— To mój pomysł, mamó, nie twój. Ko... — Rozejrzał się wkoło. Nikt nie zwracał na nich uwagi. — Kocham cię, ale tak będzie najlepiej.

— Nie, nie będzie najlepiej — powiedziała, tłumiąc szloch. — Ray, gdyby twój ojciec tu był, powstrzymałby...

— No, ale go nie ma, prawda? — Był brutalny, bo nie chciał oglądać jej łez. A jeśli będą musieli odciągać ją siłą? Podobno tak się czasem zdarza.. Struchlał na tę myśl. — Niech już tak zostanie, mamó, dobrze? — dodał łagodniej, z wymuszonym uśmiechem. — Dobrze — odpowiedział za nią.

Podbródek nadal jej drżał, ale skinęła głową. Trudno. Nic nie mogła na to poradzić.

Lekki wiatr westchnął wśród sosen. Niebo miało barwę czystego błękitu. Droga prowadziła prosto jak strzełił, kamienny słupek wyznaczał granicę amerykańsko—kanadyjską. Napięcie stało się nie do zniesienia, przerosło lęk. Niech się wreszcie zacznie!

— Upiekłam je dla ciebie. Możesz to wziąć? Nie są za ciężkie? — Wcisnęła mu w rękę owiniętą folią ciasteczka.

Objął ją niezręcznie, starając się dać jej to, czego tak bardzo potrzebowała. Ucałował ją w policzek. Jej skóra była w dotyku jak sprany jedwab. O mało sam się nie rozplakał, ale zobaczył w myślach uśmiechniętą, wąsatą twarz majora i cofnął się, wsuwając ciastka do kieszeni kurtki.

— Do widzenia, mamó.

— Do widzenia, Ray. Spraw się dzielnie.

Stała tak jeszcze przez chwilę i miał wrażenie, że jest bardzo lekka, nawet słaby poranny wietrzyk mógłby porwać ją daleko niczym puch dmuchawca. Wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Pomachała dłonią na pożegnanie. Teraz płakała. Widział to. Też jej pomachał, a kiedy wyjeżdżała z parkingu, stał nieruchomo, opuściwszy ręce — dumny, odważny, samotny. Ale gdy matka wyjechała za bramkę, poczuł się zagubiony. Zwykły szesnastolatek, zupełnie sam w obcej okolicy.

Odwrócił się ku drodze. Ciemnowłosego chłopak patrzył za odjeżdżającymi rodzicami. Miał na policzku szpetną bliznę. Garraty podszedł, by się przywitać.

Brunet spojrział na niego.

— Cześć.

— Ray Garraty — powiedział Ray, czując się trochę jak palant.

— Peter McVries.

— Jesteś gotów? — spytał Garraty. McVries wzruszył ramionami.

— Raczej zdenerwowany. To najgorsze.

Garraty skinął głową.

Podeszli do drogi i granicznego słupka. Za ich plecami zajeżdżały inne samochody. Nagle jakaś kobieta zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć. Garraty i McVries nieświadomie przysunęli się bliżej siebie. Żaden się nie obejrzał. Przed nimi była droga, szeroka i czarna.

— Do południa ta kompozytowa nawierzchnia się nagrzej—je — powiedział nagle McVries. — Będę trzymał się pobocza.

Garraty skinął głową. McVries przyjrzał mu się z zastanowieniem.

— Ile ważysz?

— Osiemdziesiąt.

— Ja osiemdziesiąt trzy i pół. Mówią, że ciężsi goście wysiadają szybciej, ale coś mi się zdaje, że podłapałem formę.

Garraty ocenił, że Peter McVries wygląda nawet jeszcze lepiej — wygląda tak, jakby podłapał niesamowitą formę. Zastanawiał się również, kto mówi, że ciężsi goście wysiadają szybciej. Już miał o to zapytać, ale zrezygnował. O marszu nie mówiło się wprost, obrósł apokryfami, legendą.

McVries siadł w cieniu, nieopodal kilku innych chłopaków i po chwili Garraty usiadł przy nim. Wyglądało na to, że McVries kompletnie przestał zwracać na niego uwagę. Garraty zerknął na zegarek. Pięć po ósmej. Pięćdziesiąt pięć minut do startu. Zniecierpliwienie i lęk wróciły. Starał się opanować, wmawiając sobie, że dobrze mu się siedzi, póki pozwalają.

Chłopcy siedzieli w grupkach i samotnie; jeden wspiał się na najniższą gałąź sosny przy drodze i coś jadł, chyba kanapkę z marmoladą. Był chudy i jasnowłose, miał na sobie fioletowe spodnie i niebieską roboczą koszulę pod starym zielonym swetrem, zapinanym na zamek błyskawiczny, wytartym na łokciach. Garraty zastanawiał się, czy chudzielcy będą się trzymać, czy szybko się wypalą.

W pobliżu rozmawiało kilku chłopaków.

— Ja się nie spieszę — mówił jeden z nich. — Czemu miałbym się spieszyć? Jak dostanę upomnienie, to co? Po prostu trzeba się dostosować, i tyle. Zapamiętajcie to sobie. — Rozejrzał się, dostrzegł Garraty'ego i McVriesa. — Następne barany na rzeź. Jestem Olson Hank, król chodu na bank. — Rzekł to bez cienia uśmiechu.

Garraty przedstawił się pierwszy, potem McVries — z roztargnieniem, nie odrywając oczu od drogi.

— Jestem Art Baker — cicho odezwał się ktoś inny. Mówił przez nos, cedził słowa. Zapewne południowiec.

Cała czwórka wymieniła uściski dłoni. Na chwilę zaległa cisza i McVries powiedział:

— Trochę straszno, no nie?

Wszyscy pokiwali głowami, tylko Hank Olson wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Garraty przyglądał się, jak chłopak na sośnie kończy kanapkę, zwija papier w kulkę i ciska na pobocze. Ten się szybko wypali, uznał. To poprawiło mu trochę nastrój.

— Widzicie tę płamę przy słupku? — nagle odezwał się Olson.

Wszyscy tam popatrzyli. Wiatr gonił chmury i ich cienie przemykały w poprzek drogi. Garraty nie był pewien, czy coś widzi, czy nie.

— To po Wielkim Marszu z przedostatniego roku — oświadczył z ponurą satysfakcją Olson. — Szczył tak się wystraszył, że zwyczajnie go usztywniło o dziewiątej.

Rozważali ten koszmar w milczeniu.

— Ani drgnął. Zaliczył trzy upomnienia i o dziewiątej dwie dostał czerwoną kartkę. Właśnie tam przy słupku startowym.

Garraty zastanawiał się, czyjego też usztywni. Chyba nie, ale to była jedna z tych niewiadomych, które objawią się, dopiero gdy przyjdzie czas, i to było straszne. Dlaczego Hank Olson przypomniał takie okropieństwo?

Nagle Art Baker wyprostował się.

— No i jest.

Przy słupku zahamował dżip piaskowego koloru. Za nim, znacznie wolniej, sunęła półgąsienicówka. Z przodu i z tyłu miała czasy radarów wyglądające jak zabawki. Na pancerzu byczyli się dwaj żołnierze. Garraty poczuł lód w brzuchu. Byli uzbrojeni w wojskowe karabiny dużego kalibru.

Niektórzy chłopcy wstali, ale nie Garraty. Olson i Baker również ani drgnęli. McVries tylko rzucił okiem na pojazdy i znów pograżył się w myślach. Chudzielec na sośnie powoli machał nogami.

Z dżipa wysiadł major. Był wysoki, prosty jak trzcina, opalony na brąz, co znakomicie pasowało do prostego munduru khaki. U boku pasa z koalicijką miał pistolet i nosił lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Plotka głosiła, że major ma oczy niezwykle wrażliwe na światło i nigdy nie wychodzi bez ciemnych szkieł.

— Siądźcie, chłopcy — powiedział. — Nie zapominajcie o wskazówce numer trzynaście.

Wskazówka numer trzynaście głosiła: „Oszczędzaj energię, kiedy się da”.

Stojący usiedli. Garraty znów popatrzył na zegarek. Ósma szesnaście, zapewne spieszył się o minutę. Major zawsze był punktualny. Garraty przez chwilę rozważał cofnięcie wskazówki, ale zrezygnował.

— Nie zamierzam wygłaszać żadnej mowy — rzekł major, omiatając ich niewidocznym spojrzeniem zza czarnych szkieł. — Gratuluję temu spośród was, który zwycięży, pozostałym gratuluję odwagi.

Odwrocił się do dżipa. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Garraty odetchnął głęboko. Zapowiadał się gorący dzień, dobry dzień na marsz.

Major trzymał w dłoni jakieś papiery.

— Po wywołaniu nazwiska proszę wystąpić i odebrać swój numer. Potem wracacie na miejsca i czekacie. Proszę, zróbcie to sprawnie.

— Teraz jesteś w wojsku — szepnął Olson, szczerząc zęby, ale Garraty go zignorował. Nie mógł nie podziwiać majora. Ojciec Garraty'ego, zanim zabrał go Patrol, często powtarzał, że major to najbardziej niebezpieczny potwór, socjopata wspierany przez społeczeństwo. Ale nigdy nie zetknął się z majorem osobiście.

— Aaronson.

Wystąpił krępy wiejski chłopaczek z opalonym na czerwono karkiem; był onieśmiałony, nogi mu

drżały. Odebrał dużą plastikową jedynkę i przypiął do koszuli. Major klepnął go po plecach.

— Abraham.

Wysoki rudzielec w dzinsach i podkoszulku. Obwiązana w pasie kurtka płatała mu się wokół kolan. Olson parsknął szyderczo.

— Baker, Arthur.

— To ja — powiedział Baker i wstał. Poruszał się ze zwodniczą powolnością. Garraty poczuł dreszcz. Ten zapowiadał się na twardą sztukę. Zapowiadał się na takiego, co długo wytrzyma.

Baker wrócił. Przypiął trójkę do koszuli, na wysokości piersi.

— Powiedział ci coś? — spytał Garraty.

— Pytał mnie, czy w moich okolicach zaczęły się już upały — powiedział wstydliwie Baker. — No, on... major zagadał do mnie.

— Gorszy upał zacznie się tutaj — zaskrzeczał Olson.

— Baker, James — powiedział major.

Trwało to do ósmej czterdzieści. Nikt się nie wycofał. Na parkingu zawarczały silniki samochodów — wyjeżdżali chłopcy z listy rezerwowej, by zdążyć na telewizyjną relację z Wielkiego Marszu. Zaczyna się, pomyślał Garraty. Naprawdę się zaczyna.

Kiedy przysła jego kolej, major dał mu numer czterdzieści siedem i krótko życzył powodzenia. Z bliska wyglądał bardzo męsko i władczo. Garraty miał wielką chęć dotknąć go i przekonać się, czy jest żywy.

Peter McVries był sześćdziesiąty pierwszy. Hank Olson siedemdziesiąty. Rozmawiał z majorem dłużej od pozostałych. Major roześmiał się na jakąś odżywkę Olsona i klepnął go w plecy.

— Powiedziałem mu, niech trzyma kupę forsy na podorędziu — zwierzył się Olson po powrocie. — I on powiedział mi, że bym wam pokazał, jak wygląda piekło. Powiedział, że lubi, jak ktoś rwie się innym do gardeł. Pokaż im, jak wygląda piekło, chłopcze, powiedział.

— Bardzo dobrze — skwitował to McVries i puścił oko do Garraty'ego, który zastanawiał się, o co mu chodzi. Nabija się z Olsona?

Chudzielec drzewołaz nazwał się Stebbins. Odebrał numer ze zwieszoną głową, nie odzywając się słowem do majora, po czym wrócił i usiadł wsparty o pień. Garraty nie wiedział czemu, ale nie mógł od niego oczu oderwać.

Setka to był rudy facet, cały pryszczaty. Nazywał się Zuck. Dostał numer i usiadł. Wszyscy czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

Trzech żołnierzy rozdało szerokie pasy z kieszeniami na prowiant — wysokokaloryczne koncentraty. Inni żołnierze rozdali manierki, które trzeba było przypiąć do pasów. Olson zwiesił swój pas nisko na biodrach, jak rewolwerowiec, wyciągnął baton czekoladowy i zaczął pałaszować. Popił czekoladę tykiem z manierki. Garraty zastanowił się, czy Olson rżnie bohatera, czy też może wie o czymś, o czym on, Garraty, nie ma pojęcia.

Major omiół ich surowym wzrokiem. Garraty zerknął na zegarek i ścisnęło go boleśnie w żołądku. Ósma pięćdziesiąt sześć. Jakim cudem zrobiło się tak późno?

— W porządku, wiara, ustawcie się dziesiątkami. Nie obowiązuje żaden porządek. Jak chcecie, zostańcie z przyjaciółmi.

Garraty wstał. Był zdętwiały, tak jakby jego ciało należało do kogoś innego.

— No i ruszamy — powiedział stojący obok McVries. — Powodzenia wszystkim.

— Powodzenia — rzekł zaskoczony Garraty.

— Przydałby mi się psychiatra, cholera — powiedział McVries. Nagle zbladł, czoło miał zroszone potem, przestał imponować formą. Próbował się uśmiechnąć, ale na próżno. Blizna odznaczała mu się na policzku jak wykrzyknik.

Stebbins wstał i powłókł się na koniec szerokiej na dziesięć chłopaków, głębokiej na dziesięć chłopaków grupy. Olson, Baker i Garraty stali w trzecim rzędzie. Garraty miał sucho w ustach. Czy powinien napić się trochę wody? Zdecydował, że nie. Nigdy w życiu nie był świadomy faktu, że ma nogi. Zastanawiał się, czy mu zeszywnieją, odmówią posłuszeństwa i czy na starcie dostanie czerwoną kartkę. Zastanawiał się, czy Stebbins wysiądzie wcześniej — Stebbins z jego kanapką z marmoladą i fioletowymi spodniami. Zastanawiał się, czy on sam wysiądzie pierwszy. Zastanawiał się, jak to jest, kiedy...

Ósma pięćdziesiąt dziewięć.

Major patrzył na kieszonkowy chronometr z nierdzewnej stali. Podniósł wolno dłoń i świat

zamarł w oczekiwaniu. Stu chłopaków obserwowało go uważnie. Cisza była okropna i bezmierna. Cisza była wszystkim.

Zegarek Garraty'ego wskazywał punkt dziewiątą, ale uniesiona ręka nie opadła.

Opuść! — rozkazywał mu w myślach. Opuść, bo zacznę wrzeszczeć.

Potem przypomniał sobie, że jego zegarek spieszy się minutę — mógł nastawić swój zegarek wedle majorowego, tyle że zapomniał.

Major opuścił rękę.

— Życzę wszystkim powodzenia — powiedział. Twarz miał bez wyrazu, lustrzane okulary zakrywały mu oczy. Ruszyli powoli, nie rozpychając się.

Garraty szedł. Nerwy go nie usztywniły, nie usztywniły nikogo. Minął słupek defiladowym krokiem, McVries pò lewej, Olson po prawej. Tupot nóg był bardzo głośny.

Naprzód marsz! Naprzód marsz! Naprzód marsz!...

Nagle poczuł szaloną chęć, by się zatrzymać. Tylko się przekona, czy oni traktują to serio. Odrzucił tę myśl z oburzeniem i lekkim przestradchem.

Wyszli z cienia na słońce, ciepłe wiosenne słońce. Garraty odprężył się, wsadził ręce do kieszeni i trzymał się McVriesa. Grupa zaczęła się rozciągać, każdy znajdował własną długość kroku i tempo. Transporter podzwaniał wzdłuż drogi, wzbijając kurz. Małe czasy radarów kręciły się jak najęte, monitorując szybkość każdego uczestnika marszu za pomocą wymyślnego komputera. Minimalna prędkość wynosiła dokładnie sześć kilometrów na godzinę.

— Upomnienie! Osiemdziesiątkaósemka, upomnienie!

Garraty drgnął, obejrzał się. To Stebbins. Stebbins ma numer osiemdziesiąt osiem. Nagle poczuł pewność, że Stebbins dostanie czerwoną kartkę właśnie tu, kiedy słupek startowy jest jeszcze w zasięgu wzroku.

— Spryciarz — odezwał się Olson.

— Co? — spytał Garraty. Z trudem poruszał językiem.

— Łapie upomnienie, kiedy jest jeszcze świeży, i wyczuwa graniczną szybkość. A potem łatwo je zaciera... przejdzie godzinę na czysto i nie ma upomnienia. Wiesz przecież.

— Pewnie że wiem — potwierdził Garraty. Była taka zasada w regulaminie. Dawali ci trzy upomnienia. Jak za czwartym razem zszedłeś poniżej sześciu na godzinę, to... no, to jesteś skreślony. Ale jak zaliczyłeś trzy upomnienia i udało ci się przejść trzy godziny cacy, to znów jesteś czysty jak łąka.

— No i on teraz sprawdził swoje tempo — powiedział Olson. — A o dziesiątej dwie konto znów będzie miał czyste.

Garraty szedł dobrym tempem. Czuł się świetnie. Słupek startowy zniknął z oczu, kiedy wspięli się na wzgórze i zaczęli schodzić długą, obsadzoną sosnami doliną. To tu, to tam widzieli świeżo zaorane zagony.

— Coś mi się zdaje, że to ziemniaki — powiedział McVries.

— Najlepsze na świecie — dorzucił automatycznie Garraty.

— Jesteś z Maine? — spytał Baker.

— No, z południa.

Podniósł wzrok. Kilku chłopaków oderwało się od głównej grupy, wyciągając może dziewięć kilometrów na godzinę.

Dwaj z nich nosili identyczne skórzane kurtki, z czymś na plecach co wyglądało na orla. Garraty'ego kusiło, by przyspieszyć, ale nie dał się ponaglić. „Oszczędzaj energię, kiedy się da” — wskazówka numer trzynaście.

— Droga leci gdzieś koło twojego domu? — spytał McVries.

— Jakies dziesięć kilometrów obok. Matka i moja dziewczyna chyba wyjdą mnie zobaczyć. — Przerwał i dodał powoli: — Oczywiście, jeśli będę jeszcze maszerował.

— Do diabła, nim tam dojdziemy, nie zostanie nas i dwudziestu pięciu — powiedział Olson.

Po tych słowach zamilkli. Garraty wiedział, że to nieprawda, i myślał, że Olson też o tym wie.

Dwaj inni dostali upomnienia, za każdym razem Garraty'emu podskoczyło serce. Obejrzał się na Stebbinsa. Ciągłe włókił się z tyłu i mordował następną kanapkę z marmoladą. Z kieszeni swetra sterczała trzecia kanapka. Garraty zastanawiał się, czy zrobiła je matka Stebbinsa, i pomyślał o ciastkach, która dała mu jego matka — wcisnęła mu je jak talizman, jakby odganiała złe duchy.

— Czemu nie pozwalają ludziom oglądać startu? — zdziwił się na głos.

— Żeby nie osłabiać koncentracji zawodników — odpowiedział ktoś ostro.

Garraty odwrócił głowę. To był drobny, smagły chłopak z numerem pięć przyczepionym do kołnierza kurtki. Garraty nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska.

— Koncentracji? — powtórzył.

— Tak. — Tamten przyspieszył i znalazł się obok Garraty'ego. — Major powiedział, że należy się maksymalnie skupić i w spokoju zacząć Wielki Marsz. — Odruchowo przycisnął kciukiem czubek orlego nosa. Wyrastał tam czerwony pryszcz. — Zgadzam się z tym. Podniecenie, tłumy, telewizja, wszystko potem. Teraz potrzeba nam tylko skupienia. — Piwnymi oczami przyjrzał się Garraty'emu i powtórzył: — Skupienia.

— Ja to skupiam się tylko na tym, żeby podnosić i stawiać giry. To proste, jakbym zrywał i zaliczał dziwy — rzekł Olson.

Piątka sprawiała takie wrażenie, jakby ton Olsona ją raził.

— Musisz znaleźć swoje tempo. Musisz się skupić na sobie. Musisz mieć plan. Przy okazji, jestem Gary Barkovitch. Mieszkam w Waszyngtonie, Dystrykt Columbia.

— Jestem John Carter — odparł Olson. — Mieszkam w bufecie, planeta Mars.

Barkovitch zacisnął usta z pogardą i został w tyle.

— Chyba wszędzie znajdzie się jakiś świr — powiedział Olson.

Lecz Garraty myślał, że Barkovitch kombinuje całkiem dobrze — myślał tak, dopóki jeden ze strażników nie zawołał jakieś pięć minut później:

— Upomnienie! Piątka, upomnienie!

— Kamyk wpadł mi do buta! — zaprotestował rozdrażniony Barkovitch.

Żołnierz zeskoczył z transportera i stanął na poboczu naprzeciwko Barkovitcha. W ręce trzymał chronometr z nierdzewnej stali, zupełnie taki sam jak majora. Barkovitch przystanął i zdjął but. Wytrząsnął z niego kamyczek. Nie zwrócił uwagi, kiedy żołnierz zawołał: „Piątka, drugie upomnienie!”, tylko starannie naciągnął skarpetkę na stopę.

— Oho — powiedział Olson. Wszyscy odwrócili się i szli tyłem.

Stebbins, nadal na szarym końcu, minął Barkovitcha, nie patrząc na niego. Teraz Barkovitch był całkiem sam, lekko na prawo od białej linii, sznurował but.

— Piątka, trzecie upomnienie. Ostateczne upomnienie.

Garraty czuł coś w brzuchu, jakby kleistą kulkę flegmy. Nie chciał patrzeć, ale nie potrafił oderwać wzroku. Idąc tyłem, nie oszczędzał energii, ale na to też nie mógł nic poradzić. Niemal fizycznie czuł, jak mijają sekundy.

— Rany boskie — odezwał się Olson. — Ten buc dostanie czerwoną kartkę.

Ale wtedy Barkovitch się podniósł, spokojnie otrzepał nogawki i truchtem dopędził grupę. Minął Stebbinsa, który nie spojrział na niego również teraz, i zrównał się z Olsonem.

Uśmiechnął się szeroko, oczy mu błyszczały.

— Widzisz? Zrobiłem sobie odpoczynek. To wszystko zgodne z moim planem.

— Może tak ci się wydaje — powiedział Olson głosem wyższym niż zwykle. — Ja widzę tylko, że zarobiłeś trzy upomnienia. Za marne półtorej minuty musisz iść trzy... pieprzone... godziny. Po co był ci odpoczynek? Dopiero wystartowaliśmy!

Barkovitch wyglądał na urażonego. Popatrzył na Olsona płonąącym wzrokiem.

— Jeszcze zobaczymy, kto pierwszy dostanie czerwoną kartkę, ja czy ty. To wszystko jest w moim planie.

— Twój plan i substancję, którą wydalą dupą, łączy podejrzane podobieństwo — rzekł Olson.

Baker zachichotał, a Barkovitch parsknął i oddalił się. Olson jeszcze mu dołożył na do widzenia.

— Tylko nie potknij się, koleś. Nie dostaniesz upomnienia. Po prostu...

Barkovitch nawet się nie obejrzał i zniechęcony Olson umilkł.

Na zegarku Garraty'ego była dziewiąta trzynaście (jednak cofnął go o minutę), kiedy dżip majora wspiął się na wzgórze, którym właśnie zaczęli schodzić. Przejechał innym poboczem niż transporter. Major podniósł do ust megafon.

— Mam przyjemność oświadczyć, chłopcy, że skończyliście pierwsze półtora kilometra waszej podróży. Chciałbym wam również przypomnieć, że najdłuższy odcinek pokonany przez całą grupę uczestników Wielkiego Marszu wynosi jak dotąd jedenaście kilometrów. Mam nadzieję, że wy się bardziej postaracie.

Dżip ruszył zrywem. Olson zdawał się rozważać te wieści ze zdumieniem, a nawet przestrawem.

Nie przeszli nawet tuzina kilometrów, pomyślał Garraty. Nigdy by sobie tego nie wyobraził. Nie spodziewał się, że ktokolwiek — nawet Stebbins — dostanie czerwoną kartkę wcześniej niż po południu. Pomyślał o Barkovitchu. Jemu wystarczyło tylko zwolnić raz poniżej wymaganej szybkości w ciągu najbliższej godziny.

— Ray? — To był Art Baker. Zdjął płaszcz i przerzucił go przez ramię. — Jest jakiś szczególny powód, że się zgłosiłeś?

Garraty odpiął manierkę i łyknął wody. Była zima i smaczna. Na górnej wardze została mu kropelka, zlizął ją. Fajnie było cieszyć się takimi drobiazgami.

— Tak naprawdę to nie wiem — wyznał szczerze.

— Ani ja. — Baker zamyślił się na chwilę. — Biegałeś w szkole?

— Nie.

— Ani ja. Ale to chyba nie ma znaczenia, co? Zwłaszcza w tej chwili.

— Tak, w tej chwili nie — potwierdził Garraty.

Rozmowa utknęła. Przechodzili przez małą miejscowość z wiejskim sklepem i stacją paliwową. Przed stacją dwóch starsuszków siedziało na krzesłach ogrodowych, przyglądało się chłopcom spod opadłych powiek. Na stopniach sklepu młoda kobieta uniosła synka, by lepiej widział. Kilka starszych dzieciaków odprowadzało ich zazdrosnym wzrokiem.

W grupie zaczęto się głośno zastanawiać, jaki dystans przebyli. Rozeszła się wieść, że wysłano drugi transporter, do pilnowania chłopaków z przodu... znikli teraz całkiem z oczu. Ktoś powiedział, że tamci robią dziesięć kilometrów na godzinę. Ktoś inny powiedział, że piętnaście. Ktoś stwierdził autorytatywnie, że gość z czołówki oklapł i dostał dwa upomnienia. Garraty zastanawiał się, dlaczego go nie doszli, jeśli to miała być prawda.

Olson skończył baton czekoladowy, który napoczął przed startem, i wypił trochę wody. Inni również jedli, ale Garraty zdecydował, że zaczeka, aż będzie naprawdę głodny. Słyszał, że koncentraty są całkiem niezłe. Astronauci dostają je w kosmosie.

Niewiele po dziesiątej minęli znak: LIMESTONE 15 KM. Garraty pomyślał o jedynym Wielkim Marszu, który ojciec pozwolił mu obejrzeć. Pojechali do Freeport. Matka wybrała się z nimi. Piechurzy byli zmęczeni, mieli wpadnięte oczy, ledwo reagowali na wiwaty i kiwające się tablice z napisami. Kibice zagrzewali do marszu swoich faworytów, na których postawili zakłady. Ojciec powiedział mu później, że tamtego dnia ludzie ustawili się od Bangor. W północnej części stanu nie było tak ciekawie, droga została całkowicie odgradzona — pewnie po to, żeby zawodnicy mogli się skupić, jak powiedział Barkovitch. Ale teraz wiele zmieniło się na lepsze.

Wtedy we Freeport maszerowali już siedemdziesiątą drugą godzinę. Garraty miał dziesięć lat i był wniebowzięty. Major wygłosił mowę do tłumu, gdy chłopcy mieli jeszcze siedem i pół kilometra do miasta. Zaczął od współzawodnictwa, przeszedł do patriotyzmu i zakończył czymś, co się nazywało produkt narodowy brutto — Garraty się wystraszył, bo według niego „brutto” znaczyło coś groźnego, jak brutalne zachowanie. Zjadł sześć hot—dogów i kiedy wreszcie zobaczył nadchodzących zawodników, popuścił siusiu w spodenki.

Jeden z chłopców krzyczał. To było najbardziej wyraziste wspomnienie. Za każdym razem, kiedy stawiał stopę, krzyczał: „Nie mogę! Nie mogę! Nie mogę! Nie mogę!”. Ale szedł dalej. Wszyscy szli i wkrótce ostatni minął Garraty’ego, który był trochę zawiedziony, że nie udało mu się zobaczyć, jak ktoś dostaje czerwoną kartkę. Nigdy więcej nie pojechali na Wielki Marsz. Później tej samej nocy Garraty słyszał ojca wydzierającego się do telefonu, jak mu się to zdarzało, kiedy się upił albo politykował, a matka konspiracyjnym szeptem

błagała, żeby przestał, zanim ktoś podniesie słuchawkę telefonu towarzyskiego.

Garraty popił jeszcze wody i zastanowił się, jak Barkovitch sobie radzi.

Teraz mijali większe skupiska zabudowań. Przed domami ludzie siedzieli całymi rodzinami, uśmiechali się, machali rękami, pili coca—cole.

— Garraty — powiedział McVries. — Rany, patrz, co ci się dostało.

Śliczna, może szesnastoletnia dziewczyna w białej bluzce i kolarkach w biało—czerwoną szachownicę trzymała wielką tablicę.

TEMPO! TEMPO!
GARRATY NUMER 47
Kochamy cię, Ray, synu stanu Maine!

Garraty poczuł, jak serce rośnie mu w piersiach. Teraz wiedział, że wygra. Upewniła go ta nieznajoma dziewczyna.

Olson gwizdnął i po świńsku zaczął szturchać sztywnym palcem wskazującym w luźno zwiniętą pięść.

Do diabła ze wskazówką trzynastą! Garraty podbiegł na skraj drogi. Dziewczyna zobaczyła jego numer i zapiszczała. Rzuciła się na Garraty'ego i pocałowała go mocno. Garraty nagle się podniecił. Oddał pocałunek z ochotą. Dziewczyna dwa razy delikatnie wsadziła mu język do ust. Ledwo zdając sobie sprawę z tego, co robi, złapał dłonią jej pulchny pośladek i ścisnął łagodnie.

— Upomnienie! Czterdziestkasiódemka, upomnienie! Cofnął się i uśmiechnął szeroko.

— Dzięki.

— Och... och... nie ma sprawy! — Miała roziskrzzone oczy.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zauważył, że żołnierz otwiera usta, by udzielić mu drugiego upomnienia. Truchtem wrócił na swoje miejsce. Jednak czuł się trochę winny, że zlekceważył wskazówkę numer trzynaście.

Olson szczerzył zęby w uśmiechu.

— Za coś takiego zgodziłbym się na trzy upomnienia.

Garraty nie odpowiedział. Szedł tyłem, machając dziewczynie. Kiedy znikła mu z oczu, odwrócił się i zaczął iść równym krokiem. Godzina do zatarcia upomnienia. Musi uważać i nie dostać następnego. Ale czuł się dobrze. Czuł się tak, jakby mógł przejść całą drogę do Florydy. Był w formie. Przyspieszył.

— Ray... — McVries się uśmiechał. — Po co ten pośpiech? Racja. Wskazówka numer sześć: „Wolno i spokojnie zrobisz swoje”.

— Dzięki.

McVries dalej się uśmiechał.

— Nie dziękuj mi za bardzo. Ja też jestem tu po to, żeby wygrać.

Garraty patrzył na niego zdezorientowany.

— Chodzi mi o to, żebyśmy się nie bawili w trzech muszkieterów — wyjaśnił McVries. — Co tu kryć, jesteś fajny gość i dziewczyny szaleją za tobą. Ale jak się przewrócisz, ja cię nie podniosę.

— Jasne. — Odpowiedział uśmiechem, ale to był wysilony uśmiech.

— Z drugiej strony — rzekł cicho, po swojemu Baker — możemy się postarać, żeby koledzy nie spuszczała nosa na kwintę. McVries uśmiechnął się znowu.

— Czemu nie?

Zbliżyli się do wzniesienia i przestali gadać, oszczędzając oddech. W połowie stoku Garraty zdjął kurtkę i przerzucił ją przez ramię. Niedługo potem minęli porzucony na drodze sweter. Ktoś tej nocy pożałuje, że się z nim rozstał, pomyślał Garraty. Kilku zawodników z czołówki traciło przewagę.

Garraty skupił się na podnoszeniu i stawianiu gir. Nadal czuł się dobrze. Czuł się silny.

Rozdział drugi

Teraz masz pieniądze, Ellen, i możesz je zatrzymać. Chyba że, oczywiście, chciałabyś wymienić je na to, co jest za kurtynką.

Monty Hall

Idź na całość

— Jestem Harkness. Czterdziestkadziewiątka. Ty jesteś Garraty. Czterdziestkasiódemka. Zgadza się?

Harkness nosił okulary i był ostrzyżony na rekruta. Twarz miał czerwoną, mokrą od potu.

— Zgadza — mruknął Garraty.

Harkness trzymał notatnik. Zapisał nazwisko i numer Garraty'ego. Pisał koślawo, litery wyskakiwały poza linię, w dół i do góry w rytm kroków. Wpadł na Colliego Parkera, który go sklął i powiedział, żeby uważał, gdzie idzie. Garraty opanował śmiech.

— Zapisuję nazwisko i numer każdego — powiedział Harkness.

Kiedy podniósł głowę, słońce, idące ku zenitowi, zaiskrzyło na szklach okularów i Garraty musiał zmrużyć oczy. Było w pół do jedenastej, dwanaście kilometrów do Limestone. Jeśli przez trzy kilometry nadal nikt nie odpadnie, pobiją rekord.

— Pewnie się zastanawiacie, dlaczego zapisuję nazwisko i numer każdego — rzekł Harkness.

— Jesteś w Patrolach — zaskrzeczał przez ramię Olson.

— Nie, zamierzam napisać książkę — odpowiedział grzecznie Harkness. — Kiedy to wszystko się skończy, zamierzam napisać książkę.

Garraty pokazał w uśmiechu zęby.

— Chcesz powiedzieć, że jeśli wygrasz, zamierzasz napisać książkę.

Harkness wzruszył ramionami.

— Podejrzewam, że tak. Ale książka o Wielkim Marszu, pisana z punktu widzenia uczestnika, przyniesie mi fortunę. McVries wybuchnął śmiechem.

— Jeśli wygrasz, nie będziesz potrzebował książki, żeby zdobyć fortunę, no nie?

Harkness zmarszczył czoło.

— Hm... chyba nie. Ale i tak coś mi się zdaje, że to byłaby kapitalna książka.

Szli dalej, Harkness ciągle spisywał nazwiska i numery. Większość podawała je chętnie, wykpiwając bestseller.

Przeszli dziewięć kilometrów. Rozeszła się wieść, że najpewniej pobiją rekord. Garraty zastanawiał się, czemu w ogóle miałyby im na tym zależeć. Im szybciej konkurencja odpadnie, tym większe szansę dla pozostałych. Podejrzewał, że to sprawa dumy. Usłyszał wiadomość, że na popołudnie są zapowiadane gwałtowne ulewy — pewnie ktoś miał ze sobą tranzystor. Nie była to pomyślna prognoza. Wczesna majowa ulewa to nie ciepły letni deszcz.

Szli dalej.

McVries szedł pewnie, z zadartą głową, lekko wymachiwał ramionami. Spróbował zejść na pobocze, ale grząski grunt go zniechęcił. Nie został upomniany, a jeśli plecak mu ciążył, nie dawał tego po sobie poznać. Wciąż przeszukiwał wzrokiem horyzont. Kiedy mijali nieliczne grupki ludzi, machał im dłonią i uśmiechał się po swojemu, zaciskając wąskie usta. Nie okazywał zmęczenia.

Baker ledwo unosił stopy nad ziemią, człapał na ugiętych nogach, jakby mu na niczym nie zależało. Machał bez celu płaszczem, uśmiechał się do ludzi pokazujących go palcami i czasem pogwizdywał cicho. Wygląda jak ktoś, kto może iść wiecznie, myślał Garraty.

Olson nie odzywał się już tak wiele i co chwila podkurczał nogę. Garraty za każdym razem słyszał trzask stawu kolanowego. Sztywnieje, nie ma co, pomyślał. Dziewięć kilometrów marszu robi swoje. Chyba jedna z jego manierek jest prawie pusta. Niedługo będzie musiał się wysikać.

Barkovitch utrzymywał to samo rwane tempo — to był daleko przed główną grupą, jakby usiłował dobić do czołówki, to przy Stebbinsie. Zatarł jedno z upomnień i otrzymał je z powrotem pięć minut później. Garraty ocenił, że takie balansowanie na krawędzi nicości go rajcuje.

Stebbins szedł wciąż sam. Nie odzywał się do nikogo. Garraty zastanawiał się, czy Stebbins nie odczuwa samotności ani zmęczenia. Nadal uważał, że tamten szybko wysiądzie — może pierwszy — chociaż nie wiedział, dlaczego tak myśli. Stebbins zdjął stary zielony sweter i niósł ostatnią kanapkę w ręce. Twarz miał jak maskę.

Szli dalej.

Drogę przecinała inna, policjanci zatrzymywali ruch. Salutowali każdemu uczestnikowi Wielkiego Marszu i paru chłopców, pewnych bezkarności, zagrało im na nosie. Garraty tego nie pochwalał. W odpowiedzi na saluty kiwał głową, zastanawiając się, czy policjanci nie uważają ich wszystkich za szaleńców.

Samochody trąbiły. Jakaś kobieta wrzasnęła do syna. Zaparkowała przy drodze, najwyraźniej chcąc się upewnić, że jej chłopiec nadal idzie.

— Percy! Percy!

Zawodnik numer trzydzieści jeden spiekł raka, a potem pomachał bez zapału i zwiększył tempo, schyliwszy trochę głowę. Kobieta usiłowała wybiec na drogę. Strażnicy na transporterze zeszytnieli, ale jeden z policjantów złapał ją za ramię i łagodnie powstrzymał. Droga skręciła i skrzyżowanie znikło z oczu.

Przeszli przez drewniany most. Mały strumyk bulgotał w dole. Garraty zbliżył się do balustrady i przez chwilę widział na wodzie zniekształcone odbicie własnej twarzy.

Minęli znak: LIMESTONE 10 KM, a potem falujący transparent z napisem: LIMESTONE Z

DUMĄ WITA UCZESTNIKÓW WIELKIEGO MARSZU. Garraty obliczył, że niecały kilometr dzieli ich od pobicia rekordu.

Rozeszła się wieść, tym razem o chłopcu nazwiskiem Curley, numer siedem. Curley okulał i już zaliczył pierwsze upomnienie. Garraty przyspieszył trochę, by zrównać się z McVriesem i Olsonem.

— Gdzie on jest?

Olson wskazał kciukiem chudego jak tyka chłopaka w niebieskich dżinsach. Curley usiłował zapuścić baczki. Baczki nie urosły. Jego szczupła, poważna twarz wyrażała ogromną koncentrację. Utykał na prawą nogę, tracił szybkość.

— Upomnienie! Siódemka, upomnienie! Curley zaczął narzucać sobie szybsze tempo. Dyszał. Tyle ze strachu, co z wysiłku, pomyślał Garraty. Sam zupełnie stracił poczucie czasu. Zapomniał o wszystkim z wyjątkiem Curleya. Obserwował jego zmagania, zdając sobie mglście sprawę, że to samo może go czekać za godzinę lub za dzień.

To była najbardziej fascynująca rzecz, jaką widział w życiu.

Curley wciąż zwalniał i kilku innych dostało upomnienia, zanim grupa zdała sobie sprawę, że zafascynowana dostosowuje swoją szybkość do niego. Znaczyło to, że Curley jest bardzo blisko krawędzi.

— Upomnienie! Siódemka, upomnienie! Siódemka, trzecie upomnienie!

— Noga mnie boli! — krzyknął ochryple Curley. — To nie fair, kiedy noga rozboli!

Był teraz blisko Garraty'ego. Jabłko Adama skakało mu w górę i w dół. Gorączkowo masował nogę. Biły od niego wyczuwalne fale paniki. Miała zapach dojrzałej, świeżo rozciętej cytryny.

Garraty go wyprzedził i zaraz potem Curley wykrzyczał:

— Dzięki Bogu! Mija!

Nikt się nie odezwał. Garraty poczuł niechęć i rozczarowanie. To pewnie było nikczemne, niesportowe, ale chciał widzieć, że ktoś dostaje czerwoną kartkę przed nim. Bo kto chce pierwszy zejść ze sceny?

Zegarek Garraty'ego wskazywał pięć po jedenastej. To zapewne znaczyło, że pobili rekord, licząc po szóstce kilometrów na godzinę. Wkrótce będą w Limestone. Zobaczył, że Olson znów mocno zgina to jedną, to drugą nogę w kolanie. Zdziwiony, sam tego spróbował. Stawy zatrzęszczały głośno i ze zdziwieniem odkrył, jak bardzo mu zeszytywniały. Na szczęście nie bolały go stopy. To było coś.

Minęli ciężarówkę mleczarza zaparkowaną na bocznej polnej drodze. Mleczarz siedział na masce. Pomachał im zyczliwie.

— Zapychajcie, chłopaki!

Garraty'ego nagle ogarnął gniew. Miał ochotę wrzasnąć: „Sam rusz swój tłusty tyłek i chodź z nami!”. Ale mleczarz miał ponad osiemnaście lat. Prawdę mówiąc, wyglądał na sporo po trzydziestce. Był stary.

— No, odsapka — zaskrzeczał nagle Olson i wzbudził kilka śmiechów.

Samochód mleczarza zniknął. Teraz do trasy dochodziło coraz więcej dróg, coraz więcej policjantów oraz ludzi trąbiących klaksonami. Ktoś rozrzucił konfetti. Garraty poczuł się ważny. Przecież nazwano go „synem stanu Maine”.

Nagle Curley krzyknął przeraźliwie. Garraty obejrzał się przez ramię. Curley zgiął się jak scyzoryk, trzymał za nogę i krzyczał. Niewiarygodne, ale szedł jakoś dalej, tyle że bardzo wolno. O wiele za wolno.

Od tej chwili wszystko rozegrało się powoli, jakby w zgodzie z tempem Curleya. Żołnierze z tyłu wolno toczącego się transportera unieśli broń. Kibice nabrali głośno powietrza, jakby nie wiedzieli, że taka jest kolej rzeczy, i uczestnicy Wielkiego Marszu nabrali głośno powietrza, jakby tego nie wiedzieli, i Garraty nabrał głośno powietrza, ale oczywiście wiedział, oczywiście wszyscy wiedzieli — to proste, Curley niebawem miał dostać czerwoną kartkę.

Metalicznie trzasnęły bezpieczniki. Chłopcy rozpięchli się jak przepiórki, byle dalej od Curleya, który nagle został sam na skąpanej słońcem drodze.

— To nie fair! — wrzasnął. — To po prostu nie fair!

Maszerujący chłopcy weszli w liściastą połać cienia. Niektórzy patrzyli w tył, niektórzy prosto przed siebie, bo lękali się to zobaczyć. Garraty patrzył w tył. Musiał widzieć. Kibice zamilkli, jakby ktoś po prostu ich wyłączył.

— To nie...

Wystrzeliły cztery karabiny. Głośny huk potoczył się jak kule w kręgielni, uderzył o wzgórze i

wrócił echem.

Kanciasta głowa Curleya znikła; bryznęła krew, kawałki mózgu, frunęły odłamki czaszki. Ciało upadło w przód na białą linię jak worek z pocztą.

Teraz dziewięćdziesięciu dziewięciu, pomyślał słabo Garraty. Dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa wisi na ścianie i kiedy jedna z tych butelek przypadkiem gruchnie na ziemię... Jezu!... O Jezu!...

Stebbins przestąpił przez ciało. Poślizgnął się trochę na krwi i robiąc następny krok, zostawił czerwony ślad, jak fotografia w piśmie „Zawodowy detektyw”. Nie popatrzył na to, co zostało z Curleya. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Stebbins, ty draniu! — pomyślał Garraty. Ty pierwszy miałeś się wykruszyć! Odwrócił głowę. Nie chciał dostać mdłości. Nie chciał wymiotować.

Kobieta obok volkswagena busa schowała twarz w dłoniach. Wydawała dziwne dźwięki i Garraty zorientował się, że spod sukienki widzi jej majtki. Niebieskie majtki. Nie wiadomo czemu znów był podniecony. Łysy tłuszcioch wpatrywał się w Curleya i gorączkowo tarł brodawkę za uchem. Oblizywał grube wargi i tarł brodawkę. Nadal wpatrywał się w ciało Curleya, kiedy mijał go Garraty.

Szli dalej. Garraty zorientował się, że znów idzie z Olso—nem, Bakerem i McVriesem. Zbili się ciasno razem, chyba w samoobronie. Patrzyli prosto przed siebie, z twarzami bez wyrazu. Echo strzałów wciąż jeszcze wisiało w powietrzu. Garraty nie przestawał myśleć o krwawym odcisku tenisówki. Zastanawiał się, czy Stebbins nadal zostawia ślad, już odwracał głowę, by to sprawdzić, ale powiedział sobie, żeby nie robił z siebie głupca. Zastanawiał się, czy Curley bolało. Zastanawiał się, czy Curley poczuł wchodzące w cel pociski, czy też w jednej chwili żył i w następnej już był martwy.

Oczywiście, bolało. Bolało wcześniej, w najgorszy, szarpiący sposób, kiedy już wiadomo, że zaraz cię nie będzie, a wszechświat będzie toczył się i tak, niewzruszony.

Rozeszła się wieść, że zrobili prawie czternaście kilometrów, zanim Curley zaliczył czerwoną kartkę. Podobno major był rozanielony. Garraty zastanawiał się, jak ktokolwiek mógł wiedzieć, do diabła, gdzie major się podziewa.

Nagle obejrzał się, żeby zobaczyć, co zrobiono z ciałem Curleya, ale minęli kolejny zakręt. Curleya nie było już widać.

— Co masz w plecaku? — nagle spytał McVriesa Baker. Wysilał się na konwersacyjny ton, ale głos miał wysoki i piskliwy, niemal łamiący się.

— Świeżą koszulę — powiedział McVries. — I parę surowych kotletów siekanych.

— Surowe kotlety... — Olson wywalił język, jakby miał zwymiotować.

— Surowy kotlet siekany to zapas dobrej, szybko przyswajalnej energii — rzekł McVries.

— Z byka spadłeś. Obrzygasz nas wszystkich.

McVries tylko się uśmiechnął.

Garraty po cichu żałował, że sam nie zabrał sobie surowego kotleta. Nie znał się na szybko przyswajalnej energii, ale miał smak na surowy kotlet. Baton czekoladowy i koncentraty się do tego nie umywały. Nagle przypomniał sobie o ciastkach, ale po historii z Curleyem nie był głodny. Jak w tej sytuacji mógł myśleć o zjedzeniu surowego kotleta?

Wśród widzów rozeszła się pogłoska, że jeden z zawodników zaliczył czerwoną kartkę. Doping był teraz głośniejszy. Wątle oklaski niosły się z hałasem, jaki robi kukurydza prażona na patelni. Garraty zastanawiał się, czy to krępujące, zostać zastrzelonym na oczach ludzi, ale doszedł do wniosku, że jak już doszło co do czego, pewnie ma się ludzi w dużym poważaniu. A Curley już na pewno miał ich w dużym poważaniu, tak to wyglądało. Gorzej, że puszczały zwieracze. Żadna przyjemność. Garraty zdecydował się o tym nie myśleć.

Wskazówki na jego zegarku stały teraz prosto na dwunastej. Minęli zardzewiały żelazny most przebiegający nad głębokim, suchym parowem, a po drugiej stronie przywitał ich napis: GRANICA MIASTA LIMESTONE — WITAMY UCZESTNIKÓW WIELKIEGO MARSZU!

Niektórzy chłopcy wiwatowali, ale Garraty nie marnował powietrza w płucach.

Droga zrobiła się szersza i grupa zawodników rozrzedziła się trochę. Curley był teraz cztery i pół kilometra za nimi.

Garraty wyjął ciastka i przez chwilę obracał w rękach pakunek w folii. Tęsknie pomyślał o matce, a potem odegnał to uczucie. Zobaczysz się z mamą i Jan we Freeport. Dały mu słowo. Zjadł ciasteczko i poczuł się trochę lepiej.

— Wiesz co? — zagadnął go McVries.

Garraty potrząsnął głową. Pociągnął łyk z manierki i pomachał parze starsuszków siedzących przy

drodze z kawałkiem kartonu, na którym wypisano: GARRATY.

— Nie mam pojęcia, na co będę miał ochotę, jeśli wygram — powiedział McVries. — Tak naprawdę niczego mi nie trzeba. To znaczy, nie mam schorowanej matki ani ojca podłączonego do dializatora. Nie mam nawet młodszego braciszka umierającego grzecznie na białaczkę. — Roześmiał się i odpiął manierkę.

— Sensownie gadasz — zgodził się z nim Garraty.

— Raczej bezsensownie. Cała ta sprawa jest bezsensowna.

— W rzeczywistości wcale tak nie myślisz — rzekł z przekonaniem Garraty. — Gdybyś miał zrobić to wszystko jeszcze raz...

— Dobra, dobra, nadal bym to zrobił, ale...

— Hej! — Chłopak przed nimi, Pearson, wskazywał palcem. — Chodniki!

W końcu wchodzili do prawdziwego miasta. Ładne domy oddzielały od ulicy zielone trawniki pełne ludzi, którzy machali rękami i wiwatowali. Garraty miał wrażenie, że wszyscy siedzą. Siedzą na ziemi, na ogrodowych krzesłach, jak poprzednio staruszek przy stacji paliwowej, siedzą na piknikowych stołach, na huśtawkach i bujanych werandowych kanapach. Zazdrościł im.

Proszę bardzo, machajcie sobie do usranej śmierci, pomyślał gniewnie. Prędzej mnie szlag trafi, niż wam więcej pomacham. Wskazówka numer trzynaście. Oszczędzaj energię kiedy się da.

Ale w końcu uznał, że głupio myśli. Ludzie gotowi dojść do wniosku, że zadziera nosa. Jest przecież „synem stanu Maine”. Zdecydował, że będzie machał wszystkim z tablicą GARRATY. I wszystkim ładnym dziewczętom.

Boczne ulice i skrzyżowania zostawały z tyłu w równym tempie. Ulica Sykamorowa i aleja Clarka, ulica Bankowa i Trasa Jałowcowa. Minęli spożywczy z plaketką piwa Narrangansett w oknie i sklep z tanioczą oklejony zdjęciami majora.

Niewielu ludzi stało na chodnikach. Garraty był zawiedziony. Wiedział, że prawdziwe tłumy zbiorą się dalej na trasie, ale i tak całe to powitanie było niewypałem. A biedak Curley nawet tego nie zazał.

Dżip majora wyskoczył nagle z bocznej uliczki i towarzyszył głównej grupie. Czołówka była nadal daleko w przedzie.

Rozległy się niesłychane wiwaty. Major skinął głową, uśmiechnął się i pomachał tłumowi. Jego okulary załśniły w słońcu. Potem zrobił eleganckie na lewo patrz i zsalutował chłopakom. Garraty poczuł mrowienie biegnące przez cały kręgosłup.

Major uniósł megafon do ust.

— Jestem z was dumny, chłopcy. Dumny!

Zza pleców Garraty’ego rozległo się ciche, ale wyraźne:

— Srał cię pies.

Garraty odwrócił głowę. Za nim szło czterech czy pięciu chłopaków obserwujących z przejęciem majora (jeden z nich zdał sobie sprawę, że salutuje, i bojaźliwie opuścił dłoń) oraz Stebbins. Stebbins nawet nie raczył podnieść wzroku.

Dżip z rykiem silnika skoczył naprzód. W chwilę potem major znikł po raz kolejny.

Okolo wpół do pierwszej dotarli do centrum Limestone. Garraty czuł zawód. Miasto było dziadowskie. Dzielnica handlowa, trzy parkingi z używanymi samochodami, McDonald, Burger King, Pizza Hut, dzielnica fabryczna i ot, całe Limestone.

— Nie jest bardzo duże, co? — powiedział Baker. Olson wybuchnął śmiechem.

— Pewnie miło się tu mieszka — rzekł przepraszająco Gar—raty.

— Niech Bóg oszczędzi mi dziur, w których się miło mieszka — powiedział McVries, ale się uśmiechał.

— No, to zależy, co cię bawi — dodał Garraty.

O pierwszej Limestone pozostało tylko wspomnieniem. Zuchowato wymachujący ramionami chłopczyk w łatanych dżinsach szedł z nimi prawie półtora kilometra, a potem siadł i odprowadzał ich wzrokiem.

Wokół wznosiły się pagórki. Garraty’emu koszula kleiła się do pleców. Po prawej stronie nieba zbierały się burzowe chmury, ale były daleko. Wiał zmienny wietrzyk, niosąc pewną ulgę.

— Jakie jest następne duże miasto? — zapytał McVries.

— Chyba Caribou. — Garraty rozważał, czy Stebbins zjadł już ostatnią kanapkę. Stebbins go prześladował w myślach jak kawałek popularnej melodii, która potrafi uczyć się siebie, aż myślisz,

że zaraz zwariujesz. Było wpół do drugiej. Mieli już za sobą dwadzieścia siedem kilometrów.

— Jak to daleko?

Garraty zastanawiał się, jaki jest rekordowy dystans z tylko jednym wykasowanym. Dwadzieścia siedem kilometrów wydawało mu się znakomite. Dwadzieścia siedem kilometrów do liczba, z której człowiek może być dumny. Przeszedłem dwadzieścia siedem kilometrów. Dwadzieścia siedem.

— Pytałem...

— Może czterdzieści pięć kilometrów.

— Czterdzieści pięć — jęknął Pearson. — Jezu!

— To większe miasto niż Limestone — powiedział Garraty. Bóg wie czemu wciąż mówił przepraszającym tonem. Pewnie dlatego że tak wielu chłopaków umrze w tym stanie, może nawet wszyscy. W historii rozgrywania Wielkiego Marszu tylko sześć razy zawodnicy minęli granicę New Hampshire, a tylko raz dotarli do Massachusetts i eksperci twierdzili, że to równie niesłychany wynik jak siedemset trzydzieści uderzeń kończących Hanka Aarona, czy coś w tym rodzaju... rekord, któremu nie można dorównać. Może on też tu umrze. Może. Ale dla niego ten stan jest wyjątkowy. Ziemia rodzinna. Majorowi się to spodoba. „Umarł na ziemi rodzinnej”.

Przewrócił manierkę do góry dnem i przekonał się, że jest pusta.

— Manierka! — zawołał. — Nowa manierka dla czterdziestki—siódemki!

Jeden z żołnierzy zeskoczył z transportera i przyniósł pełną manierkę. Kiedy zawracał, Garraty musnął jego karabin — ukradkiem, ale McVries zauważył ten gest.

— Czemuś to zrobił?

Skonfundowany Garraty wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie wiem. Może zamiast odpukać w niemalowane.

— Słodki z ciebie chłopiec, Ray.

McVries przyspieszył i zrównał się z Olsonem. Garraty został sam. Było mu okropnie głupio.

Zawodnik numer dziewięćdziesiąt trzy minął Garraty'ego z prawej. Oczy wlepił w ziemię i poruszał bezdźwięcznie ustami, jakby liczył kroki. Chwiał się lekko.

— Hej — powiedział Garraty. Nie znał jego nazwiska.

Chłopak drgnął i skulił się. W oczach miał pustkę, identyczną pustkę, jaka towarzyszyła Curleyowi, kiedy wiedział, że przegrywa walkę ze sforsowaną nogą. Jest zmęczony, wie o tym i się boi, pomyślał Garraty. Nagle żołądek fiknął mu koźla i długo trwało, zanim wrócił do normalnej pozycji.

Ich cienie maszerowały razem z nimi. Dochodziła za piętnaście druga. Od dziewiątej rano, kiedy odpoczywali w cieniu na trawie, minął chyba miesiąc.

Tuż przed drugą rozeszła się następna wieść. Garraty mógł się naocznie przekonać, jak powstaje plotka. Ktoś czegoś się dowiadywał i nagle wszyscy to wiedzieli. Fama rozchodziła się z ust do ust. Zapowiada się deszcz. Są szansę, że raczej nie będzie deszczu. Deszcz jest tuż, tuż. Facet z radiem mówi, że zaraz będzie waliło żabami. Ale to zabawne, jak często plotka się sprawdzała. A kiedy szła wieść, że ktoś zwalnia, że ktoś ma kłopoty, sprawdzała się zawsze.

Tym razem wieść głosiła, że Ewing, dziewiątka, dostał pęcherzy i zaliczył dwa upomnienia. Wielu chłopaków zaliczyło upomnienia, ale to była normalka. Wieść głosiła, że z Ewingiem sprawy układają się nieciekawie.

Garraty przekazał wieść Bakerowi.

— Ten Murzyn? — zdziwił się Baker. — Murzyn sinieje? Garraty powiedział, że nie wie, czy Ewing jest biały, czy czarny.

— Murzyn. To ten. — Baker pokazał palcem zawodnika

o twarzy zroszonej potem. Garraty ze zgrozą, spostrzegł, że Ewing nosi trampki.

Wskazówka numer trzy: „Nie noś trampek, powtarzamy, nie noś trampek. Chyba że podczas Wielkiego Marszu chcesz szybko dorobić się pęcherzy”.

— Jechał z nami — powiedział Baker. — Jest z Teksasu.

Baker przyspieszył, aż zrównał się z Ewingiem. Porozmawiał z nim dłuższą chwilę. Potem zwolnił, ale nieznacznie, by nie dostać upomnienia. Minę miał ponurą.

— Pęcherze wyskoczyły mu po trzech kilometrach. Pękać zaczęły już w Limestone. Tapła się w ropie.

Wszyscy słuchali w milczeniu. Garraty znów pomyślał o Stebbinsie. Stebbins nosił tenisówki. Może w tej chwili męczy się z pęcherzami.

— Upomnienie! Dziewiątka, upomnienie! Dziewiątka, to twoje trzecie upomnienie!

Teraz żołnierze uważnie obserwowali Ewinga. Zawodnicy też. Ewing przyciągał uwagę wszystkich. Jego koszulka, jaskrawo biała na czarnej skórze, miała dokładnie pośrodku pleców szarą smugę. Garraty widział drgania wielkich mięśni pleców. Mięśni, które mogły podołać wysiłkowi wielu dni, a tu Baker mówił, że Ewing tapla się w ropie. Pęcherze i ból. Garraty zadygotał. Nagła śmierć. Taka muskulatura, tyle lat treningu — wszystko na nic. Co myślał Ewing, kiedy wkładał na nogi te trampki?

Barkovitch dołączył do nich. Barkovitch też patrzył na Ewinga.

— Pęcherze! — Wykrzyknął to tak, jakby matka Ewinga była dziwką. — Czego, do diabła, można się spodziewać po durnym czarnuchu? No, pytam się.

— Spływaj — powiedział bezbarwnym tonem Baker — bo ci przyłożę.

— To wbrew zasadom — powiedział z głupawym uśmiechem Barkovitch. — Nie zapominaj o tym, kmiotku. — Ale spłynął. Miało się wrażenie, że razem z nim odpłynęła chmurka trucizny.

Dochodziło wpeł do trzeciej. Cienie chłopców się wydłużyły. Maszerowali długim stokiem i na grzbiecie wzgórza Garraty dostrzegł w oddali góry, zamglone i niebieskie. Napierające z zachodu burzowe chmury były teraz ciemniejsze, a wiatr wzmógł się, przyprawiając o gęsią skórkę, kiedy wysuszał pot.

Kilku mężczyzn skupionych wokół kempingowego pika—pa zgotowało im szaleńczą owację. Byli kompletnie pijani. Wszyscy zawodnicy pomachali im, nawet Ewing. Mieli pierwszych widzów od zuchowato wymachującego ramionami chłopca w połatanych dżinsach.

Garraty otworzył tubę koncentratu nie czytając naklejki i zaczął jeść. Zawartość miała smak wieprzowiny. Pomyślał o siekanym kotlecie McVriesa. Pomyślał o wielkim czekoladowym ciachu z wisienką. Pomyślał o naleśnikach. Nagle zapragnął zimnego naleśnika z marmoladą jabłkową. Matka zawsze robiła im to na drugie śniadanie, kiedy w grudniu szli z ojcem polować.

Dziesięć minut później Ewing zarobił kulę.

Był w zbitej gromadzie chłopaków, kiedy po raz ostatni zszedł poniżej dopuszczalnej prędkości. Może myślał, że grupa go osłoni. Żołnierze zrobili swoje perfekcyjnie. Byli fachowcami. Odepchnęli chłopaków na bok. Odciągnęli Ewinga na pobocze. Próbował stawiać opór, ale bez przekonania. Jeden z żołnierzy wyłamał mu rękę do tyłu, a drugi przyłożył karabin do głowy i wystrzelił. Ewing wierzgnął konwulsyjnie jedną nogą.

— Krew ma taką samą, jak każdy inny — powiedział nagle McVries. Zabrzmiało to bardzo głośno w ciszy po strzale. Grdyka skoczyła mu spazmatycznie.

Dwóch nie żyło. Szansę pozostałych wzrosły w niezmiernie małym stopniu.

Zapanował chwilowy przyciszony gwar i Garraty zastanowił się znów, co tamci robią z ciałami.

Zastanawiasz się o cholere i trochę za dużo! — nagle wrzasnął na siebie w myślach.

I zdał sobie sprawę, że jest zmęczony.

Część druga

W drodze

Rozdział trzeci

Macie trzydzieści sekund i pamiętajcie, proszę, że wasza odpowiedź musi mieć formę pytania.

Art Fleming
Va banque

O trzeciej pierwsze krople deszczu spadły na drogę, wielkie, ciemne i okrągłe. Niebo było poszarpane i czarne, dzikie i fascynujące. Grzmot zaklaskał nad chmurami. Niebieski widlasty piorun wbił się w ziemię daleko na horyzoncie.

Garraty włożył kurtkę niebawem po tym, jak Ewing zaliczył czerwoną kartkę, a teraz zasunął suwak pod szyję i postawił kołnierz. Harkness, potencjalny autor bestselleru, starannie schował notatnik do torebki foliowej. Barkovitch włożył żółty kapelusz przeciwdeszczowy. Wyglądał w nim jak szalony latarnik.

Znowu rozległ się grzmot.

— No i nadchodzi! — krzyknął Olson.

Lunał deszcz. Przez chwilę był tak gęsty, że falująca wodna kurtyna odcięła Garraty'ego od świata. W jednej chwili przemókł do suchej nitki. Mokre włosy lepiły mu się do czaszki. Zadarł w górę twarz i uśmiechnął się szeroko. Zastanawiał się, czy żołnierze ich widzą. Czy dałoby się...

Pierwsza furia ulewy zelżała. Popatrzył przez ramię. Steb—bins szedł zgarbiony, objawiając się rękami w pasie. Czyżby miał skurcze? Garraty uległ chwilowej panice, zupełnie inaczej niż było wtedy, kiedy Curley i Ewing zaliczali czerwone kartki. Już wcale nie chciał, żeby Stebbins wysiadł wcześniej.

Wtem dojrzał, że Stebbins tylko osłania przed deszczem ostatnią kanapkę, i z ulgą odwrócił głowę. Zdecydował, że Stebbins musi mieć wyjątkowo głupią matkę, skoro nie owineła mu kanapek w folię.

Grom strzelił przeraźliwie, w niebie odbywały się ćwiczenia artyleryjskie. Garraty'emu wydało się, że wraz z potem spłynęło zeń trochę zmęczenia. Deszcz uderzył znowu, mocny, zacinający, aż wreszcie uspokoił się i przeszedł w gęstą mżawkę. Chmury się rwały.

Teraz szedł obok niego Pearson. Podciągnął spodnie. Miał o wiele za duże dzinsy i często je poprawiał. Nosił okulary w sztykretowych oprawkach, ze szklami jak dno butelki. Zdjął je i zaczął przecierać połą koszuli. Wytrzeszczał krótkowzrocznie bezbronne oczy.

— Przyjemny prysznic, co?

Garraty skinął głową. McVries sikał daleko w przedzie. Szedł tyłem, oblewając pobocze przez wzgląd na innych.

Żołnierze też zmokli, oczywiście, ale jeśli cierpieli niewygodę, nie okazywali tego. Mieli idealnie kamienne twarze. Ciekawe, jak to jest, kiedy się kogoś zabija z karabinu, ot tak, pomyślał Garraty. Ciekawe, czy to daje im poczucie wszechmocy. Przypomniał sobie dziewczynę z tablicą, pocałunek, pośladki. Gładkie majteczki pod kolarkami. To dało mu poczucie wszechmocy.

— Tamten facet z tyłu nie odzywa się za wiele, no nie? — rzekł nagle Baker. Wskazał kciukiem Stebbinsa. Fioletowe spodnie Stebbinsa były prawie czarne.

— Nie, nie za wiele.

McVries zarobił upomnienie. Zwolnił za bardzo, mocując się z zamkiem błyskawicznym rozporoka. Zrównali się z nim i Baker powtórzył opinię o Stebbinsie.

— To samotnik. I co z tego? — McVries wzruszył ramionami. — Myślę...

— Hej — wtrącił się Olson. Nie odzywał się od dłuższego czasu, a jego głos zabrzmiał cudacznie. — Z moimi nogami dzieje się coś dziwnego.

Garraty dojrzał w jego oczach zarodki paniki; Olson przestał rżnąć zucha.

— To znaczy...?

— Jakby mięśnie mi... wiotczały.

— Uspokój się — powiedział McVries. — Miałem to samo parę godzin temu. To mija.

W oczach Olsona zabłysła nadzieja.

— Mija?

— No pewnie, że mija.

Olson znowu zamilkł, tylko bezgłośnie poruszał ustami. Garraty myślał przez chwilę, że się modli, ale zaraz zdał sobie sprawę, że tylko liczy kroki.

Nagle rozległy się dwa strzały. Krzyk i trzeci strzał.

Kiedy się rozejrzeli, zobaczyli chłopca w niebieskim swetrze i brudnych białych spodniach, leżącego twarzą w kałuży wody. Jeden but spadł mu z nogi i widać było grubą sportową skarpetę. Takie skarpetki zalecano we wskazówce numer dwanaście.

Garraty przestał się poruszać, starając się nie widzieć ran. Rozeszła się wieść, że chłopak został

zastrzelony, bo zwolnił. Wykończyły go nie pęcherze ani ból w nodze, po prostu zwolnił o raz za dużo i zaliczył czerwoną kartkę. Garraty nie znał jego nazwiska ani numeru. Może nikt go nie znał. Może był samotnikiem jak Stebbins.

Rozpoczęli czterdziesty kilometr Wielkiego Marszu. Widoki zwały się w jednolity fresk lasów i pól, od czasu do czasu punktowany domem lub skrzyżowaniem, na którym stali machający rękami, wiwatujący ludzie. Jakaś starsza pani zamarła pod czarnym parasolem, nie machając ręką, milcząca, bez uśmiechu. Obserwowała ich świdrującym wzrokiem, kiedy przechodzili. Stała nieruchoma jak posąg, wiatr szarpał jej czarną sukienkę. Na wielkim palcu prawej ręki miała ogromny pierścionek z purpurowym kamieniem, na szyi — zmatowiałą kameę.

Przeszli przez dawno nie używane tory kolejowe — zardzewiałe, porośnięte zielskiem przebijającym przez żużel między podkładami. Ktoś potknął się, upadł, dostał upomnienie, wstał i pomaszerował dalej z krwawiącym kolaniem.

Byli trzydzieści kilometrów od Caribou, aie zmrok miał zapaść wcześniej. Niegrzeczni nie zasłużyli na odpoczynek, pomyślał Garraty i to go rozbawiło. Wybuchnął śmiechem.

McVries przyjrzał mu się uważnie.

— Zaczynasz być zmęczony?

— Nie — powiedział Garraty. — Zmęczony jestem już od jakiegoś czasu. — Popatrzył z wrogością na McVriesa. — Chcesz powiedzieć, że ty nie?

— Tańcz tak ze mną po wieczność, Garraty, i nigdy się nie zmęczę. Zedrzymy zelówki na gwiazdach i pohościmy się głową w dół na rozku księżycy.

Posłał Garraty'emu pocałunek i odmaszerował.

Za kwadrans czwarta przetało się i na zachodzie wykwi—tła tęcza. Słońce pozłacało krawędzie chmur. Ukośne promienie nasycaly kolorem mijane zaorane pola, wyostrzając i czerniąc skiby, które owijały się wokół długich stoków.

Silnik transportera pracował cicho, miarowo. Garraty opuścił bezwolnie głowę i podrzemywał w marszu. Gdzieś daleko w przdzie był Freeport. Jednak nie dziś wieczór ani nie jutro. Wiele kroków dalej. Wiele kilometrów dalej. Wciąż łapał się na tym, że ma zbyt wiele pytań i nie dość odpowiedzi. Cały Wielki Marsz wydawał się jednym wielkim znakiem zapytania. Powiedział sobie, że coś takiego musi mieć jakieś głębsze znaczenie. Pewnie tak było. Coś takiego musi dostarczyć odpowiedzi na każde pytanie; sprawa polegała tylko na tym, żeby nie ustawać, tylko iść i iść. Bo gdyby dał radę...

Wdepnął w kałużę i ocknął się. Pearson spojrział na niego kpiarsko i poprawił okulary na nosie.

— Znasz tego gościa, który upadł i skaleczył się na torach?

— Tak. To Zuck, co nie?

— Aha. Właśnie obito mi się o uszy, że wciąż krwawi.

— Jak daleko do Caribou, maniaczku? — spytał go ktoś. Garraty obejrzał się. To był Barkovitch. Wsadzony do kieszeni żółty kapelusz majtał z niej nieprzyzwoicie.

— Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

— Mieszkasz tu, no nie?

— Jeszcze ze dwadzieścia siedem kilometrów — wyjaśnił mu McVries. — A teraz zjeżdżaj pilnować własnych spraw, facet.

Barkovitch posłał mu pełne urazy spojrzenie i odszedł.

— Upierdliwy gość z niego — powiedział Garraty.

— Nie pozwól, żeby zalazł ci za skórę — odparł McVries. — Skup się na tym, żeby wdeptać go w ziemię.

— W porządku, panie trenerze. McVries klepnął Garraty'ego w ramię.

— Wygrasz to dla tych, co oddali swoje życie wielkiej sprawie Wielkiego Marszu, mój chłopcze.

— Można by powiedzieć, że idziemy przez wieczność, no nie?

— No.

Garraty oblizwał wargi. Chciał powiedzieć, co czuje, ale nie wiedział, jak to zrobić.

— Czy słyszałeś o tym, jak tonącemu życie przelatuje przed oczami?

— Chyba czytałem o tym raz. Albo słyszałem na jakimś filmie.

— Myślałeś kiedyś, że to może się nam zdarzyć? Podczas Wielkiego Marszu?

McVries uśmiechnął się, że drży.

— Chryste, mam nadzieję, że mi się to nie trafi! Garraty pomilczał trochę i powiedział:

— Czy myślisz...? Mniejsza z tym. Niech to diabli!

— Nie, jedź z tym koksem. Czy co myślę?
— Czy myślisz, że dożyjemy resztę życia na drodze? O to mi chodziło. Że nas to czeka, gdybyśmy nie... wiesz.

McVries pogrzebał w kieszeni i wyjął paczkę lekkich papierosów.

— Palisz?

— Nie.

— Ja też nie — powiedział McVries.

Włożył papierosa do ust. Znalazł pudełko zapalek z przepisem na sos pomidorowy. Zapalił papierosa, zaciągnął się i zakrztusił dymem. Garraty pomyślał o wskazówce numer dziesięć: „Oszczędzaj oddech. Jeśli jesteś palaczem, spróbuj nie palić podczas Wielkiego Marszu”.

— Myślałem, że się nauczę — rzekł przekornie McVries.

— To chyba świństwo, nie?

McVries spojrział zaskoczony i odrzucił papierosa.

— Masz rację. Świństwo.

Do czwartej tęcza znikła. Davidson, ósemka, zwolnił i zrównał się z nimi. Był bardzo przystojny, tylko szpecił go trochę trądzik na czole. Jeszcze niedawno niósł plecak, ale już go wyrzucił.

— Ten gość, Zuck, naprawdę sobie dowalił — powiedział.

— Wciąż krwawi? — spytał McVries.

— Jak szlachtowana świnia. — Davidson pokręcił głową. — Niesamowite, jak sprawy mogą się ułożyć, co nie? W każdej innej sytuacji wyłożysz się i tylko się lekko podrapiesz. Powinno mu się to zszyć. — Wskazał pod nogi. — Patrzenie.

Na wysychającej nawierzchni Garraty ujrzał ciemne kropelki.

— Krew?

— Chyba nie melasa — rzekł ponuro Davidson.

— Boi się? — spytał przez ściśnięte gardło Olson.

— Mówi, że mu to zwisa. Aleja się boję. — Davidson miał oczy wielkie i szare. — Boję się o nas wszystkich.

Baker wskazał Garraty’emu kolejną tablicę „syn stanu Maine”.

— Ja cię kręcę — powiedział Garraty nie podnosząc głowy. Wypatrywał krwi Zucka jak tropiciel. Ślad wił się po obu stronach białej linii.

— McVries... — zaczął Olson. Głos mu złagodniał w ciągu ostatnich kilku godzin. Garraty zdecydował, że lubi go, mimo iż zgrywał chojraka. Szkoda tylko, że Olson niewątpliwie zaczyna się bać.

— Co?

— McVries, to nie mija. Takie wiotczenie w nogach, o którym ci mówiłem. Nie mija.

McVries nie odpowiedział. Blizna na jego twarzy zbiałała w blasku słońca.

— To jest tak, jakby nogi miały się pode mną załamać. Jak źle postawiony fundament. Nie załamają się, no nie? No nie? — Głos Olsona przechodził w pisk.

McVries wciąż milczał.

— Dałbyś papierosa? — spytał Olson. Opanował się.

— Bierz całą paczkę.

Olson zapalił ze swobodą doświadczonego palacza, osłaniając zapalną dłoń, i zagrał na nosie żołnierzowi z transportera.

— Od jakiejś godziny koso mi się przyglądają. Mają szósty zmysł w tych sprawach. — Głos znów mu się załamał. — Lubicie to, no nie, chłoptasie? Lubicie, zgadza się?

Kilku zawodników obejrzało się, a potem szybko odwróciło wzrok. Garraty też chciał odwrócić wzrok. W głosie Olsona brzmiała histeria. Żołnierze przyglądali mu się bez emocji. Garraty’emu ciarki przeszły po grzbiecie. Czy niebawem pójdzie wieść o Olsonie?

Do wpół do piątej przebyli czterdzieści osiem kilometrów. Słońce okryło się krwistą czerwienią. Chmury burzowe przeszły na wschód, niebo zgranatowało. Garraty znów pomyślał o hipotetycznym tonięciu. Nie takim hipotetycznym. Zbliżająca się noc była wodą, która niebawem miała ich okryć.

Nagle poczuł panikę. Był pewny, że ogląda ostatnie światło dnia w życiu. Chciał, żeby pozostało dłużej. Chciał, żeby trwało. Chciał, żeby zmierzch ciągnął się w nieskończoność.

— Upomnienie! Setka, upomnienie! Setka, to twoje trzecie upomnienie!

Zuck rozejrzał się nieprzytomnie. Prawą nogawkę spodni pokrywała mu skorupa krwi. A potem,

niespodziewanie, zaczął sprint. Kluczył między zawodnikami jak piłkarz na boisku. Wyraz oszołomienia nie schodził mu z twarzy.

Transporter przyspieszył. Zuck pobiegł jeszcze szybciej. Zataczał się, kulał. Rana na kolanie znów się otworzyła i kiedy wysforował się przed główną grupę, Garraty dostrzegł krople świeżej krwi lecące spod nogawki. Zuck wbiegł na następne wzniesienie i jego sylwetka przez chwilę ostro zarysowała się na tle czerwonego nieba, zamarała w powietrzu jak strach na wróble. Potem Zuck znikł, a transporter po nim. Dwaj żołnierze, którzy zeskoczyli z niego wcześniej, parli przed siebie razem z chłopakami, ich twarze były puste.

Nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy słuchali. Długi czas panowała martwa cisza. Niewiarygodnie, nieprawdopodobnie długi czas. Tylko ćwierkały ptaki, grało parę wczesnych świerszczy, a gdzieś z tyłu buczał samolot.

Potem ostro klasnął pojedynczy wystrzał, przerwa — i drugi.

— Dla pewności — powiedział ktoś słabym głosem.

Kiedy pokonali wzniesienie, zobaczyli transporter stojący na poboczu, osiemset metrów dalej. Niebieskie spaliny buchały z rur wydechowych. Po Zucku nie było śladu. Ani śladu.

— Gdzie major?! — krzyknął ktoś histerycznie. To był Gribble, numer czterdzieści osiem, z głową jak kula armatnia. — Chcę widzieć się z majorem, cholera jasna! Gdzie on jest?

Żołnierze maszerujący brzegiem drogi nie odpowiedzieli. Nikt nie odpowiedział.

— Czy wygłasza kolejne przemówienie?! — wrzeszczał Gribble. — Jest mordercą! Mordercą! Ja... ja mu powiem! Myślicie, że mu nie powiem? Powiem mu to prosto w twarz! — Podniecony zwolnił, niemal się zatrzymał i po raz pierwszy wzbudził zainteresowanie żołnierzy.

— Upomnienie! Czterdziestkaósemka, upomnienie!

Gribble znieruchomiał, a potem zaczął szybko przebierać nogami. Maszerował z opuszczoną głową. Niebawem dotarli do miejsca, w którym czekał transporter. Zaczął pełznąć obok nich.

Mniej więcej za kwadrans piąta Garraty zjadł obiad — tubkę tuńczyka w koncentracie, kilka krakersów z serkiem topionym i dużo wody. Na tym musiał zakończyć. Manierkę dostawało się w każdej chwili, ale świeżych koncentratów nie będzie aż do jutra rana do dziewiątej... a jeśli będzie miał ochotę coś zjeść o północy? Do diabła, a nuż będzie musiał coś zjeść...

— Może to faktycznie sprawa życia i śmierci — powiedział Baker — ale na pewno człowiekowi nie odbiera apetytu.

— Nie możemy sobie na to pozwolić — dodał Garraty. — Niezbyt mi się uśmiecha myśl, że miałbym o drugiej w nocy zemdleć.

Pewnie nawet nie zdałby sobie sprawy, co się stało. Nie poczułby nic. Po prostu ocknąłby się w wieczności.

— Daje do myślenia, no nie? — rzekł Baker. Garraty popatrzył na niego. W gasnącym świetle twarz Bakera była delikatna, młoda i piękna.

— No. Myślałem o cholernej masie rzeczy.

— Na przykład...?

— Choćby o nim. — Garraty ruchem głowy wskazał Stebbinsa, maszerującego wciąż w tym samym rytmie, którym szedł od startu. Spodnie jeszcze mu nie wyschły. Twarz miał mroczną. Trzymał w dłoniach ostatnie pół kanapki. — Zastanawiam się, dlaczego się tu znalazł, czemu nic nie mówi. I czy będzie żył, czy umrze.

— Wszyscy umrzemy.

— Ale mam nadzieję, że nie dziś w nocy — powiedział Garraty. Mówił lekkim tonem, lecz nagle wstrząsnął nim silny dreszcz. Nie wiedział, czy Baker to zauważył. Poczul skurcz pęcherza. Odwrócił się, rozpiął spodnie i szedł tyłem.

— Co myślisz o nagrodzie? — spytał Baker.

— Wcale o tym nie myślę. Nie warto.

Garraty zaczął sikać. Skończył, zapiął rozporek i znów się odwrócił, w miarę zadowolony, że udało mu się nie dostać upomnienia.

— A ja myślę o nagrodzie — rozmarzył się Baker. — Tyle pieniędzy!

— Bogaci nie wejdą do królestwa niebieskiego — powiedział Garraty. Wpatrywał się w swoje stopy. Od nich zależało, czy już wkrótce zdobędzie empiryczną wiedzę o królestwie niebieskim.

— Alleluja — wtrącił Olson. — Po nabożeństwie przewidziano napoje odświeżające i kanapki.

— Jesteś religijny? — zapytał Garraty'ego Baker.

— Nieszczególnie. Ale trudno powiedzieć, żebym miał kręcka na punkcie forsy.

— Miałbyś, gdybyś się wykarmił kartoflanką i kapustą.
Kawałek mięsa tylko kiedy tatę stać na naboje do dubeltówki.

— Pewnie tak — zgodził się z nim Garraty, po czym przerwał, zastanawiając się, czy dodać coś jeszcze. — Ale pieniądze nigdy nie są naprawdę ważne. — Zauważył, że Baker przygląda mu się trochę pogardliwie.

— Nie zabierzesz ich ze sobą, to zaraz powiesz — rzekł McVries. Znów demonstrował swój irytujący, krzywy uśmiezek.

— A co, to nieprawda? Nie przynosimy niczego na ten świat, a już bankowo niczego nie zabieramy.

— Tak, ale czas między tymi dwoma wydarzeniami przyjemniej spędzić w komforcie — powiedział McVries.

— Och, komfort, też mi coś! Jeśli jeden z tych żołnierzyków cię zastrzeli, żaden lekarz cię nie uratuje transfuzją z dwudziestek ani pięćdziesięciodolarówek.

— Mnie nie zastrzelili — powiedział cicho Baker.

— No, ale mogą. — Nagle Garraty'emu zaczęło bardzo zależeć na przekonaniu ich do swych racji. — Dajmy na to, że wygrasz. Półtora miesiąca zajmie ci planowanie, co zrobisz z forszą... mniejsza o nagrodę, chodzi o forszę... no i wychodząc na pierwsze zakupy wpadasz pod taksówkę. Co wtedy?

Harkness doszedł do nich i teraz maszerował obok Olsona.

— Nie ja, kochaniutki — powiedział. — Ja najpierw kupię całą kolumnę gablot. Jak wygram, to już nigdy więcej nie będę chodził piechotą.

— Nie rozumiesz — rzekł z niesłychanym przejęciem Garraty. — Kartoflanka czy kawałek mięsa, rezydencja czy rudera, kiedy jesteś martwy, to jest po sprawie, kładą cię do lodówki jak Zucka albo Ewinga i jest po sprawie. Mówię tylko: zaraz, nie wszystko naraz. Gdyby ludzie trzymali się tego, że zaraz, nie wszystko naraz, byłiby o niebo szczęśliwsi.

— Och, co za pieprzenie! — zachnął się McVries.

— Tak?! — zawołał Garraty. — A jak dużo planujesz?

— Hm, w tej właśnie chwili jakby dostosowałem własne horyzonty, to prawda...

— A pewnie, że prawda — rzekł ponuro Garraty. — Niby nic się nie zmieniło od wczoraj, zaszła tylko drobna różnica. W tej właśnie chwili jesteśmy zajęci umieraniem.

Zapadła kompletna cisza. Harkness zdjął okulary i zaczął je czyścić. Olson pobladł. Garraty żałował swych słów; zagalopował się.

— Brawo, brawo! — zawołał ktoś nagle z tyłu.

Garraty obejrzał się, pewien, że to Stebbins, chociaż nigdy nie słyszał głosu Stebbinsa. Ale Stebbins ani mrugnął. Patrzył na drogę.

— Chyba przesadziłem — mruknął Garraty, chociaż to nie on przesadził najbardziej, tylko Zuck.

— Ktoś ma ochotę na ciasteczko?

Poczęstował w koło ciasteczkami. Minęła piąta. Wydawało się, że słońce wisi nieruchomo nad horyzontem. Ziemia przestała się obracać. Gorliwcy, którzy nadal byli przed zasadniczą grupą, tracili przewagę, znaleźli się w odległości czterdzieści metrów.

Garraty miał wrażenie, że droga stała się chytrym połączeniem wzniesień bez towarzyszących im spadków. Myślał właśnie, że niebawem wszyscy będą potrzebować masek tlenowych, kiedy nastąpił na porzucony pas z koncentratami. Podniósł głowę i zobaczył zdumionego Olsona, którego dłonie podrygiwały na wysokości bioder.

— Upuściłem go. Chciałem coś zejść i upuściłem go. — Olson zaśmiał się jak z głupiego dowcipu. Śmiech nagle się urwał. — Jestem głodny.

Nikt nie zareagował. Wszyscy minęli pas i szansa, że go ktoś podniesie, znikła. Garraty obejrzał się; pas Olsona pozostał na przerywanej białej linii.

— Jestem głody — powtórzył cierpliwie Olson.

„Major lubi, jak ktoś rwie się innym do gardeł” — tak mówił Olson, nim wystartowali. Teraz już nie rwał się innym do gardeł. Garraty sprawdził kieszenie przy swoim pasie. Zostały mu trzy tuby z koncentratami plus krakersy i topione serki. Serki nie były bardzo smaczne.

— Masz — powiedział i dał serki Olsonowi. Olson nic nie powiedział, ale serki zjadł.

— Prawdziwy muszkieter — skwitował to McVries z wiecznie tym samym krzywym

uśmiezkciem.

Do wpół do szóstej zapadł zmierzch. Przeleciało kilka wczesnych świetlików. Mleczna mgła zbijała się w rowach i zapadliskach. W przedzie ktoś zapytał, co będzie, jeśli ktoś we mgle zejdzie się przez pomyłkę z drogi.

— A jak myślisz, barania głowo? — zabrzmiał nie dający się pomylić z żadnym innym głos Barkovitcha.

Czterech odpadło, pomyślał Garraty. Osiem i pół godziny w drodze i tylko czterech odpadło. Poczul ukłucie w żo—

ładku. Nigdy nie przetrzymam ich wszystkich, pomyślał. Nie wszystkich. A z drugiej strony dlaczego nie? Ktoś musi.

Rozmowy umilkły, nastąpiła nieprzyjemna cisza. Zapadający zmrok, mgła zbijająca się w małe obłoki... z początku to wszystko wydawało się całkowicie naturalne i z gruntu nienaturalne; zatęsknił za Jan albo matką, jakąś kobietą, i zastanawiał się, co tu, do diabła, robi i jak w ogóle się w to wplątał. Nie mógł się nawet oszukiwać, że nie wszystkie karty zostały wyłożone na stół, bo było wręcz przeciwnie. I nawet nie zrobił tego sam. Dziewięćdziesięciu pięciu innych głupców zasunęło w tej paradzie.

W gardle urosła mu kula, nie mógł przełykać. Ktoś w przedzie cicho łkał. Nikt nie zwrócił na to uwagi; ten dźwięk jakby towarzyszył im cały czas.

Do Caribou zostało szesnaście kilometrów; tam przynajmniej będą latarnie. Ta myśl dodała Garraty'emu trochę otuchy. W gruncie rzeczy wszystko gra, no nie? Żyje. Po co wybiegać myślą w przyszłość. Jak powiedział McVries, wszystko sprowadza się do dostosowania własnych horyzontów.

Za kwadrans szósta rozeszła się wieść o Travinie, jednym z wczesnych liderów, który teraz powoli przesuwał się do tyłu w grupie zasadniczej. Travin miał biegunkę. Garraty nie mógł w to uwierzyć, dopóki nie zobaczył Travina. Chłopak maszerował, cały czas podtrzymując spodnie. Za każdym przykucnięciem zarabiał upomnienie i Garraty zastanawiał się zmartwiały, dlaczego Travin pò prostu nie sra po nogach. Lepiej się uświnić, niż dać się zabić.

Travin zgiął się, szedł jak Stebbins z jego kanapką, i od czasu do czasu dygotał. Garraty poczuł obrzydzenie. Nie było w tym nic fascynującego, nic tajemniczego. Oto chłopak, którego rznie w brzuchu. W innych budzi tylko obrzydzenie i jakąś zwierzęcą grozę.

Żołnierze obserwowali Travina uważnie. Obserwowali i czekali. W końcu na wpół przykucnął, na wpół upadł i żołnierze zastrzelili go, kiedy miał spuszczone spodnie. Przewrócił się, leżał skrzywioną twarzą ku niebu, brzydki i żalorny. Ktoś zwymiotował głośno i został upomniany. Garraty'emy wydawało się, że tamten ktoś wypluwa wszystkie flaki.

— On pójdzie następny — powiedział rzeczowo Harkness.

— Zamknij się — wykrztusił Garraty. — Po prostu się zamknij!

Nikt nie odpowiedział. Harkness przecierał okulary. Chłopak, który wymiotował, nie został zastrzelony.

Minęli grupę wiwatujących nastolatków siedzących na kocu i pijących colę. Garraty'emu urządzili owację na stojąco. Poczul się niezręcznie. Jedna z dziewcząt miała piersi jak balony. Jej chłopak wlepił w nie oczy, kiedy falowały podczas podskoków. Garraty uznał, że zmienia się w maniaka seksualnego.

— Popatrz na te zderzaki — westchnął Pearson. — O jejku, jejku!

Garraty zastanawiał się, czy ona jest dziewicą, tak samo jak on.

Minęli nieruchomy, prawie idealnie okrągły staw zasnuty lekką mgłą. W tajemniczym gąszczu na brzegu chrapliwie zaskrzeczała ropucha. Staw przypominał zaparowane lustro. Garraty uznał to za jeden z najładniejszych widoków w swoim życiu.

— Ten stan jest wielki jak cholera — odezwał się niewidoczny w przedzie Barkovitch.

— Ten facet jest dupkiem wielkim jak cholera — rzekł z powagą McVries. — W tej chwili moim jedynym życiowym celem jest wdeptać go w ziemię.

Olson odmawiał Zdrowaś Mario. Garraty spojrział na niego z przestachem.

— Ile upomnień zaliczył? — zapytał Pearson.

— Chyba żadnego — powiedział Baker.

— No, ale nie wygląda dobrze.

— Na tym etapie żaden z nas nie wygląda dobrze — powiedział McVries.

Znowu zapadła cisza. Garraty po raz pierwszy poczuł, że stopy go bolą. Nie po prostu nogi, co

niepokoiło go od jakiegoś czasu, ale stopy. Zauważył, że nieświadomie idzie na bocznych krawędziach podszew, ale od czasu do czasu zdarza mu się postawić stopę płasko i wtedy aż skręcał się z bólu. Podciągnął suwak kurtki pod samą szyję i postawił kołnierz. Było przenikliwie chłodno.

— Hej! Tam! — zawołał radośnie McVries.

Garraty i inni spojrzeli na lewo. Mijali cmentarz. Otaczał go murek z polnych kamieni; mgła z wolna przepętała nad pochylonymi nagrobkami. Anioł ze złamanym skrzydłem wpatrywał się w nich pustymi oczami. Na pamiętce po jakimś narodowym święcie, maszcie, z którego łuszczyła się rdza, przycupnął kowalik i przyglądał się im, przekrzywiwszy łebek.

— Nasz pierwszy cmentarz — powiedział McVries. — Jest po twojej stronie, Ray, tracisz wszystkie punkty. Pamiętasz tę grę?

— Cholera, za dużo gadasz — nagle powiedział Olson.

— Co złego jest w cmentarzach, Henry, stary serdeczny druhu? Spokojne miejsce, zaciszne, że użyję słów poety. Wygodna wodoodporna trumna...

— Zamknij się!

— Och, wybaczone — szydził McVries. Jego blizna błyskała bielą w zamierającym świetle. — Chyba myśl o śmierci tak naprawdę ci nie przeszkadza, Olson? Że znów zapożyczę się u poety, nie w śmierci zagadka tkwi, to sen grobowy mnie mdli. Czy nie to właśnie cię dręczy, cymbale? — McVries wznosił okrzyk: — Głowa do góry, żołnierzu! Dzień jaśniejszy już wscho...

— Daj mu spokój — cicho powiedział Baker.

— Czemu? Jego nic nie obchodzi. Przekonuje samego siebie, że może odwinąć orła w każdej chwili, kiedy mu się spodoba. Że jeśli się po prostu położy i umrze, to nie będzie aż tak przykre, jak każdy sobie wyobraża. Nie mam zamiaru mu odpuścić.

— Jeśli nie on, ty umrzesz — rzekł Garraty.

— Tak, nie zapominam o tym. — McVries posłał Garraty'emu swój krzywy uśmiech... tyle że tym razem absolutnie nie był rozbawiony. Nagle się rozwścieczył. — To on zapomina! Ten bałwan!

— Mam już tego dość — rzekł głuchym głosem Olson. — Rzygać mi się chce.

— Trzeba rwać się innym do gardeł! — krzyknął McVries. — Czy nie tak mówiłeś? Pieprzę cię! Zabrakło ci pary, to kładź się i zdychaj!

— Daj mu spokój — powiedział Garraty.

— Słuchaj, Ray...

— Nie, to ty słuchaj. Jeden Barkovitch wystarczy. Niech każdy postępuje po swojemu. Żadnego muszkieterstwa, pamiętasz?

McVries znów się uśmiechnął.

— W porządku, Garraty. Wygrałeś. Olson się nie odezwał.

Pełny zmrok zapadł o wpół do siódmej. Caribou, oddalone o dziesięć kilometrów, widoczne było na horyzoncie jak niewyraźny poblask. Wzdłuż drogi witało ich niewielu ludzi. Zapewne wszyscy poszli do domu na kolację. Mgła mroziła stopy. Wisiała nad wzgórzami jak upiorne, obwisłe transparenty. Gwiazdy świeciły w górze coraz mocniej, Wenus równomiernie, Wielka Niedźwiedzica na stałym miejscu. Garra—ty wskazał Pearsonowi Kasjopeję.

Myślał o Jan, swojej dziewczynie, czując wyrzuty sumienia z powodu tamtej dziewczyny w białe—czerwonych kolar—kach. Zapomniał całkiem, jak wyglądała, ale wtedy był podniecony. Kiedy położył jej dłoń na tyłku, podniecił się — co by było, gdyby spróbował wsunąć jej dłoń między uda? Poczuł, jak w kroczu rozpręża się dotychczas skulone napięcie, zwinął się z bólu.

Jan miała długie włosy, prawie do pasa. Jej piersi były mniejsze niż tamtej dziewczyny, która go pocałowała. Jan nie chciała mu się oddać. Chciała się kochać, ale nie dopuszczała do tego. Garraty wiedział, że niektórzy chłopcy potrafią dziewczyny namówić, ale jemu się to nie udawało. Zastanawiał się, ilu uczestników Wielkiego Marszu jest prawiczkami. Czy Gribble, który nazwał majora mordercą, jest prawiczką? Pewnie tak.

Minęli granicę miasta Caribou. Stał tam duży tłum i wozy transmisyjne jednej z wielkich sieci telewizyjnych. Bateria reflektorów skąpała drogę w jaskrawym blasku. Mieli wrażenie, że nagle weszli do ciepłej zatoki słonecznego światła i zaraz będą musieli ją opuścić.

Tłusty dziennikarz w trzyczęściowym garniturze truchtał obok, podtykając mikrofon różnym zawodnikom. Za nim dwóch zaafetowanych techników rozwijało bęben z przewodem.

— Jak się czujesz?

— Dobrze. Chyba dobrze.

— Zmęczony?

— No, hm, wie pan. Ale nic poważnego.

— Jak teraz oceniasz swoje szansę?

— Nie wiem... chyba nie najgorzej. Wciąż jestem w formie.

Spytał potężnego jak byk faceta, Scramma, co myśli o Wielkim Marszu. Scramm uśmiechnął się szeroko i powiedział, że to, kurwa, największa sprawa, jaką widział w życiu, i reporter zrobił gest cięcia nożyczkami w kierunku techników. Jeden z nich pokiwał ze znużeniem głową.

Niebawem skończył mu się przewód mikrofonowy i zaczął wracać zygzakami do wozu transmisyjnego, starając się

nie zaplątać w zwoje kabla. Tłum wiwatował entuzjastycznie. Zdjęcia majora unosiły się i opadały rytmicznie na kijach tak świeżych i nowych, że nadal puszczały sok. Kiedy kamera przejechała po tłumie, krzyki sięgnęły zenitu, różni ludzie pozdrawiali ciocie i wujków.

Za zakrętem był sklepik, którego właściciel, niewysoki mężczyzna w poplamionym białym ubraniu roboczym, wystawił lodówkę ze słodkimi napojami orzeźwiającymi i z napisem: NA KOSZT FIRMY DLA WAS, CHŁOPCY! EV CZĘSTUJE! W pobliżu parkował radiowóz i dwaj policjanci cierpliwie tłumaczyli Evowi, jak niewątpliwie czynili każdego roku, że przepisy nie pozwalają widzom na jakąkolwiek pomoc — w tym rozdawanie napojów orzeźwiających — zawodnikom.

Minęli Zakłady Papiernicze Caribou, SA, potężny szerniały od sadzy budynek nad brudną rzeką. Pracownicy ustawili się przy grubej siatce drucianej obwiedzionej u góry drutem kolczastym, wiwatując dobrodusznie i machając rękami. Kiedy ostatni z zawodników — Stebbins — minął fabrykę, rozległ się gwizdek. Garraty obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak szeregiem wracają do środka.

— Spytał cię, Garraty? — odezwał się Gary Barkovitch.

— Kto o co mnie zapytał? — Garraty nagle poczuł ogromne znużenie.

— Reporter, barania głowo. Czy zapytał cię, jak się czujesz?

— Nie, nie dostał się do mnie. — Marzył, żeby Barkovitch zniknął. Marzył, żeby znikł też pulsujący ból w podszewkach stóp.

— Mnie spytał. Wiesz, co powiedziałem?

—Mhm.

— Że czuję się świetnie — oznajmił agresywnie Barkovitch. Żółty kapelusz nadal majtał mu z kieszeni. — Że czuję się naprawdę bardzo silny. Że jestem gotów iść w nieskończoność. I wiesz, co jeszcze?

— Cicho bądź! — rzekł Pearson.

— Co się wtrącasz, ty smutny złamasie?

— Spływaj — powiedział McVries. — Głowa mnie boli od twego gadania.

Barkovitch podszedł trochę do przodu i dopadł Colliego Parkera.

— Czy pytał cię, jak...

— Zjeżdżaj stąd, bo tak ci wykręcę nochal, że wsadzisz go sobie w tyłek — warknął Collie Parker.

Barkovitch szybko się oddalił. Wieść o Colliem Parkerze głośiła, że wredny z niego sukinsyn.

— Ten gość doprowadza mnie do szewskiej pasji — wyznał Parker.

— Ucieszyłyby się, gdyby to słyszał — powiedział McVries. — On to lubi. I jeszcze powiedział tamtemu reporterowi, że planuje zatańczyć na wielu grobach. A na dodatek faktycznie tak myśli. To dodaje mu sił.

— Jak napatoczy się tu następny raz, chyba podłożę mu nogę — rzekł Olson. Jego głos był głuchy i wyzbyty sił.

— Cyt, cyt — napomniął go McVries. — Wskazówka numer osiem: „Nie wchodźcie w drogę kolegom”.

— Wiesz, co możesz zrobić ze wskazówką numer osiem — rzekł Olson z bladym uśmiechem.

— Uważaj! — radośnie McVries wyszczerzył zęby. — Zaczynasz gadać jak człowiek.

Do siódmej szybkość, która zaczęła opadać do minimum, podniosła się trochę. Było chłodno i szybszy marsz rozgrzewał. Przeszli pod wiaduktem autostrady i kilkoro ludzi przywitało ich okrzykami, zjadając pączki w oszklonym barze przy zjeździe.

— Gdzieś dochodzimy do autostrady, no nie? — spytał Baker.

— W Oldtown — wyjaśnił Garraty. — Jakies sto dziewięćdziesiąt kilometrów stąd.

Harkness zagwizdał przez zęby.

Niedługo potem weszli do centrum Caribou. Mieli za sobą siedemdziesiąt kilometrów marszu.

Rozdział czwarty

W ekstremalnym teleturnieju uczestnik przegrywający będzie zabijany.

Chuck Barris

twórca teleturniejów

prowadzący *The Gong Show*

Caribou sprawiło zawód wszystkim.

Było zupełnie jak Limestone.

Tłumy zgromadziły się większe, ale poza tym — jakaś fabryczka i warsztat samochodowy, parę sklepów i stacji paliwowych, jedyny supermarket, w którym odbywała się NASZA COROCZNA STAŁA WYPRZEDAŻ, jak głosiły rozwieszone wszędzie afisze, i park z pomnikiem nieznanego żołnierza. Mała, niezgrana orkiestra licealna odegrała hymn narodowy, mieszankę marszów paradnych, a potem „Maszerując do Pretorii”, świadectwo tak złego smaku, że było to niemal złowieszcze.

Ta sama kobieta, która robiła zamieszenie na skrzyżowaniu wiele kilometrów wcześniej, znów się pojawiła. Nadal szukała Percy'ego. Tym razem udało się jej przebić przez kordon policyjny i wbiec aż na drogę. Roztrącała chłopaków, niechcący nawet jednego przewróciła. Wrzeszczała na Percy'ego, żeby już wracał do domu. Żołnierze sięgnęli po broń i wyglądało na to, że mamusia Percy'ego zaraz zarobi czerwoną kartkę, ale jakiś gliniarz ściągnął ją z drogi. Na wielkim koszu z napisem DBAJ O CZYSTOŚĆ siedział chłopczyk, jadł hot doga i przyglądał się, jak gliniarze pakują mamusią Percy'ego do radiowozu. Incydent z mamusią Percy'ego był największym wydarzeniem przemarszu przez Caribou.

— Co będzie następne po Oldtown, Ray? — zapytał McVries.

— Nie jestem chodzącą mapą drogową — rzekł poirytowany Garraty. — Chyba Bangor. Potem Augusta. Potem Kittery i granica stanu, jakieś pięćset trzydzieści kilometrów stąd. Plus minus. Wystarczy? Więcej nie wiem. Ktoś zagwizdał.

— Pięćset trzydzieści kilometrów!

— Niewiarygodne — stęknął ponuro Harkness.

— Cała ta cholerna impreza jest niewiarygodna — powiedział McVries. — A gdzie się podziewa major?

— Z nie swoją żonką w Auguście — mruknął Olson.

Wszyscy się szeroko uśmiechnęli i Garraty pomyślał, jak dziwny los spotkał majora, który w ciągu zaledwie kilku godzin przeistoczył się z boga w rozpustnika.

Zostało dziewięćdziesięciu pięciu. Ale wcale nie to było najgorsze. Najgorsze było wyobrażenie sobie, że McVries albo Baker kasują czerwoną kartkę. Albo Harkness, z jego idiotycznym pomysłem na temat książki. Garraty starał się o tym nie myśleć.

Kiedy tylko Caribou zostało za nimi, droga wyludniła się całkowicie. Szli przez wiejskie skrzyżowania z wysokimi lampami drogowymi. W ich mocnym świetle rzucali ostro zarysowane czarne cienie. W oddali zagwizdał pociąg. Księżyc siał słabe światło na mgłę, która mieniła się perłowo nad polami.

Garraty pociągnął łyk wody.

— Upomnienie! Dwunastka, upomnienie! To twoje ostatnie upomnienie!

Dwunastka. Fenter, chłopak w podkoszulku z napisem WJECHAŁEM KOLEJKA LINOWA NA GÓRĘ WASZYNGTONA. Oblizywał wargi. Rozeszła się wieść, że bardzo go boli stopa. Kiedy dziesięć minut później rozległy się strzały, Garraty nie czuł wiele. Był zbyt zmęczony. Obszedł Fentera. Zobaczył, że w jego dłoni coś błyszczy. Był to medalik ze świętym Krzysztofem.

— Jak z tego wyjdę — nagle powiedział McVries — to wiecie, co zrobię?

— Co? — spytał Baker.

— Będę kopolował, aż mi kutas zsinieje. W życiu nie byłem tak napalony jak w tej chwili, za

kwadrans ósma, pierwszego maja.

— Mówisz poważnie? — zapytał Garraty.

— Poważnie. Byłbym napalony nawet na ciebie, Ray, gdyby nie to, że jesteś nieogolony. Garraty wybuchnął śmiechem.

— Jestem królewiczem z bajki — powiedział McVries. Dotknął blizny. — Teraz potrzeba mi tylko śpiącej królowy. Mógłbym pocałować ją z języczkiem aż do utraty tchu, a potem odjechalibyśmy na tle zachodzącego słońca. Co najmniej do najbliższego hotelu.

— Odmaszerowalibyście — poprawił go bezbarwnie Olson.

— He?

— Odmaszerowalibyście na tle zachodzącego słońca.

— Odmaszerowalibyśmy, niech będzie — zgodził się McVries. — Tak czy inaczej, to byłaby prawdziwa miłość. Wierzysz w prawdziwą miłość, drogi Hanku?

— Wierzę w dobre walenie — powiedział Olson i Art Baker ryknął śmiechem.

— Ja wierzę w prawdziwą miłość — oznajmił Garraty i pocałował tego. Zabrzmiało to naiwnie.

— Chcecie wiedzieć, dlaczego ja nie? — powiedział Olson. Spojrzał na Garraty'ego i wykrzywił twarz w budzącym strach uśmiechu. — Zapytajcie Fentera. Zapytajcie Zucka. Oni wiedzą.

— Nie pieprz głupot — powiedział Pearson. Poprzednio wyłonił się nie wiedzieć skąd i znów szedł z nimi. Kulał, niezbyt mocno, ale wyraźnie.

— To wcale nie są głupoty — orzekł McVries i po chwili dodał tajemniczo: — Nikt nie kocha umarłaków.

— Edgar Allan Poe kochał — powiedział Baker. — Miałem o nim referat w szkole i znalazłem, że miał tendencje do ni—kro... nakro...

— Nekrofilii — skończył za niego Garraty.

— No, zgadza się.

— Co to znaczy? — spytał Pearson.

— To znaczy, że strasznie kusi cię, by się popieprzyć z nieżywą kobietą — powiedział Baker. — Albo z nieżywym mężczyzną, jak jesteś kobietą.

— Albo jeśli jesteś szajbnięty — wtrącił McVries.

— O czym wy gadacie, do diabła? — zaskrzeczał Olson. — Walenie trupów? Kurwa, obrzydliwe!

— Czemu nie? — usłyszeli głęboki, ponury głos. To odezwał się Abraham, dwójka. Wysoki, niezgrabny; maszerował, jakby zaraz miał się rozsypać. — Myślę, że wszyscy moglibyśmy się zastanowić nad rodzajem życia seksualnego w przyszłym świecie.

— Ja biorę Marilyn Monroe — powiedział McVries. — Ty możesz mieć Eleanor Roosevelt, Abe, stary druhu.

Abraham w wulgarnym geście pokazał mu palec. Daleko w przedzie żołnierz udzielił upomnienia bucącym głosem.

— Zaraz, sekundę. Zaczekajcie sekundę, do kurwej mać. — Olson mówił wolno, jakby problem wysłowienia się przerastał jego możliwości. — Wszyscy gadacie nie na temat. Wszyscy.

— „Transcendentalna wartość miłości”, wykład znanego filozofa i etiopskiego garniarza — powiedział McVries. — Autora „Żeby być laską, musisz mieć szpasko” i innych dzieł...

— Przestańcie! — zawołał Olson. Głos miał ostry jak odłamek szkła. — Miłość to nabieranie gości! To nic! To wielkie, okrągłe zero! Zrozumiano?!

Nikt nie odpowiedział. Garraty popatrzył przed siebie, tam gdzie wzgórza barwy węgla drzewnego zbiegały się z granatem niebem nabijanego ćwiekami gwiazd. Zastanawiał się, czy ból w podbiciu lewej stopy to pierwsze oznaki sforsowania nogi. Chcę usiąść, pomyślał z irytacją. Niech to szlag, chcę usiąść.

— Miłość to oszustwo! — głośił na wsze strony Olson. — Są trzy wielkie prawdy na tym świecie: dobre zarcie, dobre walenie i dobre sranie! Na tym koniec!!! A kiedy jesteś jak Fen—ter i Zuck...

— Zamknij się — powiedział ktoś znużonym tonem i Garraty wiedział, że to Stebbins. Ale kiedy się obejrzał, Stebbins tylko patrzył na drogę, idąc przy lewym poboczu.

Przeleciał odrzutowiec, ciągnąc za sobą rumor silników i rysując pierzastą linię na nocnym niebie. Przeleciał tak nisko, że dostrzegli pulsujące światła pozycyjne, żółte i zielone. Baker znów gwizdał. Powieki opadły Garraty'emu prawie zupełnie. Jego nogi poruszały się same.

Na wpeł uspijony umysł rozpoczął samodzielną pracę. Przypadkowe myśli gonity się leniwie.

Garraty przypomniał sobie, jak matka śpiewała mu irlandzką kołysankę, kiedy był maleńki... coś o goniących się ślimakach. Jej twarz była wielka i piękna, jak twarz aktorki na ekranie kinowym. Chciał matkę pocałować i kochać ją wiecznie. Kiedy urośnie, ożeni się z nią.

Ten wizerunek zastąpiła łagodna, typowo polska twarz Jan i jej ciemne, spływające do pasa włosy. Miała na sobie krótki szlafroczek, a pod nim dwuczęściowy kostium kąpielowy, bo jechali na plażę. Garraty nosił postrzępione dżinsowe szorty i klapki.

Jan znikła. Jej twarz stała się twarzą Jimmy'ego Owensa, dzieciaka mieszkającego przecnicę za Garratami. Garraty miał pięć lat i Jimmy miał pięć lat, kiedy matka Jimmy'ego przyłapała ich bawiących się w doktora w piaskownicy za domem. Obu stanęła pyta. Tak na to mówili — stanęła mi pyta. Matka Jimmy'ego wezwała jego matkę, a mama odprowadziła go do domu i zapytała, co by to było, gdyby kazała mu wyjść nago na ulicę. Wstydził się, płakał i błagał, żeby nie musiał wychodzić goły na ulicę... i żeby nie mówiła nic ojcu.

Ma siedem lat. Razem z Jimmym Owensem zaglądają przez szare od brudu okna kanciapy składu materiałów budowlanych, patrzą na kalendarz z nagimi paniami, wiedzą, na co patrzą, ale naprawdę nie widzą, czują pełznące, podniecające ukłucia nie wiadomo czego. Długo oglądali blondynkę z kawałkiem niebieskiego jedwabiu na biodrach. Klócili się, co może być pod materiałem. Jimmy powiedział, że widział mamę nago, więc wie. Była tam owłosiona i miała szparę. Garraty nie chciał uwierzyć Jimmy'emu, bo to było wstrętne.

Niemniej jednak był pewien, że panie muszą się tam różnić od mężczyzn i cały wieczór dyskutowali na ten temat, tłukąc komary i przyglądając się, jak na parkingu firmy transportowej starsi chłopcy grają w baseball. Garraty czuł, faktycznie czuł w późnie twarzenie poniżej podbrzusza.

Następnego roku, podczas zabawy, uderzył Jimmy'ego Owensa w usta lufą dziecinnej wiatrówki, lekarze musieli założyć cztery szwy na górnej wardze. Rok potem wyprowadził się z rodziną. Nie uderzył Jimmy'ego w usta celowo. To był przypadek. Tego był całkiem pewien, tym bardziej że do tamtej pory przekonał się, że Jimmy miał wtedy rację, bo sam zobaczył swoją matkę nagą (nie zrobił tego celowo — to był przypadek). Kobiety są owłosione tam na dole. I mają szparę.

Ciii, to nie tygrys, tylko miś, widzisz, słonko, to twój miś... Złoty ślimak goni ślimaczka... Mamusia kocha swego chłopaczka... Ciii, synku, zaśnij już...

— Upomnienie! Czterdziestkasiódemka, upomnienie! Ktoś łokciem brutalnie szturchnął go w żebro.

— To ty. Pobudka. — McVries uśmiechał się do niego.

— Która godzina? — spytał ochryple Garraty.

— Ósma trzydzieści pięć.

— Dopiero? Przecież spałem...

— ...wiele godzin. Znam to uczucie.

— No, tak mi się wydawało.

— Twój umysł tak się ratuje — powiedział McVries. — Nie miałbyś ochoty, żeby twoje stopy mogły skorzystać z czegoś podobnego?

— Ja korzystam z laksigenu — oznajmił Pearson z miną idioty. — Czy nie miałbyś ochoty, żeby wszyscy korzystali z czegoś podobnego?

Garraty pomyślał, że wspomnienia są jak linia na piasku. Im dalej idziesz, tym jest węższa i mniej widzialna. Aż wreszcie nie ma niczego, jedynie gładki piach i czarna dziura nicości, z której wyszedłeś. Wspomnienia były w pewien sposób jak ta droga. Tu prawdziwa, twarda i namacalna. Ale jej początek, tamta droga z dziewiątej rano, był daleki i bez znaczenia.

Mieli za sobą prawie osiemdziesiąt kilometrów. Rozeszła się wieść, że kiedy będą mieli równą osiemdziesiątkę, major zjawi się dżipem na przegląd i wygłosi krótką mowę. Garraty pomyślał, że to najpewniej sranie w banię.

Wspinali się na długie, strome wzniesienie i Garraty'ego znów kusilo, by zdjąć kurtkę, ale tylko ją rozpiął. Szedł tyłem przez pół minuty. Widział migoczące światła Caribou i myślał o żonie Lota, która odwróciła się i zamieniła w słup soli.

— Upomnienie! Czterdziestkasiódemka, upomnienie! To twoje drugie upomnienie!

Garraty dopiero po chwili uświadomił sobie, że chodzi o niego. Drugie upomnienie w ciągu dziesięciu minut. Znów poczuł strach. Pomyślał o bezimiennych chłopaku, który zginął, bo zwolnił o raz za dużo. Czy zachowywał się tak samo?

Rozejrzał się wkoło. McVries, Harkness, Baker i Olson, wszyscy mu się przyglądali. Olson

wyglądał na zadowolonego. Przetrzymał sześciu, chciał zamknąć swoją szczęśliwą siódmkę na Garratym. Chciał, żeby Garraty zginął.

— Co się gapisz, dawno w ryja nie dostałeś?

— Wcale się nie gapię — powiedział Olson, uciekając wzrokiem. — Nic, nic.

Teraz Garraty maszerował z determinacją, wymachując agresywnie ramionami. Była za dwadzieścia dziewięć. Za dwadzieścia jedenasta — trzynaście kilometrów dalej — znów będzie wolny. Poczł historyczne pragnienie ogłoszenia wszem wobec, że stać go na to, że nie pójdzie o nim wieść, że nie zobaczą, jak dostaje czerwoną kartkę... przynajmniej na razie.

Mgła rozchodziła się po drodze cienkimi smużkami jak dym. Sylwetki chłopców sunęły przez nią niczym ciemne wysepki porwane falą. Na osiemdziesiątym kilometrze minęli stary zamknięty zakład samochodowy ze zżartym przez rdzę dystrybutorem. Był to niewyraźny, groźny kształt we mgle. Jasno błyszczały jarzeniówki budki telefonicznej. Major się nie stawiał. Nikt się nie stawiał.

Droga opadła łagodnie i zakręciła, po czym wynurzył się żółty znak drogowy. Poszła o nim wieść, ale zanim dotarła do Garraty'ego, sam odczytał napis:

OSTRE WZNIESIENIE CIĘŻKIE POJAZDY ZREDUKOWAĆ BIEGI

Jęki i stękania. Gdzieś z przodu Barkovitch zawołał radośnie:

— Dalej, bracia! Kto ściga się ze mną na górę?

— Zamknij pysk, ty świrze — powiedział ktoś spokojnie.

— Sam spróbuj mi zamknąć, barania głowo! — zapiszczał Barkovitch. — Chodź tu i spróbuj!

— Rozsypuje się — orzekł Baker.

— Nie — odparł McVries. — Tylko się gniew. Faceci jego pokroju są potwornie giętycy.

— Nie wejdę na tę górę — stwierdził Olson spokojnym tonem przedsiębiorcy pogrzebowego. — Nie z szybkością sześciu kilometrów na godzinę.

Wzgórze ciemniało przed nimi. Byli prawie u podnóża. Szczyt niknął we mgle. Wydawało się, że czeka ich wspinaczka w nieskończoność.

Zaczęli piąć się pod górę.

Nie było tak źle. Garraty wbijał wzrok w ziemię i pochylił się trochę. Patrzył wyłącznie na wąski pasek nawierzchni między stopami, więc miał wrażenie, że maszeruje po płaskim. Oczywiście, nie mógł oszukiwać samego siebie, że płuca i serce mu nie płoną, bo płonęły.

Jakoś zaczęły rozchodzić się wieści — pewnie niektórzy mieli jeszcze zapas powietrza w płucach do stracenia. Wieść głosiła, że droga w górę ma czterysta metrów długości. Potem — że ma trzy tysiące dwieście metrów długości. Że zaledwie rok temu trzech chłopaków dostało tu czerwoną kartkę. Po tej ostatniej wieści przestały się rozchodzić.

— Nie dam rady — powtarzał monotoniem Olson. — Więcej

nie dam rady. — Dyszał jak pies. Ale maszerował dalej, jak wszyscy. Słychać było niewyraźne stękania, przyspieszone oddechy, szuranie wielu stóp i zgrzyt gąsienic transportera sunącego obok.

Garraty czuł, jak narasta w nim obezwładniający strach. Naprawdę mógł tu umrzeć. To nie było wcale takie trudne. Obijał się i dostał już dwa upomnienia. W tej chwili wyciągał niewiele ponad normę. Wystarczyło mu tylko troszeczkę zwolnić i zaliczyć trzecie — ostateczne. A wtedy...

— Upomnienie! Siedemdziesiątka, upomnienie!

— Mówią o tobie, Olson — wydyszał McVries między sapnięciami. — Dodaj gazu. Masz zatańczyć na tym pagórku jak Fred Astaire.

— Co cię to obchodzi? — spytał wściekle Olson.

McVries nie odpowiedział. Olson znalazł w sobie jeszcze jakąś rezerwę i przyspieszył. Garraty zastanawiał się ponuro, czy ta rezerwa Olsona to jego ostatni zapas sił. Zastanawiał się też nad Stebbinsem, wlokącym się na szarym końcu grupy. Jak leci, Stebbins? Jesteś zmęczony?

W przedzie Larson, zawodnik numer sześćdziesiąt, nagle siadł na drodze. Dostał upomnienie. Grupa chłopaków się rozstała i ominęła go, jak Morze Czerwone dzieci Izraela.

— Tylko trochę odsapnę, dobra? — powiedział Larson z ufnym uśmiechem wojaka w szoku po ostrzale artyleryjskim. — W tej chwili nie dam rady więcej maszerować. — Coraz szerzej uśmiechał się do żołnierza, który zeskoczył z transportera, trzymając w dłoni chronometr.

— Upomnienie, sześćdziesiątka! Drugie upomnienie!

— Słuchaj, zaraz wyrównam do reszty — zapewniał go Larson. — Tylko odpoczywam. Nie da

się iść przez cały czas. Nie przez cały czas. Nie da się, nie, chłopaki?

Olson jęknął z cicha, mijając go i odskoczył trochę, kiedy Larson próbował pociągnąć go za nogawkę.

Garraty poczuł ciężką pracę ciepłego pulsu w skroniach. Larson dostał trzecie upomnienie... I teraz zrozumie, pomyślał Garraty. Teraz wstanie i weźmie się do galopu.

Wyglądało na to, że Larson w końcu zrozumiał. Wracające poczucie rzeczywistość runęło na niego jak skała.

— Hej! — odezwał się za plecami Garraty'ego cienkim głosem. — Hej, chwila, nie rób tego, już wstaję. Hej, daj spokój! Nie...

Wystrzał. Maszerowali w górę.

— Na półce zostały dziewięćdziesiąt trzy butelki piwa — rzekł cicho McVries.

Garraty nie odpowiedział. Wpatrywał się w ziemię, maszerował i skupił się bez reszty na tym, żeby dojść na szczyt, nie dostając trzeciego upomnienia. Ten potwór, to wzgórze, nie mogło się już długo piętrzyć. Na pewno nie mogło.

Na przedzie ktoś wydał cienki, załamujący się krzyk, a potem unisono gruchnęły karabiny.

— Barkovitch — zachrypiał Baker. — To był Barkovitch, jestem pewien, że to on.

— Mylisz się, buraku! — zawył z ciemności Barkovitch. — Mylisz się na sto procent!

Nie zobaczyli chłopaka, który został zastrzelony po Larsonie. Należał do czołówki i został ściągnięty z drogi, zanim tam dotarli. Garraty zaryzykował oderwanie wzroku od nawierzchni i natychmiast tego pożałował. Ledwo, ledwo dostrzegł szczyt wzgórza. Nadal mieli do niego kawał długości boiska futbolowego. Boiska na dwieście kilometrów. Nikt nie powiedział nic więcej. Każdy wycofał się do własnego świata bólu i wysiłku. Sekundy wydłużały się w godziny.

Nieopodal szczytu polna droga odchodziła od głównej i stali tam ludzie. Obserwowali zawodników — chłop z głębokim zmarszczkami na czole, jego żona o profilu wyrazistym i ostrym jak tasak, ubrana w bezkształtną płócienną kurtę, trzech wyrostków wyglądających na półgłówków.

— Potrzeba mu tylko... grabi — wydyszał McVries. Pot łał mu się z twarzy strumieniami. — I... Granta Wooda... żeby go namalował.

— Witajcie, gospodarzu! — zawołał ktoś.

Chłop, żona chłopca i synowie chłopca nie powiedzieli nic. Nie uśmiechnęli się. Nie nachmurzyli. Nie trzymali tablic z napisami. Nie machali rękami. Garraty przypomniał sobie scenę z westernu — do bohatera porzuconego na śmierć na pustyni zlatują się sępy i krążą wysoko. Zapewne chłop, żona chłopca i trzech głupich synów chłopca będą tu koło dziewiątej wieczorem następnego pierwszego maja... i następnego... i następnego... Ilu chłopców zastrzelono na ich oczach? Kilkunastu? Dwóch? Garraty nie miał ochoty o tym myśleć. Pociągnął łyk z manierki, przepłukał usta, pozbywając się skorupy zaschniętej śliny. Splunął obficie.

Wzgórze ciągle się przed nim piętrzyło. Na przedzie zemdłał Toland — żołnierz upomniał nieprzytomnego trzy razy i strzelił. Garraty miał wrażenie, że wspinają się na wzgórze już miesiąc. Tak, miesiąc, i to przy ostrożnej ocenie, bo tak naprawdę to maszerowali już ponad trzy lata. Zachichotał, pociągnął kolejny łyk wody, przepłukał usta i przełknął wodę. Żadnych skurczów. Skurcze by go teraz wykończyły. Ale były niewykuczone. Były niewykuczone, bo kiedy się nie patrzył, ktoś nalał mu do butów płynnego ołowiu.

Dziewięciu nie żyło, z tego trzech załatwiono na wzgórzu. Major powiedział Olsonowi, żeby pokazał im, jak wygląda piekło. No, jeśli to nie było piekło, to całkiem udana podobizna. Całkiem udana...

Garraty nagle zdał sobie sprawę, że ma silne zawroty głowy i może zemdleć. Uderzył się mocno po twarzy. Z jednej strony, z drugiej...

— Dobrze... się czujesz...? — spytał McVries. Miał szybki świszczący oddech.

— Chyba zaraz zemdleję.

— Wylej... sobie manierkę... na głowę...

Woda była bardzo zimna. Przestał mieć wrażenie, że zemdleje. Chrzczę cię, Raymondzie Davisie Garraty, pax vobiscum... Trochę wody spłynęło mu do spodni zimnymi strumyczkami.

— Manierka dla czterdziestkisiódemki! — krzyknął z wysiłkiem, który znów wydrenował go z sił. Powinien trochę odczekać.

Żołnierz podbiegł ze świeżą manierką. Oczami bez wyrazu, niczym szklane kulki, oceniał go.

— Wynocha — rzekł Garraty, odbierając manierkę. — Dostajesz żołd, żeby mnie zastrzelić, a nie

żeby mi się przyglądać.

Zmusił się do trochę szybszego marszu. Nadal się wspinali; nikt już nie dostał czerwonej kartki i wtem znaleźli się na szczycie. Była dziewiąta. Szli od dwunastu godzin. To nie miało żadnego znaczenia. Znaczenie miał jedynie chłodny wietrzyk na szczycie wzgórza. I głos ptaka. I dotyk mokrej koszuli na ciele. I własne wspomnienia. Garraty trzymał się ich rozpaczliwie. Nadal je miał.

— Pete?

— No.

— Człowieku, cieszę się, że żyję.

McVries nie odpowiedział. Teraz stok opadał w dół. Maszerowanie było łatwe.

— Będę wyłaził ze skóry, żeby żyć dalej — rzekł Garraty niemal przepraszająco.

Droga opadała łagodnie. Mieli jeszcze sto osiemdziesiąt pięć kilometrów do Oldtown i względnie płaskiej autostrady.

— O to chodzi, no nie? — powiedział wreszcie McVries. Głos mu się łamał i rwał, jakby dochodził z jakiejś zakurzonej piwnicy.

Nie odzywali się przez chwilę. Nikt się nie odzywał. Baker kroczył spokojnie — jeszcze nie został ani razu upomniany — z rękami w kieszeniach, kołysząc się na boki i kiwając lekko głową. Olson wrócił do Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Jego twarz była białą plamą w ciemności. Harkness się posilał.

— Garraty... — powiedział McVries.

— Tu jestem.

— Widziałeś kiedyś końcówkę Wielkiego Marszu?

— Nie, a ty?

— Do diabła, nie. Tylko pomyślałem sobie, że mieszkając tak blisko i w ogóle...

— Mój ojciec tego nie cierpiał. Wziął mnie na jedną, jak to nazywał, lekcję pogładową. Ale to był jedyny raz.

— Ja widziałem.

Garraty aż podskoczył na dźwięk tego głosu. To był Stebbins. Zrównał się prawie z nimi, nadal miał zwieszoną głowę, jasne włosy opadały mu na uszy niczym jakaś obrzydliwa aureola.

— Jak to wyglądało? — Głos McVriesa zabrzmiał młodziej.

— Wolałbyś nie wiedzieć — powiedział Stebbins.

— Zadałem ci pytanie, no nie?

Stebbins nic nie odrzekł. Garraty był ciekaw jak nigdy. Stebbins nie wysiadł. Nie wyglądał na zmęczonego. Szedł bez narzekań i nie dostał ani jednego upomnienia.

— No, jak to wyglądało? — spytał Garraty niespodziewanie dla samego siebie.

— Widziałem końcówkę cztery lata temu — rzekł Stebbins. — Miałem trzynaście lat. To było jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od granicy New Hampshire. Postawili na nogi Gwardię Narodową i Patrole Federalne, do wzmocnienia Policji Stanowej. Musieli to zrobić. Ludzie stali na osiemdziesięciu kilometrach zbitym dwudziestometrowym pasem po obu stronach drogi. Ponad dwudziestu zdeptano na śmierć, zanim wszystko dobiegło końca. Powodem było to, że ludzie próbowali iść razem z zawodnikami, bo chcieli zobaczyć koniec. Ja miałem miejsce w pierwszym rzędzie. Dzięki tacie.

— Co robi twój tata? — zapytał Garraty.

— Jest w Patrolach. I wymierzył to sobie co do metra. Marsz zakończył się przede mną.

— Co się stało? — zapytał cicho Olson.

— Usłyszałem, że nadchodzą, zanim ich zobaczyłem. Wszyscy ich usłyszeli. To była jedna wielka fala dźwiękowa, zbliżająca się coraz bardziej. I trwało to jeszcze całą godzinę, zanim byli na tyle blisko, że można było ich zobaczyć. Nie patrzyli na tłum, żaden z tych dwóch, którzy zostali. Chyba nawet nie zdawali sobie sprawy, że tłum jest obok. Patrzyli tylko na drogę. Kuleli. Jakby ich ukrzyżowano, zdjęto z krzyża i zmuszono do marszu, nie wyjmując gwoździ ze stóp.

Teraz wszyscy słuchali Stebbinsa. Groza rozścieliła się jak gumowa płachta tłumiąca wszystkie inne odgłosy.

— Tłum wył, choć tamci pewnie nic nie słyszeli. Część wyła nazwisko jednego, część nazwisko drugiego, ale i tak najgłośniejsze było jednostajne zawrozczenie: „Dalej!... Dalej!...”. Tłum ciskał mną jak ulęgalką. Facet obok zsiakał się w gacie.

Szli tuż obok mnie. Pierwszy z nich był wielkim blondynem w rozpiętej koszuli. Podeszwa buta

mu się oderwała, szurał nią. Drugi nie miał już nawet butów. Na nogach zostały mu ściągacze ze skarpetek. Reszta... no, po prostu zdarł ją, co nie? Stopy miał purpurowe. Widać było popękane naczynia krwionośne. Pewnie w ogóle nie czuł już stóp. Może potem udało się je uratować, nie wiem. Może się udało.

— Prześnię! Na miłość boską, prześnię! — krzyknął McVries słabym głosem.

— Chciałeś wiedzieć — odparł Stebbins, niemal wesoło. — Nie tak mówiłeś?

Transporter skomlał, klekotał i warczał na poboczu, gdzieś z przodu ktoś dostał upomnienie.

— Ten wielki blondyn przegrał. Widziałem wszystko. Wyrzucił w górę ramiona, jakby myślał, że jest Supermanem. Ale zamiast polecieć, upadł płasko na twarz i pół minuty później dostał czerwoną kartkę, bo zapychał już z trzema upomnieniami na koncie. Obaj zapychali z trzema upomnieniami na koncie.

Tłum zaczął wiwatować. Wiwatowali, wiwatowali, aż zobaczyli, że ten dzieciak, który wygrał, próbuje coś powiedzieć. No to się przymknęli. On padł na kolana, wiecie, jakby miał zamiar się modlić, i płakał. A potem przeczłogał się do tamtego chłopaka i wsadził twarz w jego rozpiętą koszulę. Zaczął coś mówić. Mówił nieżywemu w koszulę. Gadał z nieżywym. Wtedy żołnierze podbiegli do niego, powiedzieli mu, że wygrał, i spytali, co chce teraz zrobić.

— Co powiedział? — spytał Garraty. Miał wrażenie, że z tym pytaniem kładzie na szalę całe swoje życie.

— Nic im nie powiedział — rzekł Stebbins. — Gadał z tamtym nieżywym chłopakiem. Opowiadał mu coś, ale nie mogliśmy tego usłyszeć.

— Co się dalej stało? — zapytał Pearson.

— Nie pamiętam — powiedział Stebbins cicho.

Nikt się nie odzywał. Garraty poczuł napływ paniki, jakby ktoś go przemocą wepchnął do ciasnej podziemnej rury. W przedzie udzielono trzeciego upomnienia i jakiś chłopak wydał rozpaczliwy skrzek, jak zdychająca wrona. Proszę, Boże, nie pozwól im teraz zastrzelić nikogo, pomyślał Garraty. Zwariuję, jak usłyszę teraz karabiny. Proszę, Boże. Proszę, Boże.

Kilka minut potem karabiny zahuczały przez noc stalowym śmiercionośnym głosem. Tym razem był to krępy chłopak w powiewającym czerwono—białym trykocie, jakie noszą futboliści. Przez chwilę Garraty myślał, że matka Percy'ego nie będzie musiała więcej się przejmować ani martwić, ale to nie był Percy — to był chłopak o nazwisku Quincy albo Quentin, jakoś tak.

Garraty nie zwariował. Wściekły odwrócił się do Steb—binsa. Był gotów zapytać, jak się czuje, zaprawiwszy ostatnie chwile tamtego chłopaka taką grozą — ale Stebbins przesunął się do tyłu na swoje stałe miejsce i Garraty był znów sam.

Szli dalej, w dziewięćdziesięciu.

Rozdział piąty

Nie powiedział pan prawdy, więc czekają pana konsekwencje.

Bob Barker

Truth or Consequences

Za dziesięć dziesiąta tamtego nie kończącego się pierwszego dnia maja Garraty zmasał pierwsze z dwóch upomnień. Po chłopaku w futbolowym trykocie dwóch kolejnych zawodników zarobiło czerwoną kartkę. Garraty ledwo to zarejestrował. Przeprowadzał staranny remanent samego siebie.

Jedna głowa, trochę oszołomiona, świrująca, ale zasadniczo w porządku. Dwoje oczu, pięknych. Jeden kark, kompletnie sztywny. Dwoje ramion, tu żadnych kłopotów. Jeden tors, w porządku, poza ssaniem w kiszkaach, którego koncentraty nie mogły zaspokoić. Dwie cholernie zmęczone nogi. Bolące mięśnie. Zastanawiał się, jak daleko nogi zaniósł go same — jak długo potrwa, zanim mózg będzie musiał przejąć władzę, by zmusić je do pracy ponad wszelkie wyobrażalne siły, broniąc kołyski czaszki przed kulą. Jak długo potrwa, zanim nogi *zaczną* się uginać, płątać, a wreszcie zablokują się i staną.

Nogi były zmęczone, ale jak to tej pory wydawały się nadal w znakomitym porządku.

I dwie stopy. Bolące. Rozpulchnione, wszelkie zaprzeczenia nie miały sensu. Był dużym

chłopakiem. Te stopy niosły osiemdziesiąt kilogramów. Podeszwy piekły. Od czasu do czasu przesywał je dziwny ból. Lewy wielki paluch przetarł skarpetkę (przypomniał sobie opowiadanie Stebbinsa i poczuł, jak groza narasta w nim powoli) i ocierał się niewygodnie o but. Ale stopy pracowały, nie miały pęcherzy i czuł, że one również są nadal w znakomitym porządku.

Garraty, jesteś w dobrej formie, wmawiał sobie. Dwunastu gości nie żyje, dwa razy tyle pewnie ledwie zipie, ale ty jesteś mocny. Dobrze ci idzie. Żyjesz.

Rozmowy, zamarte pod koniec opowieści Stebbinsa, znów ożyły. Wymiana zdań dotyczyła tego, co robią inni. Yannik, numer dziewięćdziesiąt osiem, głośno dyskutował sprawę antenatów żołnierzy na transportowcu z Wymanem, numer dziewięćdziesiąt siedem. Osiągnęli konsensus: tamci pochodzą z owłosionej mieszanki kolorowych ras, rojącej się od bastardów.

Pearson nagle zapytał Garraty'ego:

— Miałeś kiedy lewatywę?

— Lewatywę? — powtórzył Garraty. Zastanowił się. — Nie. Chyba nie.

— A ktoś z was, chłopaki? — spytał Pearson. — Tylko mówcie prawdę.

— Ja miałem — rzekł Harkness i zachichotał. — Mama dała mi raz po Halloween, gdy byłem mały. Zjadłem wtedy prawie dwukilową torbę cukierków.

— Podobało ci się?

— Do diabła, nie! Komu, do diabła, by się podobało, kiedy mu wlewają litr ciepłej wody z mydlinami do...

— Mojemu młodszemu bratu — powiedział ze smutkiem Pearson. — Spytałem smarka, czy jest mu żal, że idę, a on powiedział, że nie, bo mama obiecała, że jeśli będzie grzeczny i nie będzie płakał, dostanie lewatywę. On je uwielbia.

— To chore! — wykrzyknął Harkness. Pearson wyglądał na przybitego.

— Też mi się tak zdaje.

Po dłuższej chwili Davidson dołączył do grupy i opowiedział, jak to kiedyś upił się na jarmarku stanowym w Steuben—ville, wlaż do namiotu z nagimi tancerkami i dostał po łbie od wielkiej tłustej burdelmamci, która miała na sobie tylko przepaskę na krocze. Tłumaczył jej (tak twierdził), że się upił i wziął namiot za salon tatuażu, a rozpalona do białości burdelmamcia dała mu się trochę popieścić tu i ówdzie (tak twierdził). Tłumaczył jej, że chce dać sobie wytatuować na brzuchu flagę państwową.

Art Baker opowiedział im o konkursie w jego rodzinnych stronach, który polegał na puszczeniu największego płonącego bąka. Jeden taki obrośnięty na tyłku równiacha, Davey Popham, spalił sobie nie tylko wszystkie włosy na tyłku, ale i na krzyżu. Smród był jak po pożarze prerii. Harkness śmiał się tak bardzo, że dostał upomnienie.

Potem opowieści potoczyły się na wyprzódki. Jedna goniła drugą, aż dobry nastrój prysł jak bańka mydlana. Ktoś dostał upomnienie, a niedługo potem inny Baker (James) zarobił czerwoną kartkę. Niektórzy rozmawiali o swoich dziewczynach, konwersacja zaczęła rwać się i utykać. Garraty nie powiedział nic o Jan, ale gdy przytoczyła się zmęczona godzina dziesiąta, czarny wór na węgiel zbrzyzgany mleczną mgłą, doszedł do wniosku, że niczego lepszego niż znajomość z Jan w życiu nie zaznał.

Przeszli pod krótką wstęgą latarni ręciovych, przez zamknięte miasteczko o oknach zaślepionych okiennicami, wszyscy teraz przyciszeni. Przed jedynym dużym sklepem młoda para siedziała na ławce przy chodniku, śpiąc głowa przy głowie. Między nimi kiwała się tablica nie do odczytania. Dziewczyna była bardzo młoda — wyglądała na niecałe czternaście lat — a chłopak nosił spraną sportową koszulkę. Rzucali na drogę cień, który zawodnicy przestępowali bez słowa. Garraty zerknął przez ramię, przekonany, że łoskot transportera musiał ich obudzić. Ale spali nadal, nieświadomi wydarzenia, które ich minęło. Zastanawiał się, czy dziewczyna dostanie burę od ojca. I czy napis na ich tablicy brzmiał: „Tempo, tempo, Garraty, synu stanu Maine”. Jakoś miał nadzieję, że tak. Jakoś ta myśl budziła w nim obrzydzenie.

Zjadł resztę koncentratu i poczuł się trochę lepiej. Teraz nie zostało nic, Olson nie będzie miał o co błagać. Z Olsonem było dziwnie. Sześć godzin wcześniej wyglądał na wykończonego, ale nadal szedł i teraz miał zatarte wszystkie upomnienia. Garraty uznał, że człowiek potrafi wiele zrobić, jeśli od tego zależy jego życie. Przeszli jakieś osiemdziesiąt osiem kilometrów.

Za bezimiennym miasteczkiem ostatecznie ucichły rozmowy. Maszerowali w milczeniu przez jakąś godzinę. Garraty znowu poczuł chłód. Zjadł resztkę ciastek mamy, zwinął folię w kulkę i cisnął w zarośla na skraju drogi. Niech życie, ten wielki krzak pomidora, daje sobie radę z kolejną mszycą.

McVries tym razem wyczarował ze swojego plecaczka szczoteczkę do zębów i z zapalem szorował na sucho zęby. Wszystko toczy się dalej, pomyślał ze zdumieniem i podziwem Garraty. Odbije ci się, mówisz „przepraszam”. Machasz ludziom, którzy machają do ciebie, bo tak nakazuje uprzejmość. Nikt się z nikim za bardzo nie kłóci (z wyjątkiem Barkovitcha), bo tak również nakazuje uprzejmość. Wszystko toczy się dalej.

A może nie? Pomyślał o McVriesie, który wśród łkań nakazał Stebbinsowi się zamknąć. O Olsonie biorącym jego serki z tępą pokorą zbitego psa. Te obrazy były bardzo intensywne, miały ostro skonstrastowane barwy i cienie.

O jedenastej wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Rozeszła się wieść, że mały drewniany most na trasie zmyła burza. Jeśli to prawda, Wielki Marsz musiałby zostać przerwany. Między zawodnikami rozległy się wąte wiwaty, a Olson słabym głosem powiedział: „Bogu dzięki”.

W chwilę potem Barkovitch zaczął bluzgać na Ranka, który mu przyłożył — czyli złamał regulamin — i został za to upomniany. Barkovitch nawet się nie zatrzymał. Zniżył głowę, zrobił unik i wrzeszczał dalej:

— No, dalej, ty sukinsynu! Cholera, jeszcze zatańczę na twoim grobie! Dalej, przebieraj szybciej nogami! Nie oszczędzaj mnie!

Rank wyprowadził następny cios. Barkovitch zręcznie uniknął uderzenia, ale potracił i przewrócił chłopaka idącego obok. Obaj dostali upomnienie, a żołnierze przyglądali się rozwojowi wydarzeń uważnie, chociaż beznamiętnie — jak parze mrówek wydzierających sobie okruszek chleba, pomyślał z goryczą Garraty.

Rank zaczął iść szybciej, nie patrząc na Barkovitcha. Sam Barkovitch wściekły za upomnienie (chłopak, którego potracił, to był Gribble, ten sam, który wcześniej chciał powiedzieć majorowi, że jest mordercą) wył pod jego adresem:

— Twoja matka to bramowa, która liże drążki, Rank!

Na to Rank nagle odwrócił się i runął na Barkovitcha.

Podniosły się okrzyki „Przestańcie!” i „Dajcie se siana!”, ale Rank nie zwracał na to uwagi. Nacierał na Barkovitcha z pochyloną głową i ryczał z wściekłości.

Barkovitch zrobił krok w bok. Rank polecał na miękkie poboczce, potykając się i kręcąc piruety, i wylądował na tyłku. Dostał trzecie upomnienie.

— Dalej, barania głowo! — judził go Barkovitch. — Wstawaj!

Rank faktycznie wstał. Ale poślizgnął się na czymś i wyliłożył na plecy. Był oszołomiony, zamoczony.

Trzecie wydarzenie około jedenastej to śmierć Ranka. Karabiny znalazły cel, zapadła chwila ciszy, a wtedy głos Ba—kera był donośny i wyraźny:

— No, Barkovitch, już nie jesteś utrapieniem. Teraz jesteś mordercą.

Karabiny zahuczały. Ciało Ranka wyskoczyło w powietrze wyrzucone przez pociski. Potem upadło nieruchome, z jednym ramieniem na drodze.

— To była jego wina! — darł się Barkovitch. — Widzieliście, pierwszy się zamachnął! Punkt ósmy! Punkt ósmy! Nikt nie powiedział nic.

— Pieprzę was! Wszystkich!

— Wracaj i potańcz sobie na nim, Barkovitch — rzucił McVries. — Zabaw nas. Postępuj na nim trochę.

— Twoja matka to też bramowa, która liże drążki, skan—cerowana mordo — powiedział ochryple Barkovitch.

— Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę twój mózg rozwalony na asfalcie — odparł mu bez emocji McVries. Ręką potarł bliznę i tarł ją, tarł, tarł. — Będę głośno wiwatować, ty skurwysynu.

Barkovitch mruzczał coś jeszcze pod nosem. Pozostali unikali jego towarzystwa, jakby był zadżumiony, i maszerował samotnie.

Jedenasta dziesiąta. Nadal nie napotkali rzeki, do której most miał się zawalić. Garraty zaczął myśleć, że wieść tym razem rozminęła się z prawdą, lecz pokonali mały wzgórek i ujrzeli w kręgu światła krzątającą się grupkę ludzi.

Światło zapewniało kilka ciężarówek ustawionych maskami ku mostkowi spinającemu brzegi rzeczki.

— Uwielbiam ten most — powiedział Olson i poczęstował się papierosem McVriesa. — Wierzcie mi, uwielbiam.

Ale kiedy się zbliżyli, Olson stęknął cicho i odrzucił papierosa w trzciny. Jedno z przęsł i dwie ciężkie bele zostały zmyte, ale Patrol wykonał dobrą robotę. W dno strumienia wbito ścięty słup telefoniczny, osadziwszy go chyba w gigantycznym betonowym korku. Nie było szans na wymianę belek, więc zamiast nich położono klapę z wielkiej ciężarówki. Rozwiązanie tymczasowe, ale skuteczne.

— Most moich marzeń i snów — powiedział Abraham. —Może jak ci z czołówki potupią trochę, znów się zawali.

— Mała szansa — powiedział Pearson, a potem dodał łamiącym się, płaczącym głosem: — Ech, do dupy!

Czołówka, kilku chłopaków, była teraz na moście. Przemaszerowała przez most; zadudniło głucho. Transporter zahamował. Zeskoczyli z niego dwaj żołnierze i dogonili chłopaków. Z drugiej strony mostku następnym dwóch żołnierzy doszło do czołówki. Teraz cały most dudnił miarowo.

Dwaj mężczyźni w sztruksowych kurtkach opierali się o wielką ciężarówkę zbryzganą asfaltem. Palili papierosy. Na nogach mieli cholewiaki. Przyglądali się zawodnikom. Kiedy Davidson, McVries, Olson, Pearson, Harkness, Baker i Garraty minęli ich w luźnej grupie, jeden z mężczyzn pstryknięciem cisnął papierosa do wody i powiedział:

— To ten. Garraty.

— Zasuwasz, chłopcze! — wrzasnął drugi. — Postawiłem na ciebie dychę. Stoisz dwanaście do jednego!

Kilka zakurzonych słupów telefonicznych spoczywało na pace ciężarówki. Ci mężczyźni należeli do grupy, która gotowa była wyleźć ze skóry, by zasuwiał dalej, czy chciał tego, czy nie. Pozdrowił ich podniesieniem ręki. Kłapa zastępująca bele zadzwieczała mu pod butami, po czym most znalazł się z tyłu. Droga zakręcała pod kątem prostym i jeszcze przez jakiś czas szeroki klin światła na drzewach z boku drogi przypominał o nadziei na odpoczynek.

— Czy kiedykolwiek zatrzymano Wielki Marsz? — spytał Harkness.

— Nie wydaje mi się — powiedział Garraty. — Potrzebujesz do książki?

— Nie — odparł Harkness. Miał zmęczony głos. — Na osobisty użytek.

— Zatrzymuje się go każdego roku — odezwał się zza ich pleców Stebbins. — Raz.

Nikt na to nie odpowiedział.

Jakieś pół godziny później McVries podszedł do Garraty'ego. Chwilę milczał, a potem spytał po cichu:

— Myślisz, że wygrasz, Ray?

Garraty zastanawiał się nad tym długo, bardzo długo.

— Nie — powiedział w końcu. — Nie, ja... nie.

Ta nagła pewność go wystraszyła. Znow pomyślał o zarobieniu czerwonej kartki, nie, zarobieniu kulki, o ostatniej sekundzie życia, spojrzeniu w bezdenne lufy karabinów obracających się w jego kierunku. Nogi zastygają. Kiszki skręcają się i kurczą. Mięśnie, genitalia, mózg, wszystko cofa się w panice przed otchłanią.

Przełknął z trudem ślinę.

— A ty?

— Chyba nie. Przestałem myśleć, że mam jakieś realne szansę, dzisiaj w nocy około dziewiątej. Widzisz... — McVries odchrząknął. — Ciężko to powiedzieć, ale... ja wszedłem w to wiedząc, co się święci. Wielu z nich nie miało specjalnego pojęcia, wiesz? Ja znałem szansę. Ale nie zastanowiłem się nad ludźmi. I chyba w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, jak to wygląda bez żadnych upiększeń. Chyba wyobrażałem sobie, że kiedy pierwszy facet będzie miał tak dość, że odpadnie na amen, wtedy wycelują w niego, pociągną za spusty i z luf karabinów wyskoczą chorągiewki z napisem PIF—PAF, a... a... a major powie: „Prima aprilis!” i wszyscy wrócimy do domów. Kojarzysz, o co mi chodzi?

Garraty pomyślał o paraliżującym szoku, którego doznał, kiedy Curley runął na ziemię w fontannie krwi i mózgu wyglądającego jak owsianka, mózgu, który zachlapał beton i białą linię.

— Tak — powiedział. — Kojarzę.

— Zrozumienie tego zabrało mi jakiś czas, ale potoczyło się szybciej, kiedy pokonałem tę blokadę w głowie. Idziesz albo umierasz, taki jest morał tej opowieści. Jasny i prosty. Nie przetrwa najsilniejszy, to właśnie był mój błąd. Gdyby tak było, miałbym uczciwą szansę. Ale są słabi mężczyźni, którzy potrafią unieść samochód, pod który wpadła ich żona. Mózg, Garraty. — Głos McVriesa opadł do chrapliwego szeptu. — Tu nie decyduje człowiek ani Bóg. To coś... coś w mózgu.

W ciemności odezwał się lelek. Mgła się podnosiła.

— Niektórzy będą szli długo po tym, jak zaprzeczą prawom biochemii. W zeszłym roku jeden pełzł trzy kilometry z szybkością sześciu kilometrów na godzinę, choć miał skurcz w obu nogach. Pamiętasz? Pisali o tym. Popatrz na Olsona, jest wymęczony, ale dalej idzie. Ten cholerny Barkovitch sunie na wysokooktanowej nienawiści, najzwyczajniej w świecie, świeży jak skowronek. Ja nie byłbym do tego zdolny. Jeszcze nie jestem zmęczony... nie na serio... Ale kiedyś będę. — Blizna odznaczała się wyraźnie na pobrużdżonej twarzy, kiedy patrzył w ciemność. — I wydaje mi się... że kiedy się już bardzo zmęczone... po prostu usiądę.

Garraty milczał, lecz czuł niepokój. Silny niepokój.

— Ale przetrzymam Barkovitcha — rzekł McVries, prawie do siebie. — Na to mnie stać, Bóg mi świadkiem.

Garraty spojrzął na zegarek. Wpół do dwunastej. Minęli wyludnione skrzyżowanie, na którym parkował śpiący policjant. Wysłano go do zatrzymania ruchu drogowego, ale nie było czego zatrzymywać. Przemaszzerowali obok radiowozu, poza jasny krąg światła rzucanego przez latarnię. Ciemność spadła na nich znów jak wór z węglem.

— Moglibyśmy uciec w las i nigdy by nas nie znaleźli — powiedział z namysłem Garraty.

— Spróbuj — rzekł Olson. — Mają lunetki na podczerwień i czterdzieści innych urządzeń monitorujących, w tym super—czułe mikrofony. Słyszą wszystko, co mówimy. Mogą ci prawie zmierzyć puls. I widzą cię jak za dnia, Ray.

Jakby na potwierdzenie tych słów, chłopak za nimi dostał drugie upomnienie.

— Zabieracie człowiekowi całą radość życia — powiedział cicho Barker.

McVries odszedł. Ciemność każdego z nich izolowała i Garraty poczuł się bardzo samotny. Za każdym razem, kiedy trzaskała jakaś gałązka w lesie, rozlegały się zduszone okrzyki i Garraty z pewnym rozbawieniem zdał sobie sprawę, że nocny spacer przez lasy Maine to nie przelewki dla miejskich chłopaków w tej obsadzie. Gdzieś po lewej zahukała tajemniczo sowa. Po drugiej stronie coś zaszeleściło, zamarło, znów zaszeleściło, a potem pognało z hałasem w mniej ludne ostępy.

— Co to było? — zapytał ktoś nerwowo.

Po niebie kapryśnie zaczęły się przemykać wiosenne chmurki, podarte, pierzaste, zapowiadając dalszy deszcz. Garraty postawił kołnierz i słuchał odgłosu swoich stóp na drodze. Wiązała się z tym pewna sztuczka, subtelne dopasowanie się zmysłów, jak wtedy, kiedy dopiero dłuższą chwilę po wejściu w mrok zaczynasz coś widzieć. Przed południem nie słyszał odgłosu swoich kroków. Zatracił się w dziewięćdziesięciu dziewięciu innych tupotach, o łoskocie transportera nie wspominając. Ale teraz słyszał wyraźnie. Własne tempo i nieregularne szuranie lewej stopy. Miał wrażenie, że słyszy tupot swoich nóg tak wyraźnie jak stukot serca. Odgłos stanowiący o życiu lub śmierci.

Oczy piekły go, uwięzione w oczodołach. Powieki ciążyły. Energia zdawała się z niego przesączać, wyciekać. Jednostajne głosy udzielały upomnień z monotonną regularnością, ale nikt nie został zastrzelony. Barkovitch się zamknął. Stebbins znów zamienił się w upióra, nawet nie był widoczny za ich plecami.

Za dwadzieścia dwunasta.

Coraz bliżej godziny duchów, pomyślał Garraty. Kiedy ziewają cmentarze i wypluwają stęchłych nieboszczyków. Kiedy wszystkie grzeczne dzieci idą spać. Kiedy żony i kochanki zaprzestają miłosnych zapasów. Kiedy pasażerowie śpią niespokojnym snem w dalekobieżnym autobusie do Nowego Jorku. Kiedy Glenn Miller gra nieprzerwanie w radiu, a barmani myślą o postawieniu odwróconych krzesel na stoliki i...

Znów w myślach ujrzał Jan. Pomyślał o tym, jak całował ją na Boże Narodzenie, prawie pół roku temu, pod plastikową gałęzią jemioli, którą matka zawsze zawieszała na wielkiej kulistej lampie w kuchni. Głupia dziecinada. Popatrz, gdzie stoisz. Jej wargi były zaskoczone i miękkie, nie stawiały oporu. Miły pocałunek. O takim można marzyć. Jego pierwszy prawdziwy pocałunek. Powtórzył go, kiedy odprowadził Jan do domu. Stali na podjeździe, padał śnieg. To było coś więcej niż miły pocałunek. Objął ją. Ona splotła ręce na jego karku, oczy zamknęła (podglądnał), pamiętał miękki dotyk jej piersi — złagodzony przez płaszcz, oczywiście. Prawie powiedział wtedy, że ją kocha, ale nie... to byłoby za szybko.

Potem uczyli się nawzajem. Ona uczyła go, że książki należy po prostu przeczytać i cisnąć w kąt, nie nicować na dziesiątą stronę (był z niego kujon, nie da się ukryć, co czasem bawiło Jan, a jej rozbawienie wyprowadzało go z równowagi, po czym też zaczynał się z siebie śmiać). On uczył ją

robić na drutach. To była zabawna sprawa. Że też akurat ojciec nauczył go robić na drutach... zanim Patrol go zabrał. Ojciec Garraty'ego pobierał naukę u własnego ojca. Wyglądało, że taka jest męska tradycja klanu Garratych. Jan była zafascynowana wzorami lewych i prawych oczek, niebawem zostawiła go w tyle, robiła nie tylko czapki czy szaliki, ale i swetry, a wreszcie zaczęła szydełkować i nawet udziergała kilka frywolitek, co porzuciła jako śmieszne, kiedy tylko opanowała tę trudną sztukę.

Nauczył ją również rumbi i cza—czy, które znał z nudnych sobotnich przedpołudni spędzonych w Szkole Tańca Nowoczesnego panny Amelii Dorgen... to był pomysł matki, zwalczany przez niego z całym sercem. Matka uparła się przy swoim, dzięki Bogu.

Myślał teraz o Jan, o światłocieniach na niemal idealnym owalu jej twarzy, o jej sposobie chodzenia, modulacji głosu, swobodnym, budzącym pożądanie ruchu bioder i ogarnięty grozą zastanawiał się, co tu robi, maszerując tą ciemną drogą. Zapragnął Jan teraz. Zapragnął przeżyć to wszystko po raz wtóry, ale inaczej. Kiedy wspomniał majora, siwa wy wąs, lustrzane okulary, czuł zgrozę tak głęboką, że nogi robiły mu się jak z waty. Czemu tu jestem? — zadawał sobie rozpaczliwe pytanie raz za razem i nie znajdował odpowiedzi.

Karabiny zatrzeszczały w ciemności i rozległ się niemożliwy do pomylenia z niczym odgłos — ciało padło na beton. Lęk powrócił, gorący knebel wciskający się w gardło, rozkazywał biec na ślepo, rzucić się w zarośla i biec, biec, biec, aż znajdzie Jan i będzie bezpieczny.

McVries szedł pchany nienawiścią do Barkovitcha. On skoncentruje się na Jan. Będzie szedł do Jan. Pierwsze rzędy rezerwowało się dla rodzin i sympatii uczestników Wielkiego Marszu. Zobaczysz się z nią.

Pomyślał o całowaniu tamtej dziewczyny przy drodze i ogarnął go wstyd.

Skąd wiesz, że wytrzymasz? Skurcz... pęcherze... głęboka rana albo krwotok z nosa, który nie da się zatamować... wzgórze, które będzie zbyt strome albo zbyt długie. Skąd wiesz, że wytrzymasz?

Wytrzymam. Wytrzymam.

— Gratulacje — powiedział McVries za jego ramieniem. Garraty aż podskoczył.

— Co? Co?

— Jest północ. Żyjemy, by walczyć przez następny dzień, Garraty.

— I wielu innych, nie tylko my — dodał Abraham. — Nie przypominam tego z zawiści, rozumiecie.

— Sto sześćdziesiąt osiem kilometrów do Oldtown, jeśli was to interesuje — wtrącił ze znużeniem Olson.

— A kogo, kurczę, interesuje Oldtown? — zapytał czupurnie McVries. — Byłeś tam kiedyś, Garraty?

—Nie.

— A w Augustacie? Chryste, myślałam, że Augusta jest w Georgii.

— No, byłem w Augustacie. To stolica stanu...

— Regionu — poprawił go Abraham.

— I siedziba gubernatora, parę rond, kilka kin...

— Macie kina w Maine? — wtrącił kpiąco McVries.

— To mała stolica — zgodził się Garraty z uśmiechem.

— Zaczekajcie, aż dojdziemy do Bostonu — powiedział McVries.

Rozległy się jęki.

Z przodu doleciały wiwaty, krzyki, kocia muzyka. Garraty z niepokojem usłyszał wykrzykiwane swoje nazwisko. Zbliżali się do zrujnowanej opuszczonej chałupy. Ktoś przeciągnął tam prąd i podłączył zdezelowany reflektor, a na froncie domu przybito wielką tablicę ozdobioną gałęziami sosny:

GARRATY TO NASZ CZŁOWIEK!!!

Komitet Rodzicielski powiatu Aroostook

— Hej, Garraty, gdzie rodzice?! — wrzasnął ktoś.

— W domu, dzieci robią! — odkrzyknął Garraty zażenowany. Oczywiście, pochodził z Maine, ale napisy, wiwaty i kpiny innych były trochę paralizujące. W ciągu ostatnich piętnastu godzin wyszło na jaw — między innymi — że wcale nie pożąda sławy. Myśl o milionie ludzi w całym stanie, dopingujących go i stawiających na niego zakłady (dwanaście do jednego, powiedział tamten robotnik

drogowy... czy to dobrze, czy źle?) napawała lękiem.

— Miło pomyśleć, że może zostało gdzieś kilkoro tłuściutkich, soczystych rodziców — powiedział Davidson.

— Dupa z komitetu rodzicielskiego? — spytał Abraham.

Żarty były na siłę i zaraz się skończyły. Droga bardzo szybko odbierała chęć do żartów. Przeszli kolejny most, tym razem betonowy, rozciągający się nad szeroką rzeką. W dole woda marszczyła się jak czarny jedwab. Kilka świerszczy grało ostrożnie, a kwadrans po północy spadł lekki, zimny deszcz.

W czołówce ktoś zaczął grać na harmonijce. Nie trwało to długo (wskazówka numer sześć: „Oszczędzaj oddech”), ale było piękne. Garraty’emu melodia przypominała trochę „Starego Murzyna Joe”. Między kukurydzą słychać tę żalobną pieśń, wszyscy czarni płaczą, Ewing w zimnej, zimnej ziemi śpi...

Nie, to nie był „Stary Murzyn Joe”, okazało się, że to jakiś inny rasistowski standard Stephena Postera. Stary dobry Stephen Foster. Zapił się na śmierć. Jak fama głosi, podobnie Poe. Poe nekrofil, ten, który ożenił się ze swoją czternastoletnią kuzynką. W ten sposób został również pedofilem. Gdzie spojrzysz, wszędzie zdeprawowani faceci, on i Stephen Foster jedno lichy. Gdyby tylko dożyli do Wielkiego Marszu, mieliby co oglądać, pomyślał Garraty. Mogliby współpracować nad pierwszym światowym makabrycznym musicaliem. „Maska zimnej, zimnej drogi” albo „Blues piechura”, albo...

Na przedzie ktoś zaczął krzyczeć i Garraty poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. To był prawie dziecienny głos. Chłopak nie wykrzykiwał słów. Po prostu krzyczał. Ciemna sylwetka oderwała się od grupy, przecięła pędem drogę przed transporterem (Garraty nawet nie pamiętał, kiedy pojazd dołączył do nich za mostkiem) i rzuciła się w kierunku lasu. Ryknęły karabiny. Rozległ się ogłuszający hałas, kiedy ciało padając łamało krzaki jałowca. Jeden z żołnierzy zeskoczył na ziemię i wyciągnął zabitego z krzaków za ręce. Garraty przyglądał się temu apatycznie i myślał, że nawet groza powszednieje. Nawet śmierć bywa płytka.

Harmonijka zaczęła ironicznie grać jakiś lekki kawałek i ktoś — Collie Parker, sądząc po głosie — powiedział gniewnie grajkowi, żeby dał se, kurwa, spokój. Stebbins wybuchnął śmiechem. Garraty’ego nagle ogarnęła furia; ciekawe, jak by się Stebbinsowi podobało, gdyby ktoś śmiał się z jego śmierci. Czegoś takiego można by się spodziewać po Barkovitchu. Bar—kovitch powiedział, że zatańczy na wielu grobach, i miał już szesnastcie nagrobków do przetańczenia. Chyba zabraknie mu sił w nogach do przebierania w tańcu, pomyślał Garraty.

Ostry ból przeszył podbicie jego prawej stopy. Mięśnie się tam napięły, a potem rozluźniły. Garraty czekał z sercem w gardle na powtórny skurcz. Silniejszy. Tak bolesny, że stopa zamieni się w bezużyteczny kłoc. Ale nic się nie stało.

— Już dalej nie mogę — jęknął Olson. W ciemności jego twarz była rozmazaną plamą bieli. Nikt nie odpowiedział.

Ciemność. Przekłęta ciemność. Garraty miał wrażenie, że zostali pogrzebani w niej za życia. Zamurowani. Wielu nigdy nie zobaczy brzasku. Ani słońca. Zostali zakopani w ciemności i pozbawieni nadziei wygrzebania się na powierzchnię. Zaraz usłyszą stłumiony, monotony głos księdza przemawiającego do żałobników nad świeżą mogiłą z ubitej ciemności. Żałobnicy nie zdają sobie sprawy, że oni są tutaj, że żyją, krzyczą, drapią ciemność paznokciami, powietrze łuszczy się i osypuje, powietrze zamienia się w trujący gaz, nadzieja rzednie, aż sama staje się ciemnością, a nad tym wszystkim brzmi głos księdza, jak rozhuśtany dzwon kaplicy, i niecierpliwie szurają butami krewni, spragnieni ciepłego majowego słońca. Wtem wszystko zagłuszają szelesty i hurgot przybywających biesiadników — kohorty robaków drążących ziemię.

Zwariuję, pomyślał Garraty. Kompletnie mi się pomiesza w głowie.

Lekki wietrzyk poruszył sosnami.

Garraty odwrócił się i sikał. Stebbins przesunął się nieco na bok, a Harkness ni to zakaszłał, ni to zachrapał. Chyba drzemał w marszu.

Garraty z niesłyszczaną ostrością słyszał drobne dźwięki: ktoś odchrząknął i splunął, ktoś inny pociągał nosem, ktoś w przedzie, na lewo, żuł coś hałaśliwie. Ktoś cicho spytał kogoś innego, jak się czuje, i otrzymał szeptem odpowiedź. Yannick nucił cicho i bardzo fałszywie.

Świadomość. Wszystko to funkcja świadomości. Ale świadomość nie trwa wiecznie.

— Czemu się w to wpakowałem? — nagle spytał z rozpaczą Olson, powtarzając niedawne myśli Garraty’ego. — Czemu dałem się w to wpakować?

Nikt nie odpowiedział. Nikt mu nie odpowiadał od długiego czasu. Zupełnie jakby Olson już nie żył.

Spadł kolejny deszczyk. Przeszli obok kolejnego starego cmentarza, obok kościoła, sklepiku i znaleźli się w osadzie małych, czystych domów. Droga prowadziła przez miniaturowe centrum, w którym zebrało się może kilkunastu ludzi, żeby obejrzeć zawodników. Wiwatowali, ale niegłośno, jakby bali się, że pobudzą sąsiadów. Garraty zauważył, że nie ma tam młodzieży. Najmłodszy był zawzięcie wpijający w nich wzrok facet po trzydziestce. Nosił szkła bez oprawek i zniszczoną sportową kurtkę, którą owinał się ciasno, by chroniła go przed chłodem. Włosy z tyłu głowy mu się rozwichrzyły i — co Garraty dostrzegł z rozbawieniem — miał rozpięty rozporek.

— Dalej! Cudownie! Dalej! Dalej! O, wspaniale! — zawodził z cicha. Bez przerwy machał pulchną dłońią i zdawał się przepalać wzrokiem każdego z nich.

Po drugiej stronie miasteczka policjant o sennych oczach wstrzymywał na czas przejścia zawodników dudniący ciągnik siodłowy. Stały tam jeszcze cztery latarnie, porzucony, sypiący się budynek z napisem EUREKA GRANGE 81 na wieżach, a potem osada się skończyła. Garraty poczuł się tak, jakby właśnie przemaszerował przez opowiadanie Shirley Jackson.

McVries trącił go łokciem.

— Patrz na tego lalusia.

„Lalusiem” był wysoki chłopak w zielonym trenczu. Poły trencza trzepotały mu wokół kolan. Trzymał się oburącz za głowę, co wyglądało, jakby przytrzymywał gigantyczny okład. Chwiał się bezradnie w przód i w tył. Garraty przyglądał mu się beznamiętnie. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy widział go poprzednio... ale oczywiście ciemność zmienia rysy twarzy.

Chłopak potknął się o własną stopę i omal nie upadł. Ale poszedł dalej. Garraty i McVries zafascynowani przypatrywali mu się przez jakieś dziesięć minut. Zapomnieli o własnym zmęczeniu i bólu. Chłopak w trenczu nie wydawał żadnego dźwięku, nie stękał ani nie jęczał. Toczył walkę w milczeniu.

Wreszcie jednak przewrócił się i dostał upomnienie. Wbrew obawom Garraty’ego zdołał się podnieść. Szli teraz w jednej grupie. Był wyjątkowo brzydki, numer czterdzieści pięć przykleił taśmą do płaszcza.

— Co ci jest? — szepnął Olson, ale chłopak w trenczu go nie słyszał.

Taka była zwykła kolej rzeczy. Następowало całkowite zerwanie kontaktu ze światem. Że wszystkim z wyjątkiem drogi. Wpatrywali się w drogę z jakąś obłąkańczą fascynacją, jakby była linią nad nieskończoną bezdenną przepaścią, którą musieli przebyć.

— Jak się nazywasz? — zapytał Garraty, ale nie dostał odpowiedzi. I nagle zdał sobie sprawę, że w nieskończoność zadaje chłopcu to pytanie, recytuje kretyńską litanię, jakby miała go uratować przed wszelkim złem, które nadlatywało ku niemu z ciemności niby czarny ekspres. — Jak się nazywasz? Jak się nazywasz? Jak się...

Poczuł, że McVries ciągnie go za rękaw.

— Nie chce powiedzieć. Pete, zmusz go, żeby powiedział, zmusz go, żeby powiedział, jak się nazywa...

— Nie zawracaj mu głowy — powiedział McVries. — On umiera, nie zawracaj mu głowy.

Chłopak z numerem czterdzieści pięć na trenczu znów upadł, tym razem na twarz. Gdy wstał, miał podrapania na czole, powoli zachodzące krwią. Teraz znalazł się za grupą Garraty’ego, ale usłyszeli, kiedy dostał ostatecznie upomnienie.

Przechodzili płytkie zagłębienie jeszcze gęstszej ciemności, pod wiaduktem kolejowym. Szmer deszczu niósł się głucho i tajemniczo w tym kamiennym gardle. Znów znaleźli się na otwartej przestrzeni i Garraty podziękował losowi, że mają przed sobą długą prostą.

Czterdziestkapiątka znów upadła. Odgłosy kroków przyspieszyły, to rozpierzchli się zawodnicy. Niebawem huknęły karabiny. Garraty uznał, że nazwisko tego chłopaka i tak nie miało żadnego znaczenia.

Rozdział szósty

Nasi zawodnicy są w dźwiękoszczelnych kabinach.

Jack Barry
Dwadzieścia jeden pytań

Wpół do czwartej nad ranem.

Rayowi Garraty'emu chwila ta wydawała się najdłuższą w najdłuższej nocy jego całego życia. To była pora odpływu, czas martwoty, kiedy morze się cofa, zostawiając śliskie mułowiska pokryte splątanymi wodorostami, zardzewiałe puszki po piwie, zgniłe kondomy, strzaskane butelki, zmiażdżone boje i omszałe szkielety w poszarpanych spodenkach kąpielowych. To był czas martwoty.

Po chłopaku w trenczu poleciało jeszcze siedem czerwonych kartek. W pewnej chwili, około drugiej w nocy, trzech upadło prawie razem, jak wyschnięte kolby kukurydziane w pierwszym ostrym podmuchu wiosennego wiatru. Sto dwadzieścia kilometrów Wielkiego Marszu, dwadzieścia cztery trupy.

Ale to nie miało znaczenia. Znaczenie miał tylko czas martwoty. Wpół do czwartej. Udzielono kolejnego upomnienia i niebawem karabiny gruchnęły jeszcze raz. Tym razem był to ktoś znajomy. Ósemka — Davidson, który utrzymywał, że kiedyś zakradł się do namiotu z nagimi tancerkami na jarmarku stanowym w Steunbenville.

Garraty zerknął na białą, zbrzyganą krwią twarz, a potem znów wbił wzrok w drogę. Teraz patrzył na nią jak zaczarowany. Czasem biała linia była spoista, czasem poszarpana, a czasem podwojona, jak szyny tramwajowe. Zastanawiał się, jak ludzie mogą jechać tą drogą we wszystkie inne dni roku i nie dostrzegać na białej farbie wzorca życia i śmierci. A może jednak dostrzegali?

Fascynowała go nawierzchnia. Jak dobrze i wygodnie byłoby na niej usiąść. Najpierw by przykucnął z głośnym traskiem kolan. Potem podparłby się rękami na tej zimnej szorstkiej wstędze i ułożył wygodnie pośladki, czując jak stopy z ulgą pozbywają się miazdzącego ciśnienia osiemdziesięciu kilogramów... a potem położyłby się, po prostu bujnął w tył i leżał, rozrzucając ręce i nogi, czując, jak zmęczony kręgosłup się prostuje... patrzyłby na korony drzew i majestatyczne gwiazdy... nie słysząc upomnień, tylko przyglądając się niebu i czekając... czekając...

Tak.

Słyszałby spłoszony tupot, kiedy zawodnicy dawaliby drapaka z linii celu, zostawiając go jak rytualną ofiarę. Słyszałby szept. To Garraty, hej, to Garraty, dostał czerwoną kartkę! Barkovitch się zaśmieje, bo będzie mógł zatańczyć na jednym więcej grobie. Karabiny namierzają cel, a potem...

Z wysiłkiem oderwał wzrok od drogi i załzawionymi oczami wpatrywał się w poruszające wokół cienie, a potem wyżej, w horyzont, szukając z nadzieją choćby śladu brzasku. Oczywiście nie znalazł. Noc pozostała sobą.

Przeszli przez następne kilka miasteczek, wszystkie ciemne i uśpione. Od północy minęli może trzydziestu sennych widzów, zawziętych typów, którzy każdego sylwestra ponuro wypatrywali końca świata. Poza tym ostatnie trzy i pół godziny wypełniały jedynie widziadła z granicy snu i jawy.

Garraty przyjrzał się dokładniej otaczającym go twarzom, ale żadnej nie rozpoznawał. Ogarnęła go irracjonalna panika. Poklepał po ramieniu zawodnika przed sobą.

— Pete? Pete, to ty?

Postać odsunęła się od niego, mrużąc z irytacją. Olson szedł poprzednio po jego lewej ręce, Baker po prawej, ale teraz po lewej nie było nikogo, a chłopak po prawej był o wiele bardziej pызaty niż Art Baker.

Musiał jakoś zejść z drogi i zaplątał się w bandę skautów robiących nocne podchody. Będą go szukać. Będą na niego polować. Karabiny, psy, Patrole z radarem, wykrywaczami ciepła i...

Nagle poczuł ulgę. Tuż za nim z prawej strony szedł Abraham. Wystarczyło tylko lekko skrócić głowę. Tej sylwetki ze zbyt długimi kończynami nie dało się pomylić z żadną inną.

— Abraham! — zawołał scenicznym szeptem. — Abraham, obudziłeś się?

Abraham wymruczał coś.

— Pytam, obudziłeś się?

— Tak, cholera! Daj mi święty spokój!

Przynajmniej ktoś był z nim nadal. Poczucie całkowitej dezorientacji przeszło.

Ktoś z przodu dostał trzecie upomnienie i Garraty pomyślał: Nie mam żadnego! Mogę się na półtorej minuty. Mogę...

Ale już by nie wstał.

A właśnie że bym wstał, odpowiedział sam sobie. Pewnie, że bym wstał, po prostu...

Po prostu by umarł. No a przecież obiecał matce, że zobaczy się z nią i Jan we Freeport. Złożył obietnicę z lekkim sercem, prawie niedbale. Wczoraj o dziewiątej rano było oczywiste, że dojdzie do Freeport. Teraz już wiedział, że to nie jest gra, to trójwymiarowa rzeczywistość, a wizja wmaszerowania do Freeport na parze krwawych kikutów stała się straszliwą możliwością o konkretnym stopniu prawdopodobieństwa.

Ktoś został zastrzelony... tym razem za nim. Źle wycelowano i nieszczęśnik, który zaliczył czerwoną kartkę, wrzeszczał ochryple, dopóki kolejny pocisk nie odebrał mu głosu. Zupełnie nie wiedzieć czemu Garraty pomyślał o bekonie i gęsta kwaśna ślina napłynęła mu do ust. Zastanawiał się, czy dwadzieścia sześć trupów to bardzo dużo, czy bardzo mało jak na sto dwudziesty kilometr Wielkiego Marszu.

Z wolna opuścił głowę na piersi i nogi niosły go same. Myślał o pogrzebie, w którym uczestniczył jako dziecko. Chowano Pokrakę D'Allesio. Naprawdę wcale nie miał na imię Pokraka, tylko George, ale wszystkie dzieciaki w sąsiedztwie wołały na niego „Pokraka”, bo jego oczy patrzyły każde sobie...

Pamiętał, że kiedy dobierano drużyny do baseballu, Pokraka zawsze długo czekał, wybierano go na samiuśkim końcu. Jego scentrowane oczy biegały z nadzieją od jednego kapitana do drugiego, jak na meczu tenisowym. Zawsze grał głęboko w środku pola, gdzie wybijano niewiele piłek i gdzie nie mógł narobić wiele szkody; na jedno oko prawie nie widział i nie miał wycucia odległości. Raz złapał w rękawicę garść powietrza, podczas gdy piłka wylądowała mu na głowie. Rozległ się dźwięczny odgłos, jakby ktoś puknął trzonkiem noża w dojrzałą dynię. Z siateczką piłki odcisniętą pośrodku czoła Pokraka wyglądał jak napiętnowany cielak.

Zginął na szosie za Freeport. Jeden z kolegów Garraty'ego, Eddie Klipstein, widział, jak do tego doszło. Dzieciarnia przez półtora miesiąca słuchała z fascynacją, a Eddie opowiadał, jak samochód wyróżnął w rower Pokraki D'Allesio i Pokraka frunął nad kierownicą, wybity nagle ze swoich wsiowych buciorów, ciągnąc za sobą giry w koślawym majestacie, kiedy odbywał krótki, bezskrzydły lot z siodełka ku kamiennemu murkowi, na którym rozplaskał łeb tak, że wyglądał jak rozlana galaretka.

Garraty w drodze na pogrzeb o mało nie zwymiotował lunchu, bo zastanawiał się, czy głowa Pokraki będzie rozplaskana w trumnie jak galaretka na torcie, ale Pokrakę wypucowano na glanc i prezentował się bez zarzutu w sportowej kurteczce i z odznaką skautowską, jakby był gotów wstać z martwych, byleby ktoś wrzasnął: „Chodź do drużyny!”. Patrzące każde sobie oczy były zamknięte i Garraty odzyskał dobre samopoczucie.

To był jedyny trup, którego widział przedtem, i to był czysty, zadbane trup. Zupełnie nie jak Ewing, chłopak w trenczu czy Davidson z bryzgami krwi na sonej, zmęczonej twarzy.

Człowiekowi robi się niedobrze na ich widok, pomyślał zdegustowany. Po prostu niedobrze.

Za kwadrans czwarta dostał pierwsze upomnienie i sprzął się po twarzy, by oprzytomnieć. Przemarzył na wskroś. Pęcherz dawał mu się we znaki, ale równocześnie czuł, że jeszcze nie musi się wysikać. Może to złudzenie, lecz gwiazdy na wschodzie były o pół tonu bledsze. Z prawdziwym zdumieniem przypomniał sobie, że wczoraj o tej porze spał na tylnej kanapie auta, kiedy jechali na miejsce startu. Niemal widział siebie samego wyciągniętego, leżącego bez ruchu. Czuł niewymowną tęsknotę za tamtą chwilą. Ach, żeby wczorajszy ranek powrócił!

Za dziesięć czwarta.

Z pewną zabarwioną poczuciem wyższości satysfakcją zobaczył, że jest jednym z niewielu w pełni przytomnych. Teraz zrobiło się niewątpliwie jaśniej, dało się rozróżnić rysy twarzy. Baker maszerował daleko w przodzie — Garraty rozpoznawał Arta po powiewającej koszuli w czerwoną kratę — i blisko niego McVries. Po lewej Olson, przy transporterze. Garraty się zdziwił — sądził, że Olson był jednym z tych, którzy w szarych godzinach przedświt zaliczyli czerwoną kartkę, i nawet poczuł wtedy ulgę, iż nie musiał tego widzieć. Mrok nie pozwalał jeszcze stwierdzić, jak Olson

wygląda, ale głowa bezwładnie podskakiwała mu w rytm kroków jak u szmacianej lalki.

Percy, którego mama wciąż pokazywała się na trasie, był teraz z tyłu, przy Stebbinsie. Szedł kiwając się nierówno na boki, jak marynarz, który po długim rejsie dopiero co zszedł na ląd. Byli też Gribble, Harkness, Wyman i Collie Parker. Prawie wszyscy znajomi nadal szli.

Do czwartej na horyzoncie rozłożyła się jaśniejsza szarfa i Garraty poczuł napływ animuszu. Z prawdziwą zgrozą wspominał długi tunel nocy i zastanawiał się, jak w ogóle go przebył.

Przypieszył trochę, zbliżając się do McVriesa, który szedł z podbródkiem przyciśniętym do piersi, z na wpół otwartymi, ale szklistymi oczami, bardziej uśpiony niż przytomny. Sznureczek śliny zwisał mu z kącika ust. Lśnił perłowo, odbijając drżące światło brzasku. Garraty nie chciał budzić McVriesa z drzemki. Na razie wystarczało mu, że jest blisko kogoś, kogo lubi, kogoś drugiego, kto przetrwał noc.

Minęli kamienistą, opadającą stromo łąkę ogrodzoną płotem z okorowanego drewna. Pięć krów z powagą wpatrywało się w idących, przeżuwały zamyślane. Mały piesek wyrwał się z gospodarstwa i ujadął. Żołnierze na transporterze unieśli i wycelowali broń, ale pies jedynie biegał tam i z powrotem wzdłuż pobocza, dzielnie broniąc własnego terytorium z bezpiecznej odległości. Ktoś wrzasnął na niego ochryple.

Garraty ulegał czarowi świtu. Niebo i ziemia rozjaśniały się stopniowo. Błada szarfa na horyzoncie poróżowiła, potem zabarwiła się na czerwono, wreszcie na złoto. Karabiny zahuczały jeszcze raz, zanim ostatki nocy zostały przegnane, ale Garraty ledwo zwrócił na to uwagę. Pierwszy czerwony łuk słońca wyglądał ponad horyzont, zbladł pod kędzierzawą chmurą i znów się wyłonił triumfalnie. Zapowiadał się przepiękny dzień. Garraty myślał półprzytomnie: Dzięki Bogu, mogę umrzeć za dnia.

Ptaka zaczął sennie. Mijali kolejne gospodarstwo, gdzie brodaty mężczyzna machał im ręką, stojąc przy taczce z motykami, grabiami i sadzonkami.

W cienistych lasach zakrakała wrzaskliwie wrona. Garraty poczuł na twarzy pierwsze ciepło dnia. Uśmiechnął się szeroko i głośnym krzykiem zażądał manierki.

McVries drgnął dziwnie jak pies, któremu przerwano sen o gonitwie za kotem, i rozejrzał się wkoło nieprzytomnie.

— Mój Boże, dzień! Dzień, Garraty! Która godzina? Garraty ze zdumieniem stwierdził, że jest za kwadrans piąta. Pokazał zegarek McVriesowi.

— Ile kilometrów? Masz jakieś pojęcie, Ray?

— Niecałe sto trzydzieści. I dwudziestu siedmiu padło. Jedna czwarta dystansu za nami.

— No. — McVries uśmiechnął się. — Nieźle.

— Czujesz się lepiej? — zapytał Garraty.

— O tysiąc procent lepiej.

— Ja też. Pewnie dlatego że już dzień.

— Mój Boże, dziś będzie sporo ludzi na trasie. Czytałeś artykuł w „World’s Week” o Wielkim Marszu?

— Przerzuciłem — przyznał Garraty. — Chciałem zobaczyć swoje nazwisko w druku.

— Pisali tam, że każdego roku stawia się na Wielki Marsz dwa miliardy dolarów. Dwa miliardy! Baker obudził się z drzemki.

— W liceum robiliśmy ściepę — powiedział. — Każdy dawał ćwierć dolara, a potem wyjmował z kapelusza trzycyfrową liczbę. I gość, który wylosował najbliższą ostatniego kilometra Wielkiego Marszu, zatrzymywał forszę.

— Olson! — zawołał radośnie McVries. — Tylko pomyśl, jaką kasę na ciebie postawili! Pomyśl o ludziach, którzy postawili ostatniego centa na twoją chudą dupę!

Olson głosem pełnym znużenia powiedział, że ludzie postawili ostatniego centa na jego chudą dupę, mogą wykonać dwie obsceniczne czynności i opisał, w jaki sposób jedna wiąże się z drugą. McVries, Baker i Garraty wybuchli śmiechem.

— Dzisiaj będzie na drodze masa nieprzeciętnych laseczek — rozmarzył się Baker, mrugając szelmowsko.

— Skończyłem na amen z tymi sprawami — zarzekał się Garraty. — Mam dziewczynę, czeka na mnie. Od tej pory będę jak aniołek.

— Bezgrzeszny w myśli, słowie i uczynku — powiedział sentencjonalnie McVries.

— Myśl sobie, co chcesz. — Garraty wzruszył ramionami.

— Masz szansę jak jeden do stu, że uda ci się pomachać jej na powitanie — rzeki beznamiętnie McVries.

— Teraz jak jeden do siedemdziesięciu trzech.

— Nadal niezbyt dużą.

— Czuję się tak, jakbym mógł iść przez wieczność.

Kilku zawodników wokół skrzywiło się, ale dobry humor Garraty'ego nie opuszczał.

Minęli całodobową stację paliwową, której pracownik wyszedł im pomachać. Szczególnie gorąco zagrzewał Wayne'a, numer dziewięćdziesiąt sześć.

— Garraty... — rzekł cicho McVries.

— Co?

— Nie mogę ustalić wszystkich gości, którzy dostali kulkę. A ty?

— Nie.

— Barkovitch?

— Nie. W czołówce. Przed Scrammem. Widzisz go?

— Eee... Chyba tak.

— Stebbins też idzie wciąż w tyle.

— Nie jestem zaskoczony. Dziwny gość, nie?

Umilkli. McVries westchnął głęboko, zdjął plecak z ramion i wyjął kilka makaroników. Podsunął je Garraty'emu, który się poczęstował.

— Chciałbym, żeby się to skończyło — powiedział. — Tak czy inaczej.

Żuli ciasteczka w milczeniu.

— Musimy być w połowie drogi do Oldtown, hę? — powiedział McVries. — Sto trzydzieści za nami, sto trzydzieści przed nami?

— Tak mi się wydaje — potwierdził Garraty.

— W takim razie nie dowleczymy się tam przed wieczorem.

— Racja. — Na myśl o nocy Garraty poczuł gęsią skórkę. Nagle spytał: — Pete, skąd masz tę bliznę?

McVries mimowolnie podniósł dłoń do policzka.

— To długa historia — powiedział krótko.

McVries miał włosy zmierzwione, zlepione kurzem i potem, ubranie pogniecione, twarz bladą, oczy podkrążone i nabiegłe krwią.

— Wyglądasz gównianie — powiedział Garraty ze śmiechem. McVries wyszczerzył zęby.

— Ty też nie mógłbyś reklamować dezodorantu, Ray.

Obaj roześmiali się histerycznie, obejmując się w marszu. W ten sposób — równie dobry jak każdy inny — pożegnali noc. Zarykiwali się tak długo, aż obaj dostali upomnienie. Wtedy przestali się śmiać, umilkli i zajęli się sprawami zasadniczymi.

Sprawa zasadnicza to myślenie, rozważa! Garraty. Myślenie. Myślenie i samotność, bo nieważne, z kim spędzasz czas, na końcu jesteś sam. Miał wrażenie, że nagromadził w głowie tyle kilometrów myśli, ile miał w nogach kilometrów drogi. Myśli wciąż przychodziły, nie sposób ich powstrzymać. Ciekawe, co kombinował Sokrates zaraz po tym, jak gołnął koktajl z cykuty.

Parę minut po piątej minęli pierwszą grupkę autentycznych widzów, czterech chłopaczków siedzących po turecku przed niewielkim namiocikiem na pokrytym rosą polu. Jeden z nich był owinięty w śpiwór, wyglądał jak Eskimos. Kiwali miarowo rękami, jakby to były wskazówki dobrze naoliwionych metronomów. Żaden się nie uśmiechnął.

Niebawem droga połączyła się z szeroką trzypasmową szosą. Minęli restaurację dla kierowców ciężarówek i wszyscy gwizdali i machali rękami do trzech młodych kelnerek siedzących na schodkach, żeby tylko im pokazać, że mają dużo pary. Jedynym nie do końca serio okazał się Collie Parker.

— Piątek wieczór! — wrzasnął. — Nie zapomnijcie. Wy i ja, piątek wieczór.

Garraty pomyślał, że wszyscy zachowują się jak smarkacze, ale kelnerki chyba nie miały im niczego za złe. Zawodnicy rozproszyli się na trzech pasach i dobudzali się w porannym słońcu drugiego dnia maja. Garraty zauważył Barkovitcha i zastanowił się, czy Barkovitch nie jest naprawdę cwany. Nie ma przyjaciół, więc nikogo mu nie żal.

Kilka minut później zaczęli grać w puk, puk. Bruce Pastor, chłopak tuż przed Garratym, odwrócił się i powiedział:

— Puk, puk, Garraty.
— Kto tam?
— Major.
— Co za major?
— Major, który przed śniadaniem robi dobrze w rdzawe oczko swojej mamusi — powiedział Bruce Pastor i wybuchnął ogłuszającym śmiechem. Garraty zachichotał i przekazał to McVriesowi, który przekazał to Olsonowi. Kiedy żart przyszedł po raz drugi, major przed śniadaniem robił dobrze w rdzawe oczko swojej babuni. Za trzecim razem robił dobrze Sheili, swojej bedlington terierce, z którą pojawiał się wiele razy na konferencjach prasowych.

Garraty wciąż się śmiał z tej ostatniej wersji, kiedy zauważył, że McVries spoważniał. Wpatrywał się dziwnie nieruchomym wzrokiem w obojętnych żołnierzy na transporterze.

— Myślicie, że to zabawne?! — ryknął. Śmiech ucichł w jednej chwili. Twarz McVriesa pociemniała, biała blizna wyglądała jak wycięty dłutem wykrzyknik.

— Myślę, że major sam sobie robi dobrze w rdzawe oczko! — krzyczał McVries ochryple. — A wy, ludzie, pewnie robicie sobie nawzajem dobrze w rdzawe oczko. Strasznie zabawne, nie?! Strasznie zabawne, bando matkojebców, co?! Cholernie zabawne, mam rację?!

Pozostali zawodnicy odsunęli się od niego.

McVries nagle pobiegł w kierunku transportera. Dwaj z trójki żołnierzy unieśli broń do pozycji strzeleckiej, ale on zatrzymał się, zatrzymał się jak wryty i podniósł pięści, potrząsając nimi jak oszalały dyrygent.

— Złaćcie na dół! Odłóżcie te karabiny i złaćcie na dół! Pokażę wam, co jest zabawne!!!

— Upomnienie — rzekł jeden z nich idealnie wypranym z emocji głosem. — Sześćdziesiątkajedynka, upomnienie. Drugie upomnienie.

Garraty zmartwił. O mój Boże, zaraz dostanie kulkę i jest tak blisko... tak blisko nich... poleci w powietrzu dokładnie jak Pokraka D'Allesio.

McVries ruszył biegiem, przystanął i splunął na transporter. Ślina wyłobila wyraźny, podłużny ślad na kurzu pokrywającym bok pojazdu.

— No, dalej! — wydzierał się McVries. — Złaćcie na dół! Po kolei albo wszyscy naraz, mnie wszystko jedno!

— Upomnienie! Trzecie upomnienie, sześćdziesiątka—jedynka, ostatnie upomnienie.

— Pierdolę wasze upomnienia!

Nagle, nie wiedząc właściwie, co robi, Garraty zawrócił i pobiegł, sam łapiąc upomnienie. Ledwo to zauważył. Żołnierze celowali teraz w McVriesa. Złapał go za ramię.

— Chodź.

— Zjeżdżaj stąd, Ray, zaraz im dołożę!

Garraty pchnął McVriesa nasadą dłoni mocno, boleśnie.

— Zaraz dasz się zastrzelić, dupku.

Minął ich Stebbins.

McVries popatrzył na Garraty'ego, jakby dopiero teraz go rozpoznał. Sekundę później Garraty dostał trzecie upomnienie i wiedział, że McVries może być tylko sekundy od czerwonej kartki.

— Zjeżdżaj do diabła — rzekł McVries martwym głosem. Znowu zaczął iść.

Garraty maszerował razem z nim.

— Myślałem, że zaraz zarobisz kulkę — powiedział.

— Ale żyję. Dzięki pewnemu muszkieterowi. — McVries podniósł rękę do blizny. — Kurwa, wszyscy zarobimy kulkę.

— Ktoś wygra. Może jeden z nas.

— To oszustwo. Nie ma zwycięzcy, nie ma nagrody. Biorą ostatniego gościa za jakąś stodołę i do niego też walą z karabinu.

— Nie rób z siebie durnia! — wrzasnął wściekle Garraty. — Nie masz zielonego pojęcia, co mó...

— Wszyscy przegrywają — powiedział McVries. Jego oczy wyglądały z ciemnych oczodołów jak groźne zwierzątko.

Szli sami. Inni trzymali się z daleka. McVries wygłupił się maksymalnie, Garraty też — postąpił wbrew własnym interesom, kiedy uchronił McVriesa przed wypadnięciem z gry.

— Wszyscy przegrywają — powtórzył McVries. — Lepiej będzie, jak to zrozumiesz.

Szli nad linią kolejową. Szli betonowym mostem. Po drugiej stronie minęli zabity deskami bar

mleczny z napisem: OTWARCIE 5 CZERWCA.

Olson dostał upomnienie.

Garraty poczuł klepięcie w ramię i odwrócił się. To był Stebbins. Wyglądał nie gorzej ani nie lepiej niż w nocy.

— Twój przyjaciel ma świra na punkcie majora — zauważył.

McVries nie okazał w żaden sposób, że coś usłyszał.

— Chyba tak — powiedział Garraty. — Mnie samemu minęła już ochota, żeby zaprosić go do domu na podwieczorek.

— Obejrzyj się.

Garraty zobaczył nadjeżdżający drugi transporter, a zaraz trzeci, który właśnie wyłonił się z bocznej drogi.

— Major przybywa — rzekł Stebbins — i wszyscy będą wiwatować. — Uśmiechnął się. — Jeszcze nie czują do niego nienawiści. Jeszcze nie. Tylko tak myślą. Myślą, że przeszli piekło. Ale zaczekaj do nocy. Zaczekaj do jutra.

Garraty popatrzył niespokojnie na Stebbinsa.

— A co będzie, jeśli zaczną syceć, buczeć i rzucać w niego manierkami?

— Czy zaczniesz syceć, buczeć i rzucać w niego manierką?

— Nie.

— Nikt inny też nie. Zobaczysz.

— Stebbins... myślisz, że wygrasz, no nie?

— Tak — powiedział spokojnie Stebbins. — Jestem tego pewien. — I przesunął się do tyłu na swoją zwykłą pozycję.

O piątej dwadzieścia pięć Yannick dostał czerwoną kartkę. A o wpół do szóstej, zgodnie z przewidywaniami Stebbinsa, przybył major.

Rozległ się rosnący warkot, kiedy dżip wyskoczył nad szczyt wzgórza za nimi. Potem auto przemknęło z rykiem obok. Major stał na baczność. Jak poprzednio salutował w pozycji na prawo patrząc. Dreszcz śmiesznej dumy przebiegł Garraty'emu przez pierś.

Nie wszyscy wiwatowali. Collie Parker splunął na asfalt. Barkovitch zagrał na nosie. McVries tylko się przyglądał, ruszając bezgłośnie ustami. Olson zdawał się w ogóle nie dostrzegać majora; jak poprzednio wpatrywał się w ziemię.

Garraty wiwatował. Tak samo Percy jak mu tam i Harkness, który chciał napisać książkę, Wyman, Art Baker i Sledge, który właśnie załapał drugie upomnienie.

Major przejechał i znikł. Garraty trochę się wstydził. Było nie było, zmarnował energię.

Droga biegła przy parkingu z używanym samochodami, gdzie urządzono im salut na dwadzieścia jeden klaksonów. Wzmocniony głos unoszący się nad podwójnymi rzędami turkoczających plastikowych proporców oznajmił zawodnikom — i widzom — że nikt nie pobił wskaźnika sprzedaży dodge'ów McLarena. Wszystko to wydało się Garraty'emu trochę przygnębiające.

— Czujesz się już dobrze? — spytał niepewnie McVriesa.

— Świetnie — powiedział McVries. — Fantastycznie. Zamierzam maszerować z palcem w tyłku i przyglądać się, kiedy wszyscy padają wokół jak muchy. To ci frajda. Właśnie wykonałem w pamięci działania... a byłem w szkole bardzo dobry z matmy... i wyszło mi, że jeśli utrzymamy tempo, uda się nam przejść przynajmniej pięćset kilometrów. To nawet nie rekord.

— Może byś tak poszedł sobie gdzieś indziej, skoro zamierzasz wstawiać takie gadki, Pete — powiedział Barker. Po raz pierwszy w jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie.

— Przepraszam, mamusiu — rzekł kwaśno McVries, ale się zamknął.

Dzień się rozjaśnił. Garraty zdjął kurtkę, przerzucił ją przez ramię. Droga była płaska. Od czasu do czasu pojawiały się domy mieszkalne, małe zakłady i gospodarstwa wiejskie. Sosny, które poprzednio obrastały drogę, ustąpiły miejsca barom mlecznym, stacjom paliwowym i domkom pracowników rolnych, które wyglądały jak podłużne pudełka ustawione na sztorc. Wiele z nich miało wywieszki: NA SPRZEDAŻ. W dwóch oknach Garraty dostrzegł znajomy napis: MÓJ SYN ODDAŁ ŻYCIE W PATROLACH.

— Gdzie jest ocean? — spytał Collie Parker. — Tak tu wygląda, jakbym był z powrotem w Illinois.

— Idź, nie marudź — powiedział Garraty. Znów myślał o Jan i o Freeport nad oceanem. — Jest, gdzie trzeba. Jakies sto siedemdziesiąt trzy kilometry na południe.

— Jasna cholera. Ale to zabity dechami stan. — Parker był silnie zbudowanym blondynem w koszulce polo. Miał twarde spojrzenie, którego nawet noc na drodze nie zmieniła. — Wszędzie drzewa! Jest tu jakieś miasto w tej cholernej głuszy?

— My, tutejsi, jesteśmy pieprzni — rzekł Garraty. — Myślimy, że fajniej jest oddychać świeżym powietrzem niż smogiem.

— W Joliet nie ma żadnego smogu, kmiecie! — rzucił z wściekłością Collie Parker. — Co ty mi tu zalewasz?

— Może nie ma smogu, ale ludzie stamtąd są nie do wytrzymania — odparł mu Garraty. Był zły.

— Gdybyśmy byli u mnie, tobym ci jaja wyjął za takie gadanie.

— Chłopczy, chłopcy — wtrącił McVries. Odzyskał dawny sardoniczny humor. — Czemu nie załatwicie tego jak dżentelmeni? Pierwszy, któremu odstrzelą łeb, stawia drugiemu piwo.

— Nie cierpię piwa — rzekł bez namysłu Garraty. Parker zarechotał.

— Ty buraku jeden! — powiedział i odszedł.

— Giez go ukąsił — stwierdził McVries. — Wszystkich pokąsały dziś rano. Nawet mnie. A to taki piękny dzień. Prawda, Olson?

Olson się nie odezwał.

— Olsona też pogryzły — powiedział do Garraty'ego McVries. — Olson! Hej, Hank!

— Daj mu spokój — mruknął Baker.

— Hej, Hank!! Masz ochotę na spacerek?

— Idź do diabła — burknął Olson.

— Co?! — zawołał radośnie McVries, przykładając rękę do ucha. — Co godocie, kumie?!

— Do diabła! Do diabła!! — wrzasnął Olson. — Idź do diabła!

— Aha, o to ci chodzi. — McVries pokiwał mądrze głową.

Olson znowu wpatrywał się w ziemię, a McVries miał dość podjudzania go... jeśli go podjudzał.

Garraty myślał o tym, co powiedział Parker, pleczysty bywalec barów, wodzirej sobotnich potańcówek i pijatyk. Parker — bohater w czarnych skórach. Jakie miał pojęcie o Maine? On sam mieszkał w Maine przez całe życie, w miasteczku Porterville, tuż na zachód od Freeport. Dziewięćset siedemdziesięciu stałych mieszkańców, ani jednego skrzyżowania ze światłami, ale, cholera, co takiego nadzwyczajnego jest w Joliet, w stanie Illinois?!

Ojciec Garraty'ego powiadał, że Porterville to jedyne miasteczko w powiecie, w którym jest więcej cmentarzy niż ludzi. Ale to czyste miasteczko. Wskaźnik bezrobocia wysoki, samochody pordzewiały, nudno, nic się nie dzieje. Tylko co srode odbywa się bingo w stodole (podczas ostatniej gry w banku doliczono się dziesięciokilowego indyka i dwudziestu dolarów), ale Porterville to czyste miasteczko. I spokojne. Co w tym złego?

Popatrzył z urazą na plecy Parkera. Po postu przegapiłeś coś w życiu, koleś. Weź swoje Joliet, swoją kawiarnianą bandę, swoje pasażerki handlowe i wsadź sobie gdzieś. Wsadź sobie gdzieś, jak ci się zmieszczą.

Znów pomyślał o Jan. Potrzebował jej. Kocham cię, Jan, pomyślał. Nie był głupi i wiedział, że teraz stała się dla niego symbolem życia. Tarczą przeciwko nagłej śmierci, czającej się na transporterze. Pożądał jej coraz bardziej, ponieważ symbolizowała czas, w którym wreszcie mógł mieć dupencję — swoją własną dupencję.

Była za kwadrans szósta. Wpatrywał się w gromadkę wiwatujących gospodyń domowych. Stały na skrzyżowaniu, małym ośrodku nerwowym jakiegoś nieznanego miasteczka. Jedna z nich miała na sobie obcisłe spodnie i obcisły sweterek. Nie wyróżniała się urodą. Na prawym przegubie nosiła trzy złote bransoletki, które dzwoniły, kiedy machała ręką. Garraty słyszał to dzwonienie. Pomachał w odpowiedzi, nie myśląc, co robi. Myślał o Jan, która przyjechała z Connecticut, która wydawała się taka spokojna i pewna siebie, z tymi jej długimi jasnymi włosami i na płaskich obcasach. Prawie zawsze nosiła buty na płaskich obcasach, bo była wysoka. Poznał ją w szkole. Szło im powoli, ale w końcu zaskoczyło. Zaskoczyło, że lepiej nie trzeba.

— Garraty?

— Co?

To był Harkness. Wyglądał na zdenerwowanego.

— Facet, mam skurcz w nodze. Nie wiem, czy dam radę dalej iść. — Harkness patrzył prosząco na Garraty'ego, żeby coś zrobił.

Garraty nie wiedział, co powiedzieć. Głos Jan, jej śmiech, brązowawy sweterek i żurawinowego

koloru spodnie, popołudnie, kiedy zabrali sanki jej młodszego braciszka i wylądowali w zaspie (wcześniej wsadziła mu śniegu za kołnierz kurtki)... to wszystko było życie. Harkness to była śmierć. Garraty już nauczył się rozpoznawać jej woń.

— Nie mogę ci pomóc. Sam musisz sobie poradzić.

Harkness rozejrział się wkoło, ogarnięty paniką, potem spochmurniał, zaciął usta i skinął głową. Przyklęknął, niezdarnie zdjął mokasyn.

— Upomnienie! Czterdziestkadziewiątka, upomnienie!

Teraz masował stopę. Garraty odwrócił się i szedł tyłem, patrząc na niego. Dwaj mali chłopcy w koszulkach Małej Ligi, z rękawicami baseballowymi wiszącymi na kierownicach rowerów, również patrzyli na niego, rozdziawiając usta.

— Upomnienie! Czterdziestkadziewiątka, drugie upomnienie!

Harkness wstał i zaczął iść w skarpetce, kulejąc. Upuścił but, sięgnął po niego, złapał dwoma palcami, uniósł niepewnie i znowu upuścił. Zatrzymał się, by go podnieść, i dostał trzecie upomnienie.

Jego zwykle rumiana twarz była teraz barwy strażackiej czerwieni. Rozdziawił usta w kształcie wielkiego, bezradnie zaślinionego „o”. Garraty przyłapał się na tym, że dopinguje Harknessa. Dawaj! — myślał. Zasuwasz! Harkness, dasz radę!

Harkness kulał szybciej. Chłopcy z Małej Ligi ruszyli na rowerach wzdłuż drogi, nie spuszczać go z oczu. Garraty odwrócił się twarzą w kierunku marszu, nie chcąc patrzeć na Harknessa. Patrzył prosto przed siebie, usiłując sobie przypomnieć, jak to było, kiedy całował Jan, kiedy gładził jej przeżące się piersi.

Po prawej stronie powoli wyłoniła się stacja Shella. Przy niej stał zakurzony, poobijany pikap. Dwaj mężczyźni we flanelowych kraciastych koszulkach siedzieli na tyle samochodu, pijąc piwo. Na końcu polnej dróżki z koleinami, służącej za podjazd, stała skrzynka na listy, otwarta. Jej opuszczona kłapa wyglądała jak obwisła dolna warga. Nie wiedzieć gdzie szczekał pies, ujadął nieustannie.

Karabiny powoli zmieniły pozycję i znalazły Harknessa.

Zapadła długa, straszna cisza, a potem znów spoczęły skosem na piersiach, wszystko wedle przepisów, wszystko wedle regulaminu. I kolejny raz zeszyły w dół. Garraty słyszał przyspieszony, zaśliniony oddech Harknessa.

Karabiny znów powędrowały w górę, znów w dół, potem znów do pozycji na barku.

Dwaj z Małej Ligi nadal dotrzymywali kroku zawodnikom.

— Wynoście się stąd! — ochryple zawołał Baker. — To nie widok dla was. Zmykać!

Popatrzyli na Bakera z tępą ciekawością i jechali dalej. Spojrzeli na Bakera, jakby był jakąś rybą. Jeden z nich, mały chłopiec z idealnie okrągłą głową, ostrzyżony na jeża i z oczami jak spodki, nacisnął trąbkę przy kierownicy i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Aparat korekcyjny zaśnił w słońcu drapieźnie.

Karabiny znów opadły w dół. To było jak taniec, rytuał. Harkness zwolnił maksymalnie. Czytałeś ostatnio jakąś ciekawą książkę? — pomyślał szaleńczo Garraty. Tym razem cię zastrzelą. Wystarczy jeden krok za wolno...

Wieczność.

Wszystko zastygło.

Karabiny się uniosły.

Garraty popatrzył na zegarek. Wskazówka sekundnika okrążyła tarczę raz, dwa, trzy razy. Harkness doszedł go, minął. Twarz miał zaciętą. Oczy utkwiał w dali przed sobą. Źrenice miał jak główki od szpilki. Wargi mu zsiniały, a poprzednio rozpalona twarz nabrała barwy śmietanki, tylko dwie ceglaste plamy pozostały na policzkach. Ale nie oszczędzał już słabej nogi. Skurcz puścił. Stopa w skarpetce rytmicznie plaskała o nawierzchnię. Jak długo można iść bez buta? — zastanawiał się Garraty.

Niemniej jednak poczuł rozluźnienie obręczy, która poprzednio ścisnęła mu piersi. Usłyszał, jak Baker wydaje westchnienie ulgi. To była głupota. Im szybciej Harkness przestanie iść, tym szybciej on sam będzie mógł przestać iść. Prosta prawda, logiczna. Ale coś sięgało głębszej, prawdziwszej, bardziej zatrzważającej logiki. Harkness należał do tej samej grupy co Garraty, do tego samego klanu, tego samego magicznego kręgu. Co spotka Harknessa, może spotkać każdego innego z tego kręgu.

Chłopcy z Małej Ligi pedałowali obok nich przez następne trzy kilometry, aż im się znudziło i zawrócili. Tak lepiej. Nieważne, że patrzyli na Bakera jak na eksponat z zoo. Ważne, że nie udało im się zobaczyć śmierci. Garraty odprowadził ich wzrokiem.

Harkness utworzył nową jednoosobową czołówkę, szedł bardzo szybko, niemal biegł. Nie patrzył ani w lewo, ani w prawo. Garraty zastanawiał się, o czym Harkness myśli.

Rozdział siódmy

Sądzę, że na dobrą sprawę jestem całkiem mity. Ludzie biorą mnie za schizofrenika po prostu dlatego, że poza kamerą jestem zupełnie inny...

Nicolas Parsons
Sales of the century
(wersja brytyjska)

Scramm, numer osiemdziesiąt pięć, nie fascynował Garraty'ego z powodu błyskotliwej inteligencji, bo wcale nie był bystry. Nie fascynował Garraty'ego z powodu swojej twarzy, która była jak księżyc w pełni, uczesania na rekruta ani budowy, którą przypominał łosia. Fascynował Garraty'ego, bo był żonaty.

— Naprawdę? — zapytał go Garraty po raz trzeci. Nadal podejrzewał, że Scramm go nabiera. — Naprawdę jesteś żonaty?

— No. — Scramm z wyraźną przyjemnością uniósł twarz ku porannemu słońcu. — Wypisałem się ze szkoły, jak miałem czternaście lat. Nie miałem tam po co chodzić. Wcale nie rozrabiałem, po prostu dostawałem marne stopnie. I nasz historyk przeczytał nam artykuł o tym, że szkoły są przepełnione. Więc postanowiłem oddać miejsce komuś, kto potrafi się uczyć, a sam zacząłem żyć na poważnie. Zresztą i tak chciałem ożenić się z Cathy.

— Ile miałeś lat? — spytał Garraty jeszcze bardziej zafascynowany. Mijali kolejne miasteczko; chodniki były pełne ludzi, ale ledwo to dostrzegał. Oni należeli już do innego świata, mogli się znajdować za grubą tarczą ze szkła.

— Piętnaście — odpowiedział Scramm. Podrapał siny od zarostu podbródek. — Nikt nie próbował ci tego odradzić?

— Psycholog szkolny pieprzył mi jak najęty, że powinienem nie odpuszczać i nie zostawać kopaczem rowów, ale miał ważniejsze sprawy niż zatrzymanie mnie w szkole. Można chyba powiedzieć, że wyłaził ze skóry, żeby zamydlić mi oczy. Poza tym ktoś musi kopać rowy, zgadza się? — Pomachał entuzjastycznie grupie dziewczynek odstawiających epileptyczny numer cheerleaderek; fruwały plisowane spódniczki i poobtłu—kiwane kolana. — W każdym razie nigdy nie kopałem rowu. Do dziś nie wykopałem ani jednego. Poszedłem pracować w zakładach bieliźniarskich w Phoenix, trzy dolary za godzinę. Jesteśmy szczęśliwi, ja i Cathy. — Scramm uśmiechnął się.

— Czasem, gdy oglądamy telewizję, Cathy łapie mnie za szyję i mówi: „Jesteśmy szczęśliwi, skarbie”. Laska z niej.

— Macie dzieci? — spytał Garraty, czując, że ta rozmowa jest coraz bardziej obłąkańcza.

— No, Cathy jest właśnie w ciąży. Powiedziała, że powinniśmy zaczekać z dzieckiem, aż będziemy mieli dość w banku. Kiedy uzbierało się nam siedem stówek, powiedziała, że startujemy. Zaszła w ciążę, aniśmy się obejrzeni. — Scramm popatrzył z powagą na Garraty'ego. — Mój dzieciak pójdzie do college'u. Powiadają, że durni faceci jak ja nigdy nie mają mądrych dzieciaków, ale Cathy jest dość mądra za nas oboje. Cathy skończyła liceum. Dzięki mnie skończyła. Cztery kursy wieczorowe i eksternistyczna matura. Mój dzieciak będzie tyle chodził college'u, ile mu się zechce.

Garraty nie powiedział nic. Nic nie przychodziło mu do głowy. McVries był z boku, pograżony w zażyłej rozmowie z Olsonem. Baker i Abraham bawili się w grę słowną zwaną duch. Gdzie jest Harkness? W każdym razie daleko. Podobnie Scramm. Naprawdę daleko. Hej, Scramm, wydaje mi się, że popełniłeś gruby błąd. Twoja żona jest w ciąży, ale to nie znaczy, że masz tu z tego tytułu jakieś nadzwyczajne przywileje. Siedem setek na koncie? Trzycyfrowy wydruk z banku to nie dość, żeby fundować żonie ciążę, Scramm. A żadna firma ubezpieczeniowa świata nie wystawi polisy uczestnikowi Wielkiego Marszu.

Garraty patrzył na mężczyznę w kurtce w jodełkę, który szaleńczo wymachiwał słomkowym kapeluszem z wystrzępionym brzegiem, i poza niego.

— Scramm, co się stanie, jak zaliczysz czerwoną kartkę?
 — spytał ostrożnie.
 Scramm uśmiechnął się łagodnie.
 — Nie ja. Czuję się tak, jakbym mógł iść wiecznie. Masz pojęcie? Od dziecka chciałem wziąć udział w Wielkim Marszu. Niecałe pół miesiąca temu przeszedłem bez niczego sto trzydzieści kilometrów.
 — Ale założmy, że się coś stanie... Scramm tylko zachichotał pod nosem.
 — Ile Cathy ma lat?
 — Jest jakiś rok starsza ode mnie. Prawie osiemnaście. Jej starzy są teraz z nią w Phoenix.
 Garraty odniósł wrażenie, że starzy Cathy wiedzą o czymś, o czym Scramm nie ma bladego pojęcia.
 — Musisz ją bardzo kochać — powiedział z lekkim smutkiem.
 Scramm uśmiechnął się, pokazując uparte niedobitki zębów.
 — Nie popatrzyłem na żadną inną, od kiedy się ożeniłem. Cathy jest laska.
 — A ty jesteś tutaj. Scramm roześmiał się.
 — Czy to nie frajda?
 — Nie dla Harknessa — rzekł kwaśno Garraty. — Idź, spytaj go, czy uważa to za frajdę.
 — Ty w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji — wtrącił się Pearson, wchodząc między Garraty'ego i Scramma. — Możesz przegrać. Musisz przyznać, że możesz przegrać.
 — Vegas wytypowało mnie na faworyta tuż przed startem.
 — Jasne — rzucił ponuro Pearson. — I jesteś w formie, każdy widzi. — Sam Pearson był błydy i wymizerowany po długiej nocy na drodze. Spoglądał obojętnie na tłum przed supermarketem. — Każdy, komu brakuje formy, jest już martwy albo prawie martwy. Ale zostało nas jeszcze siedemdziesięciu dwóch.
 Krągła twarz Scramma zmarszczyła się od namysłu. Garraty niemal słyszał pracującą pod czaszką maszynę — powolną, dostojną, ale równie pewną jak śmierć i równie niechybną jak podatki. Było w tym coś niesłychanego.
 — Nie chcę was wpieniać, chłopaki — powiedział Scramm. — Jesteście dobre chłopaki. Ale nie przerznięliście się myślowo przez takie sprawy jak wygranie i nagroda. Większość z was, chłopaki, nie wie, czemu się w to wpakowała. Patrzcie na Barkovitcha. Nie wszedł w to, żeby zdobyć nagrodę. On maszeruje tylko po to, żeby napatrzeć się, jak inni umierają. Kiedy ktoś zalicza czerwoną kartkę, jemu przybywa trochę energii. To nie dość. Wykruszy się.
 — A ja? — spytał Garraty. Scramm był zakłopotany.
 — Hm...
 — Gadaj.
 — No, mi się widzi, że ty też nie wiesz, dlaczego, po co idziesz. Teraz idziesz, bo się boisz, ale... to nie dość. Strach się kiedyś skończy. — Scramm opuścił wzrok na drogę i potarł dłonie. — A kiedy się skończy, zaliczysz czerwoną kartkę jak cała reszta, Ray.
 Garraty'emu przyszły na myśl słowa McVriesa: „Kiedy się już zmęczone... naprawdę zmęczone... wtedy po prostu usiądę”.
 — Będziesz musiał długo iść, żeby mnie wdeptać w ziemię
 — powiedział, ale Scrammowa prosta ocena sytuacji bardzo go wystraszyła.
 — Jestem gotów iść bardzo długo — rzekł Scramm.
 Ich stopy unosiły się i opuszczały na asfalt, niosąc ich przed siebie, zakretem, w dół zagłębienia, a potem przez tory kolejowe, metalowe rowki w drodze. Minęli zamkniętą smażalnię małży. Potem znów znaleźli się wśród pól, lasów i łąk.
 — Chyba rozumiem, co to znaczy umrzeć — odezwał się Pearson nagle. — Przynajmniej teraz. Nie samą śmierć, jej wciąż nie mogę pojąć. Ale umieranie. Jeśli przestanę iść, dojdę do końca. — Przełknął głośno ślinę. — Do końca, jak płyta po ostatnim nagraniu. — Spojrzał z powagą na Scramma.
 — Może jest tak, jak mówisz. Może to nie dość. Ale... ja nie chcę umrzeć.
 — Wyobrażasz sobie, że wystarczy rozumieć umieranie, żeby nie umrzeć? — odpowiedział mu Scramm z pogardą.
 Pearson uśmiechnął się słabym uśmieszkiem biznesmena, który stara się nie zwymiotować obiadu na rozkołysanej łodzi.

— W tej chwili to prawie wszystko, co każe mi iść.

I Garraty odczuł ogromną ulgę, ponieważ jego obrona nie została zredukowana do tego stopnia. Jeszcze.

Nagle przed nimi chłopak w czarnym golfie dostał konwulsji. Upadł na drogę, podskakiwał jak ryba na piasku i składał się jak scyzoryk. Ręce i nogi drżały mu i latały we wszystkie strony. Wydawał śmieszne dźwięki przypominające beczenie, całkowicie bezsensowne. Kiedy Garraty go mijał, jedna z machających dłoni uderzyła o jego but i poczuł falę obrzydzenia. Chłopak wyrzucił oczy, pokazując białka. Na wargach i na podbródku miał strużki piany. Dostał drugie upomnienie, ale oczywiście nic do niego nie docierało, a kiedy przebiegły minuty, zastrzelono go jak psa.

Niedługo potem weszli na szczyt łagodnego wzniesienia i spojrzeli w dół na zieloną, bezludną krainę. Chłodny powiew przyjemnie chłodził spocone ciała.

— To ci widok — powiedział Scramm.

Droga odsłoniła się na jakieś dwadzieścia kilometrów. Opadała wzdłuż długiego stoku, biegła płaskimi zygzakami między lasami, grafitowy znak w poprzek zielonego arkusza marszczonego papieru. W oddali zaczynała wspinaczkę i rozplywała się w różowej mgłę poranka.

— To pewnie Lasy Hainesville — rzekł Garraty. — Cmentarz kierowców ciężarówek. Piekło w zimie.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem. — Scramm rozglądał się z podziwem. — W całej Arizonie nie ma tyle zieleni.

— Ciesz się tym, póki możesz — odezwał się Baker, dołączając do grupy. — Zapowiada się parowa. Już jest gorąco, a mamy dopiero wpół do siódmej.

— Ty pewnie przywykłeś do gorąca — zauważył Pearson niemal z zazdrością.

— Do tego nie można przywyknąć — powiedział Baker, zarzucając kurtkę na ramię. — Można tylko nauczyć się z tym żyć.

— Chciałbym zbudować tu dom — oświadczył Scramm. Kichnął serdecznie, dwa razy, co zabrzmiało trochę jak ryk podnieconego byka. — Zbudować go właśnie tutaj, własnymi rękami i patrzeć na ten widok każdego rana. Ja i Cathy. Może kiedyś tak będzie, kiedy się to wszystko skończy.

Nikt nie powiedział nic.

Do za piętnaście siódma zostawili za sobą grzbiet wzniesienia. Ustały powiewy wiatru i żar maszerował już pośród nich. Garraty zdjął kurtkę, zrolował i zawiązał starannie wokół pasa. Droga przez lasy nie była już wyludniona. Tu i tam kibice — ranne ptaszki — zaparkowali samochody poza poboczem i stali grupkami lub siedzieli, wiwatowali, machali rękami i trzymali tablice z napisami.

Dwie dziewczyny stały obok zniszczonego MG. Miały na sobie ciasne letnie szorty, skąpe bluzeczki i sandały. Wiwatowały. Ich zarumienione twarze wyrażały podniecenie — przedwieczne, grzeszne, erotyczne do granic obłędu. Garraty poczuł agresywną zwierzęcą żądzę, która wprawiła jego ciało w niemal epileptyczne drgawki.

Gribble, najbardziej radykalny z nich wszystkich, nagle rzucił się do dziewcząt, wzbijając obłoczki kurzu wzdłuż pobocza. Jedna z nich oparła się o maskę MG, lekko rozstawiła nogi, wypchnęła biodra ku nadbiegającemu. Gribble położył jej dłoń na piersi. Nie zrobiła nic, by go powstrzymać. Dostał upomnienie, zawahał się, a potem rzucił się na nią; nacierająca, nieudolna, zła, przestraszona istota w przepoconej białej koszuli i sztruksach. Dziewczyna chwyciła nogami Gribble'a na wysokości łydek i objęła go za szyję. Pocałowali się.

Gribble dostał drugie upomnienie, potem trzecie, a gdy zostało mu może piętnaście sekund łaski, zatoczył się w tył i popędził z powrotem na łeb, na szyję. Upadł, pozbierał się, złapał za krocze i chwiejnie wypadł na drogę. Wydawał z siebie jakieś niezrozumiałe piski.

— Nie mogłem... — bełkotał. — Nie było czasu, ona mnie chciała, ale nie mogłem...

— Dostała, czego chciała — powiedział Barkovitch. — Będzie miała o czym mówić w jutrzejszym talk—shaw.

— Zamknij się już! — wrzasnął Gribble. Zacisnął rękę na kroczu. — Boli, mam skurcz...

— Tylko go jajca rozboleły — powiedział Pearson. — Tyle mu się udało.

Gribble patrzył na nich zza straków czarnych włosów, które opadły mu na oczy. Wyglądał jak oszołomiona łasica.

— Boli... — jęknął znowu. Opadł powoli na kolana, przyciskał dłonie do podbrzusza. Dygotał i łkał, a Garraty widział krople potu uczonej delikatnych włosków na karku — ojciec Garraty'ego nazywał te włoski „kaczy puszek”.

W chwilę potem Gribble był martwy.

Garraty obejrzał się za dziewczynami, ale schowały się do MG. Widać było tylko ich niewyraźne sylwetki.

Bardzo starał się o nich nie myśleć, ale nie mógł. Jak to jest, kiedy się rżnie takie gorące, uległe ciało? Jej uda dygotały, mój Boże, dygotały w jakimś spazmie, orgazmie, och! Żądza pieszczoty była nie do opanowania... ach, żar... ten żar...

Poczuł wytrysk. Ciepły strumyk. Mokry. Chryste, jeszcze ktoś zauważy! Zauważy, palcem wskaże płamę na spodniach i spyta, jak by mu się podobało, gdyby musiał wyjść na ulicę i maszerować bez ubrania, maszerować na golasa... maszerować... i maszerować... i maszerować...

Och, Jan, naprawdę cię kocham! — pomyślał, ale to przekonanie było niejasne, pomieszane.

Przewiązał inaczej kurtkę na biodrach. Po chwili wspomnienie zatarło się i zmętniało, niczym zdjęcie z polaroida pozostawione na słońcu.

Szybkość wzrosła. Droga wiodła w dół i nie dało się iść powoli. Mięśnie pracowały, pot lał się obficie. Niewiarygodne, Garraty przyłapał się na tym, że marzy, by noc przyszła jak najszybciej. Z ciekawością zerknął na Olsona, zastanawiając się, jak sobie radzi.

Olson znów wpatrywał się w ziemię. Mięśnie na karku miał nabrzmiałe i sztywne. Pokazywał zęby w trupim uśmiechu.

— Jest już na przedostatnim etapie — odezwał się niespodziewanie McVries zza ramienia Garraty'ego. — Na tym etapie zaczynają marzyć o tym, że ktoś ich zastrzeli i będą mogli dać nogom odpocząć. Potem mają już niedaleko.

— Czyżby? — spytał zaczepnie Garraty. — Jakim cudem wszyscy inni wiedzą o tym tyle więcej ode mnie?

— Bo jesteś taki słodki — rzekł czule McVries, przyspieszył i minął Garraty'ego.

Stebbins. Co się z nim dzieje? Garraty odwrócił głowę, odszukał go wzrokiem. Był w tyle. Grupa rozciągnęła się, schodząc długą pochyłością, i Stebbins był jakieś czterysta metrów z tyłu, ale nie dało się z niczym pomylić fioletowych spodni i roboczej koszuli. Stebbins w dalszym ciągu zamykał grupę jak wychudły sęp czekający na padlinę...

Garraty wściekł się, chciał zawrócić biegiem i udusić Stebbinsa. Musiał zadać sobie wiele trudu, by zwalczyć ten odruch.

Zanim dotarli do podnóża stoku, Garraty miał nogi jak z gumy. Stan odrętwienia i zmęczenia, który zagościł w jego ciele, niespodziewanie został przerwany grubymi igłami bólu przeciskającymi się przez stopy, łydki i uda. Czy to zapowiedź skurczów mięśni? Możliwe. Byli dwadzieścia dwie godziny w drodze. Dwadzieścia dwie godziny nieprzerwanego marszu, to niewiarygodne.

— Jak się teraz czujesz? — spytał Scramma, jakby ostatni raz pytał go o samopoczucie dwanaście godzin temu.

— Zdrowo i wesoło — odparł Scramm. Otarł nos wierzchem dłoni i splunął.

— Chyba się przeziębiesz.

— Eee, nie, to pyłki. Katar sienny. Mam go nawet w Arizonie. Ale nigdy się nie przeziębiam.

Garraty otworzył usta do odpowiedzi, kiedy pusty łoskot dobiegł echem skądś z daleka z przodu. Ogień karabinowy. Poszła wieść. Harkness się wypalił.

Kiedy Garraty przekazywał wieść dalej, miał dziwne wrażenie, jak podczas jazdy windą. Magiczny krąg uległ przerwaniu. Harkness nigdy nie napisze książki o Wielkim Marszu. Harknessa zwleczono z drogi jak worek zboża albo ciśnięto go na transporter, starannie zawiązanego w płócienny wór na zwłoki. Dla Harknessa Wielki Marsz się skończył.

— Harkness — powiedział McVries. — Kochany stary Harkness dostał bilet w jedną stronę do parku sztywnych.

— Napiszcie mu epitafium! — wrzasnął Barkovitch.

— Zamknij się, morderco — odpowiedział z roztargnieniem McVries. — Kochany stary Harkness, sukinkot.

— Wcale nie jestem mordercą! — wydarł się Barkovitch. — Zatańczę na twoim grobie, skancerowana mordo, za...

Uciszył go chór gniewnych głosów. Barkovitch mrucząc wpatrywał się w McVriesa płonącym wzrokiem. Potem przyspieszył nieco kroku.

Szli cienistym tunelem między drzewami. Garraty usiłował zapomnieć o Harknessie i Gribble'u, starał się myśleć tylko o chłodzie. Nagle odezwał się Baker:

— Wiecie, co robił mój wujek?
 — Co? — spytał Abraham.
 — Był przedsiębiorcą pogrzebowym — powiedział Baker.
 — Dobry interes — skwitował to bez zainteresowania Abraham.
 — Jak byłem mały, wciąż się zastanawiałem... — Barker zgubił myśl; popatrzył na Garraty'ego i uśmiechnął się. To był niezwykle uśmiezek. — Kto go zabalsamuje, o to mi się rozchodzi. Jak się zastanawiasz, kto ścina włosy fryzjerowi albo kto lekarza operuje na kamienie żółciowe. Kojarzysz?
 — Wiele zółci musi upłynąć, żeby lekarz został lekarzem — oznajmił z powagą McVries.
 — Wiesz, o co mi się rozchodzi.
 — Więc kto przyjął zlecenie, kiedy wybiła godzina? — zapytał Abraham.
 — No właśnie, kto? — zaciekawił się Scramm. Baker podniósł wzrok ku ciężkim konarom, pod którymi przechodzili, i Garraty znów zauważył, że Baker wygląda na wyczerpanego. Pewnie wszyscy tak wyglądamy, dodał w myślach.
 — Daj spokój — powiedział McVries. — Nie każ nam długo czekać. Kto go pogrzebał?
 — To najstarszy kawał świata — wtrącił Abraham. — Baker zaraz spyta: „A skąd wiecie, że umarł?”
 — Umarł, umarł — rzekł Baker. — Na raka płuc. Sześć lat temu.
 — Palił? — spytał Abraham, machając czteroosobowej rodzinie i jej kotu. Kot był na smyczy. Perski kot. Robił wrażenie wkurzonego.
 — Nie, nawet fajki — powiedział Baker. — Bał się, że dostanie od tego raka.
 — Och, na litość boską! — rozeźlił się McVries. — Kto go pochował? Powiedz nam, żebyśmy mogli dyskutować o problemach globalnych, baseballu albo antykoncepcji.
 — Uważam, że antykoncepcja jest problemem globalnym — oznajmił z powagą Garraty. — Moja dziewczyna jest katoliczką i...
 — Cisza!!! — ryknął McVries. — Kto pochował twojego dziadka, Baker?
 — Mojego wujka. To był mój wujek. Mój dziadek był adwokatem w Shreveport. On...
 — Gównu mnie to obchodzi! Gównu mnie obchodzi, czy ten szanowny starszy pan miał trzy kutasy, chcę tylko wiedzieć, kto go pogrzebał, żebyśmy mogli wreszcie zmienić temat.
 — Tak naprawdę to nikt go nie pogrzebał. Chciał zostać skremowany.
 — A niech mnie! — Abraham wybuchnął śmiechem.
 — Ciotka chowa jego prochy w ceramicznej wazie. W swoim domu w Baton Rouge. Stara się jakoś utrzymać interes... ale wygląda na to, że dom pogrzebowy prowadzony przez kobietę nie wzbudza niczyjego zaufania.
 — Wątpię, żeby o to chodziło — powiedział McVries.
 — Nie o nią?
 — Nie. Wydaje mi się, że twój wujek załatwił ją na cacy.
 — Załatwił? Czemu tak uważasz? — Baker był zaciekawiony.
 — No, musisz przyznać, że to nie była dobra reklama dla interesu.
 — Bo umarł?
 — Nie — powiedział McVries. — Bo kazał się skremować.
 Scramm zachichotał przez zatkany nos.
 — Tu cię załatwił, kolego.
 — Chyba tak — powiedział Baker. On i McVries uśmiechnęli się do siebie szeroko.
 — Twój wuj jest nudny jak flaki z olejem. — Abraham westchnął ciężko. — Mogę też dodać, że...

W tym momencie Olson zaczął prosić jednego ze strażników, żeby pozwolił mu odpocząć.

Nie przestał iść, nie zwolnił na tyle, by dostać upomnienie, ale jego głos unosił się i opadał błagalną, tchórzliwą monotonną linią. Garraty czuł zażenowanie. Rozmowy ustały. Widzowie przypatrywali się Olsonowi z grozą i fascynacją. Garraty marzył o tym, żeby Olson zamknął się, nim okryje pozostałych hańbą. Też nie chciał umrzeć, ale jeśli musiał, chciał odejść z tego świata tak, żeby ludzie nie brali go za tchórze. Żołnierze patrzyli nad Olsona, przez Olsona, wokół Olsona, z twarzami jak drewniane maski, głusi i ślepi. Jednakże od czasu do czasu dawali upomnienie, więc byli czujni.

Za kwadrans ósma rozeszła się wieść, że brakuje im jeszcze dokładnie dziewięciu i pół kilometra do przejścia stu sześćdziesięciu kilometrów. Garraty pamiętał, że rekordowa liczba uczestników, której udało się pokonać sto sześćdziesiąt kilometrów Wielkiego Marszu, wyniosła sześćdziesiąt trzy.

Prawdopodobnie pobiją rekord — było ich nadal sześćdziesięciu dziewięciu. Tylko czy to miało jakieś znaczenie?

Olson nie ustawał w błaganiach. Kilku chłopaków wrzasnęło na niego, ale albo nie słyszał, albo nie dbał o nich. Upał był coraz większy.

Minęli drewniany kryty most, deski łomotały i podskakiwały im pod stopami. Garraty słyszał, jak jaskółki, które uwiły gniazda pośród krokwi, trzepoczą skrzydełkami. Na moście było cudownie chłodno i kiedy dotarli na drugą stronę, wydało się, że słońce świdruje ich jeszcze gorętszymi promieniami. Jeszcze poczekaj, jeśli myślisz, że teraz jest upał, powiedział sobie Garraty. Poczekaj, aż wyjdiesz na otwartą przestrzeń. Biedaku.

Wrzasnął o picie. Żołnierz podbiegł, bez słowa podał mu manierkę i wrócił truchtem do transportera. Garraty był też głodny. O dziewiątej, pomyślał. Wcześniej nic nie zjem. Niech to diabli, przecież nie umrę z głodu!

Nagle Baker przeciął przed nim drogę, rozejrzał się, opuścił spodnie i przykucnął. Dostał upomnienie. Garraty minął go i usłyszał, jak żołnierz udziela następnego upomnienia. Po dwudziestu sekundach Baker znów doszedł Garraty'ego i McVriesa. Zapinał spodnie.

— Najszybsze sranie w calutkim życiu! — wysapał zupełnie bez tchu.

— A co, prowadzisz rejestr? — dziwił się McVries.

— Nigdy nie mogę długo wydolić bez srania — zwierzył się Baker. — Do diabła, niektórzy srają raz na tydzień. Ja raz na dzień strzelam kupę. Jak nie strzelę kupy w ciągu dnia, biorę środki na przeczyszczenie.

— Środki na przeczyszczenie mogą ci zrujnować kiszki — ostrzegł Pearson.

— Gówno prawda — najeżył się Baker. McVries wybuchnął głośnym śmiechem. Abraham odwrócił głowę, by przyłączyć się do konwersacji.

— Mój dziadek w życiu nie wziął środków przeczyszczających i dożył...

— Aha, pewnie prowadzisz archiwa — powiedział Pearson.

— Chyba nie wątpisz w słowa mojego dziadka, no nie?

— Boże broń! — Pearson przewrócił oczami.

— W porządku. Mój dziadek...

— Patrzcie — rzekł cicho Garraty.

Nie zainteresowany argumentami żadnej ze stron dyskusji o przeczyszczaniu, obserwował Percy'ego jak mu tam. Nie wierzył własnym oczom. Poprzednio Percy coraz bardziej zbliżał się do skraju drogi. Teraz szedł piaszczystym poboczem. Od czasu do czasu rzucał ukradkowe, wystraszone spojrzenie na transporter, a potem na gęsty las oddalony zaledwie o dwa metry z kawałkiem.

— Chyba chce prysnąć — powiedział cicho Garraty.

— Zaraz go zastrzelą — dodał Baker. Głos opadł mu do szeptu.

— Nie wydaje się, żeby ktoś go obserwował — sprzeciwił się Pearson.

— W takim razie, na litość boską, nie dawajcie im cynku! — rzekł gniewnie McVries. — Banda kretynów! Jezu!

Przez następne dziesięć minut żaden nie powiedział niczego sensownego. Markowali rozmowę, obserwując Percy'ego obserwującego żołnierzy, obliczającego w myślach krótką odległość od gęstego lasu.

— Nie odważy się — mruknął w końcu Pearson ł właśnie wtedy Percy powoli ruszył do lasu. Dwa kroki, potem trzy.

Jeszcze jeden, najwyżej dwa i byłby między drzewami. Odziane w dzinsy nogi poruszały się bez pośpiechu. Wypłowiele od słońca włosy podniosły się troszeczkę w lekkim podmuchu. Mógłby być skautem, który wybrał się na wycieczkę podpatrywać ptaki.

Nie było żadnych upomnień. Percy zrezygnował ze swojego prawa do nich, kiedy przekroczył granicę pobocza. Zszedł z drogi i żołnierze wiedzieli o tym cały czas. Nie wystrychnął nikogo na dudka. Rozległ się jeden ostry huk i Gar—raty oderwał spojrzenie od Percy'ego, przenosząc je na żołnierza stojącego na tylnej części nadwozia transportera. Żołnierz wyglądał jak kamienna rzeźba, kolbę karabinu wbił w solniczkę obojczyka, głowę skłonił przed szczerbinką.

Garraty obrócił głowę ku Percy'emu. Percy to był dopiero widok. Rozstawił nogi na zachwaszczony granicy sosnowego lasu. Tak zamarł w bezruchu, jak człowiek, który go zastrzelił. Obaj mogliby stanowić model dla Michała Anioła, pomyślał Garraty. Percy skamieniał pod błękitnym wiosennym niebem. Jedną dłoń przycisnął do piersi, niczym poeta, który zamierza wygłosić wiersz.

Oczy miał szeroko otwarte, pełne jakiejś ekstazy.

Strużka jasnej krwi sączyła mu się spomiędzy palców, lśniąc w słońcu. Percy! Hej, Percy, matka cię woła! Hej, Percy, czy twoja matka wie, że jesteś skreślony? Hej, Percy, a co to dzidziusiowe głupie imię, Percy, Percy, jaki z ciebie śliczny synuś. Percy przemienił się w jasnego, oświetlonego słońcem Adonisa, mając za kontrast okrutnego łowcę w piaskowych barwach. I jedna, dwie, trzy plamki krwi o kształcie monety skapnęły na zakurzone od marszu buty Percy'ego, a wszystko to wydarzyło się w ciągu tylko trzech sekund. Garraty nie zrobił nawet dwóch pełnych kroków i nie dostał upomnienia. Percy, co powie twoja matka na to? Czy naprawdę, powiedz, naprawdę masz śmiałość umrzeć?

Percy miał tę śmiałość. Pochylił się w przód, lecąc na małe garbate drzewko, obrócił i wylądował na wznak. Wdzięk, zastygła symetria przepadły. Percy po prostu nie żył.

— Niech ziemię tę zasypią grudy soli — zaczął mówić szybko McVries. — Tak aby ni źdźbło kukurydzy, ni źdźbło pszenicy nigdy nie wzrosło. Przeklęte niech będą dzieci tej ziemi i przeklęte ich lędźwie. A także przeklęte ich giry po tyłek. Święta Mario, łaskiś pełna, spuść tu bombę! — i wybuchnął śmiechem.

— Zamknij się — powiedział ochryple Abraham. — Przestań gadać od rzeczy.

— Cały świat jest Bogiem — rzekł McVries i zachichotał histerycznie. — Maszerujemy po Panu, a tam pod lasem muchy łążą po Panu, zaiste muchy też są Panem, więc błogosławiony owoc żywota twego, Percy. Amen, alleluja, masło kakaowe na śniadanie zdrowe. Ojcze nasz, któryś jest w folii spożywczej, święć się imię twoje.

— Przyłożę ci! — ostrzegł go Abraham. Bardzo pobladł. — Naprawdę, Pete!

— Oto człowiek modlitwy! — zadrwił McVries i znów zachichotał. — Och, niech mnie szlag trafi! Och, mój kapelusie święty!

— Przyłożę ci, jak się nie zamkniesz! — zahuczał Abraham.

— Dajcie spokój — powiedział przestraszony Garraty. — Proszę, nie bijcie się. Bądźmy... grzeczni.

— Chcesz sylwestrową czapeczkę? — spytał szaleńczo Baker.

— Kto cię pytał, buraku jeden?

— On był zbyt młody na tę wycieczkę — rzekł ze smutkiem Baker. — Jeśli miał czternaście lat, to ja jestem chiński uczony.

— Matka go rozpuściła — powiedział Abraham drżącym głosem. — Wiadoma sprawa.

— Już go nie będzie więcej rozpuszczać — dodał McVries.

Olson nagle znów zaczął bełkotać do żołnierzy. Ten, który zastrzelił Percy'ego, jadł kanapkę. Było już po ósmej. Szli obok zalanej słońcem stacji paliwowej; pracownik w zatłuszczonym kombinezonie polewał szlauchem plac.

— Dobrze by było, żeby mnie też polał — westchnął Scramm. — Ale mi gorąco!

— Wszystkim jest gorąco — powiedział Garraty.

— Myślałem, że w Maine nigdy nie ma upałów. — Pearson mówił jak ktoś wyjątkowo zmęczony. — Myślałem, że w Maine powinno być chłodno.

— No to teraz wiesz, że jest inaczej — powiedział krótko Garraty.

— Zabawny z ciebie gość. Prawdziwy komik. Kurczę, cieszę się, że cię poznałem.

McVries wybuchnął śmiechem.

— Wiesz co? — odparł Garraty.

— Co?

— Że się w gacie nie sro! — Była to najdowcipniejsza odzywka, jaką potrafił wymyślić na poczekaniu.

Minęli kolejny parking dla ciężarówek. Stało na niej kilka wielkich ciągników siodłowych, niewątpliwie ściągniętych z drogi, by zrobić miejsce dla Wielkiego Marszu. Jeden z kierowców stał zaniepokojony przy swoim tirze, wielkiej chłodni, i sprawdzał bok ładunku. Sprawdzał, w jakim tempie nagrzewa się w słońcu. Kilka kelnerek wiwatowało, kiedy zawodnicy przedrałowali obok, i kierowca, potężny mężczyzna o byczym karku, ubrany w brudny podkoszulek, pokazał chłopakom wyprostowany palec.

— A temu o co chodzi?! — krzyknął Scramm. — Szuja zaszara!

McVries wybuchnął śmiechem.

— To pierwszy szczerzy obywatel, jakiego spotkaliśmy, od kiedy zaczęła się ta impreza, Scramm. Mnie się podoba!

— Pewnie leci do Montrealu załadowany po dach łatwo psującym się towarem — powiedział Garraty. — Z samego Bostonu. Musiał przez nas zjechać z drogi. Pewnie się boi, że straci robotę... albo tira, jeśli pracuje na własny rachunek.

— I to ma być takie straszne! — ryknął Collie Parker. — Od jakichś dwóch miesięcy mówili ludziom, co będzie na tej drodze. To tylko jeszcze jeden cholerny kół, i tyle!

— Widzę, że się na tym znasz — powiedział Garraty'emu Abraham.

— Trochę. Mój ojciec jeździł tirem, zanim... odszedł. Mocno musisz się napocić, by wycisnąć dolara z tej roboty. Pewnie tamten facet kombinował, że zdąży do następnego zjazdu. Nie pojechałby wtedy, gdyby miał krótszą drogę.

— Nie musiał nam wystawiać palca — upierał się Scramm. — Nie musiał. Jego zsrane zgniłe pomidory to nie sprawa życia i śmierci, jak to.

— Ojciec nawiał twojej matce? — spytał Garraty'ego McVries.

— Mój ojciec został spatrolowany — rzekł krótko Garraty. Spojrzał wyzywająco na Parkera. Czekał na reakcję, ale nikt nie powiedział nic.

Stebbins nadal szedł ostatni. Za ledwie minął parking, niedźwiedziowaty kierowca wskoczył do szoferki. W przedzie karabiny wykrakały jedyne znane im słowo. Jakiś chłopak przewrócił się na drodze i znieruchomiał. Dwaj żołnierze zaciągnęli ciało na pobocze, trzeci rzucił im wór na zwłoki.

— Miałem wujka, który został spatrolowany — rzekł z wahaniem Wyman. Garraty zauważył, że język lewego buta Wymana wysunął się spod sznurówek i majta nieprzyzwoicie.

— Tylko skończone durnie dają się spatrolować — oznajmił głośno i wyraźnie Collie Parker.

Garraty chciał obudzić w sobie gniew, ale opuścił głowę i wpatrywał się w drogę. Zgadza się, ojciec był skończonym durniem. Pijusem, który nigdy nie potrafił zaoszczędzić paru centów, choćby nie wiedzieć jaka robota wpadła mu w ręce. Nie miał na tyle rozumu, żeby zachować swoje polityczne opinie dla siebie. Garraty czuł się stary, wypluty i zgorzkniały.

— Zamknij swą cuchnącą jadaczkę — powiedział zimno McVries.

— Próbujesz mi rozka...

— Nie. Nie próbuję i nie rozkazuję. Tylko się przymknij, skurwysynu.

Collie Parker zwolnił, wszedł między Garraty'ego i McVriesa. Pearson i Abraham odsunęli się trochę. Nawet żołnierze wyprostowali się, szykując na kłopoty. Parker długą chwilę patrzył na Garraty'ego. Miał szeroką zroszoną potem twarz i nadal aroganckie spojrzenie. Nagle poklepał Garraty'ego po ramieniu.

— Czasem chlapnę coś głupio. Nie miałem nic złego myśli. Wszystko gra? — Garraty ze znużeniem skinął głową i Parker przeniósł wzrok na McVriesa. — Olewam cię, koleś — powiedział i znów ruszył ku czołówce.

— Co za drań — rzekł ponuro McVries.

— Nie gorszy niż Barkovitch — zauważył Abraham. — Może nawet trochę lepszy.

— Poza tym — dodał Pearson — co z tego, że cię spatrolują? To tysiąc razy lepsze niż zostać zabitym, mam rację?

— Skąd wiesz? — zapytał Garraty. — Skąd któryś z nas mógłby wiedzieć?

Ojciec był jasnowłosym olbrzymem o huczącym głosie i grzmiącym śmiechu, który w uszach małego Garraty'ego brzmiał tak, jakby góry pękały. Gdy stracił własnego tira, zarabiał na życie prowadząc państwowe ciężarówki z Brunswi—cku. I wszystko byłoby dobrze, gdyby Jimmy Garraty potrafił zachować swoje polityczne opinie dla siebie. Bo kiedy się pracuje na państwowej posiadzie, państwo wie dwa razy lepiej, że żyjesz, jest dwa razy bardziej skore wezwać Patrol, kiedy coś przestaje mu się podobać. A Jimmy Garraty nie był jakimś propagatorem Wielkiego Marszu. Więc jednego dnia dostał telegram, a następnego dwaj żołnierze pojawili się na progu i Jimmy Garraty udał się z nimi, zawiadziaki; jego żona zamknęła drzwi błada jak kreda, a kiedy Garraty spytał, gdzie tatuś idzie z panami żołnierzami, dała mu w twarz tak mocno, że rozcięła wargę, i kazała się zamknąć, zamknąć! Od tamtej pory nie widział więcej ojca. To było jedenaście lat temu. Sprzątanie do czysta. Odwonniono, zdezynfekowano, spasteryzowano, zafoliowano próżniowo i odłupieżono.

— Miałem brata, który narobił sobie kłopotów — zwierzył się Barker. — Nie zadarł z państwem, tylko z prawem. Ukradł samochód i przejechał z naszego miasta aż do Hattiesburg w stanie Missisipi. Dostał dwa lata w zawieszeniu. Teraz nie żyje.

— Nie żyje? — usłyszeli głos trzeszczący niczym wyschłe łupiny, jakby odezwał się upiór. To dotączył do nich Olson.

— Dostał ataku serca — wyjaśnił Baker. — Miał tylko trzy lata więcej ode mnie. Mama zawsze mówiła, że był jej krzyżem, ale narozrabiał tylko raz. Mnie bardziej się udało. Przez trzy lata byłem nocnym jeźdźcem. Wiecie, to takie popłuczyny po Klanie.

Na Bakera właśnie padły promienie słońca przeświecające między drzewami. Jego twarz wyrażała wstyd, ale i poczucie godności.

— To wykroczenie podpadające Patrolom, ale nic mnie to nie obchodziło. Miałem tylko dwanaście lat, kiedy się w to wpakowałem. Wiecie, teraz na te nocne wyskoki napala się mało kto poza dziećmi. Starsi nie są tacy głupi. Mówili, co mamy robić, i klepali nas po głowach, ale nie ruszali tyłków z miejsca, żeby ich nie spatrolowali, byli na to za mądrzy. Zrezygnowałem z tego, kiedy sfajczyliśmy krzyż na trawniku przed domem jednego Murzyna. Byłem chory ze strachu. I ze wstydu. Czemu komuś zależało, żeby fajczyć krzyż na trawniku jakiegoś Murzyna? Jezu Chryste, takie jaja to się robiło za dawnych czasów, co nie? — Baker pokręcił głową. — To nie miało sensu.

Znów ożyły karabiny.

— Następny — powiedział Scramm. Miał zatkany nos, otarł go wierzchem dłoni.

— Trzydziesty czwarty — obliczył Pearson. Wyjął jedno—centówkę z kieszeni i przełożył do drugiej. — Wziąłem z sobą dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Za każdym razem, kiedy ktoś zalicza czerwoną kartkę, wkładam centa do drugiej kieszeni. A kiedy...

— To makabryczne! — wykrzyknął Olson. Jak zaszczute zwierzę wpatrywał się w Pearsona. — A nie wzięłeś laleczek voodoo?

Pearson nic nie odpowiedział. Z zakłopotaniem patrzył na mijane płowe pola. Wreszcie mruknął:

— Wcale tak nie myślałem. To było na szczęście.

— To świństwo — zaskrzeczał Olson. — Ohyda. To...

— Daj se siana — powiedział Abraham. — Daj se siana, bo mnie szlag trafi.

Garraty spojrzął na zegarek. Dwadzieścia po ósmej. Czterdzieści minut do jedzenia. Pomyślał, jak miło byłoby wejść do którejś z jadłodajni rozsiansych przy drodze, wygodnie się usadowić na tapicerowanym stołku przy barze, postawić nogi na podpórce (o Boże, co za ulga!) i zamówić stek, smażoną cebulkę i frytki, a na deser wielki talerz lodów waniliowych z polewą truskawkową. A może wielki talerz spaghetti ze zrazikami, do tego włoski chleb i jeszcze zielony groszek pływający w masełku, l mleko. Cafe dzbanisko mleka. Do diabła z tubkami i manierkami destylowanej wody. Mleko i solidne żarełko, i krzesło, na którym można wygodnie siedzieć przy stole. Czy to nie piękna wizja?

Pod wielkim wiązem rozłożyła się pięcioosobowa rodzina — matka, ojciec, syn, córka i siwowłosa babcia. Urządzili sobie poranny piknik, zajadali kanapki i popijali chyba kakao. Pomachali radośnie zawodnikom.

— Chamy — mruknął Garraty.

— Co mówisz? — spytał McVries.

— Chciałbym usiąść i coś zjeść. Popatrz na tych ludzi. Pieprzone stado świń.

— Zachowywałbyś się tak samo — powiedział McVries. Obdarzył promiennym uśmiechem babunię, która machała ręką i gryzła — a właściwie międlifa dziąsłami — kanapkę z jajkiem na twardo i sałatą.

— Niech ich cholera! Siedzą i jedzą, podczas kiedy banda głodujących...

— Nie głodujemy, Ray. Tylko tak się wydaje.

— No to głodnych...

— Umysł nad materią — patetycznie wydeklamował

McVries. — Umysł nad materią, młody przyjacielu. — Nieźle udawał W.C. Fieldsa.

— Do diabła! Ty tylko nie chcesz przyznać mi racji. Ci ludzie to zwierzęta. Chcą zobaczyć czyjś mózg na drodze, to ich rajcuje. Niedługo czekać, a zobaczą twój.

— Nie w tym sprawa — spokojnie rzekł McVries. — Sam mówiłeś, że kiedyś jeździłeś oglądać Wielki Marsz.

— Tak, byłem mały i głupi!

— No proszę, zawsze jakieś usprawiedliwienie się znajdzie! — McVries roześmiał się krótkim, obrzydliwym śmiechem. — Pewnie, to zwierzęta. Myślisz, że akurat udało ci się sformułować nowe prawo natury? Twoja naiwność czasem mnie zdumiewa. Francuscy arystokraci pieprzyli się w cieniu gilotyiny. Starożytni Rzymianie dupczyli się podczas walk gladiatorów. To rozrywka, Garraty. Nic nowego. — Znów się roześmiał.

Garraty słuchał zafascynowany. Szedł jak automat, ale był niejasno świadomy, że nogi ma napuchnięte i śliskie, jakby napełniały się ropą.

— Dalej, McVries! — powiedział ktoś. — Jesteś przy drugiej bazie. Chcesz zaatakować trzecią?

Garraty nie musiał się odwracać. Oczywiście, to był Steb—bins. Stebbins, wychudły Budda.

— Śmierć fantastycznie podrażnia zmysły — powiedział McVries. — Pamiętasz tamte dwie dziewczyny i Gribble'a? Chciały się przekonać, jak to jest, walić z się z trupem. To dopiero coś naprawę nowego i innego niż wszystko do tej pory. Nie wiem, czy Gribble coś z tego miał, ale one na pewno. Nie ma znaczenia, czy oni jedzą, czy piją, czy siedzą na kiblu. Jest im fajniej, fajniej im smakuje i fajniej ich rajcuje, bo mają przed oczami trupy.

Ale nawet nie to naprawę jest morałem, który wynika z tego naszego spaceru, Garraty. Morał jest taki, że to oni mają łeb. Oni nie zostają rzućeni na pożarcie lwom. Oni nie wloką się i nie marzą o tym, żeby strzelić kupę nie dostając dwóch upomnień. Jesteś durniem, Garraty. Ty, ja, Pearson, Barkovitch i Stebbins, wszyscy jesteśmy durniami. Scramm jest durny, bo myśli, że rozumie, o co tu chodzi, a nie rozumie. Olson jest durniem, bo zrozumiał zbyt wiele zbyt późno. Tamci to zwierzęta, zgoda. Ale czy wiesz na pewno, że dzięki temu my jesteśmy ludźmi?

Przerwał, nie mogąc złapać tchu.

— No i proszę — powiedział. — Zaczęłeś i podpuściłeś mnie. Kazanie numer trzysta czterdzieści dwa z serii dwutysięcznej i tak dalej, i tak dalej. Skróciło mi życie przynajmniej o pięć godzin.

— Więc czemu to robisz? — zapytał Garraty. — Jeśli jesteś taki mądry, czemu to robisz?

— Powód jest taki sam dla wszystkich — powiedział Stebbins łagodnie, prawie czule. Usta miał spieczone od słońca, poza tym jego twarz pozostała gładka, świeża. — Chcemy umrzeć, dlatego to robimy. Nie wiedziałeś tego, Garraty? Nie wiedziałeś?

Rozdział ósmy

*Trzy, sześć, dziewięć, gąska wino piła,
W tramwaju malpka tytoniem się raczyła.
Tramwaj fik,
Malpka tytoń tyk,
I wszyscy popłynęli do nieba stateczkiem z piętki
chleba...*

Dziecięca rymowanka

Ray Garraty zacisnął mocno na biodrach pas z koncentratami i powiedział sobie zdecydowanie, że nie zje absolutnie nic przynajmniej do wpół do dziesiątej. Wiedział dobrze, że ciężko mu przyjdzie dotrzymać tego przyrzeczenia złożonego samemu sobie. Skręcało go z głodu. Wszędzie wokół zawodnicy świętowali koniec pierwszej doby na drodze.

Scramm szczerzył się do Garraty'ego, demonstrując jamę ustną pełną topionego serka. Mówił coś miłego, ale całkowicie niezrozumiałego. Baker wyjął słoiczek oliwek — prawdziwych oliwek — i wrzucał je do ust w równym rytmie karabinu maszynowego. Pearson ładował sobie do ust krakersy posmarowane grubo pastą z tuńczyka, a McVries z namaszczeniem wsuwał pastę z kurczaka. Oczy miał na wpół zamknięte, jakby przeżywał krańcowy ból albo szczytową rozkosz.

Między wpół do dziewiątej i dziewiątą padło następnych dwóch; jednym z nich był Wayne, pozdrawiany entuzjastycznie przez leja ze stacji paliwowej kawał drogi temu. Cudownie! — pomyślał Garraty, czując, jak ślina napływa mu do ust, kiedy McVries wydusił ostatnie resztki pasty i cisnął tubę na bok. Wspaniale! Mam nadzieję, że zaraz wszyscy padną trupem.

Nastolatek w nabijanych ćwiekami dzinsach oraz gospodyni domowa w średnim wieku wystartowali do pustej tubki McVriesa, która rozpoczęła nową karierę — pamiątki. Paniusia była bliżej, ale nastolatek okazał się szybszy i wygrał.

— Dzięki! — wrzasnął do McVriesa, wznosząc w górę pogiętą tubkę. Wrócił biegiem do przyjaciół, nie przestając nią wymachiwać. Paniusia z kwaśną miną odprowadzała go wzrokiem.

— Nie jesz nic? — spytał McVries.

— Czekam.

— Na co?
— Na wół do dziesiątej.
McVries przyjrzał mu się z namysłem.
— Ćwiczysz siłę woli?
Garraty wzruszył ramionami, przygotowany na sarkastyczny komentarz, ale McVries tylko patrzył.
— Wiesz co? — powiedział wreszcie.
— Co?
— Gdybym miał dolara... zwróć uwagę, dolara, nie więcej... postawiłbym na ciebie. Chyba masz szansę wygrać tę imprezę.
Garraty roześmiał się z zażenowaniem.
— Podpucha?
— Może tak — powiedział McVries. Wyciągnął przed siebie ręce. Drżały mu lekko. Przyglądał im się nieprzytomnie, jak na pograniczu jawy i lunatycznego snu. — Mam nadzieję, że Barkovitch niedługo wysiądzie.
— Pete?
— Co?
— Gdybyś miał zrobić to wszystko jeszcze raz... gdybyś wiedział, że możesz wytrzymać do tego miejsca i nadal iść... zrobiłbyś to?
McVries opuścił ręce.
— Żartujesz?
— Nie, mówię poważnie.
— Ray, nie zrobiłbym tego jeszcze raz, nawet gdyby major wsadził mi spluwę między pośladki. To prawie samobójstwo, tyle że normalne samobójstwo jest szybsze.
— Święta prawda — wtrącił Olson z pustym uśmiechem więźnia obozu koncentracyjnego. Garraty poczuł ciarki na grzbiecie.
Dziesięć minut później przeszli pod szerokim czerwono—białym transparentem z napisem: 160 KILOMETRÓW! GRATULACJE OD IZBY PLANTATORÓW JEFFERSON!!!
— Mogą sobie wsadzić swoje gratulacje w pewne miejsce — oznajmił Collie Parker. — Jest długie, brązowe i słońce tam nigdy nie dochodzi.
Nagle nieregularny szpaler karłowatych sosen i świerków ogradzający drogę ustąpił miejsca prawdziwemu tłumowi ludzi. Tylu kibiców jeszcze nie spotkali na trasie. Rozległa się potężna owacja, po niej następna i jeszcze następna. Huczały jak przybój rozbijający się o brzeg. Flesze błyskały i oślepiały. Policja powstrzymywała zbite szeregi ludzi; wzdłuż pobocza rozwinięto jasnopomarańczowe liny ograniczające. Policjant mocował się z wrzeszczącym chłopczykiem. Chłopczyk miał zabrudzoną twarz i gile u nosa. W jednej ręce trzymał latawiec, w drugiej notatnik na autografy.
— Jezu! — wrzasnął Baker. — Tylko popatrzcie na nich, no, tylko popatrzcie!
Collie Parker machał rękami i uśmiechał się, i dopiero kiedy Garraty zrównał się z nim trochę, dosłyszał, jak woła swoim nosowym akcentem ze Środkowego Zachodu:
— Fajnie was spotkać, głupie barany! — Uśmiech i machanie ręką. — Się masz, mamuśka! Twoja morda, moja dupa, jednakowo piękna kupa! Się mata, się mata!
Garraty zacisnął rękę na ustach i chichotał idiotycznie. Jakiś mężczyzna w pierwszym rzędzie, kiwający sennie tablicą z napisem ku czci Scramma, miał rozwalony zamek u rozporka. Szereg głębiej tłusta kobieta w idiotycznym żółtym kostiumie kąpielowym stała ściśnięta między trzech uczniów college'u, pijących piwo. To się tłusciucha wpasowała! — pomyślał Garraty i roześmiał się mocniej.
Zaraz wpadnę w histerię. O mój Boże, nie pozwól, żeby mnie wzięto, będę myślał o Gribble'u i nie... nie... nie...
Ale stało się. Ryknął takim śmiechem, że aż dostał kolki i szedł na ugiętych nogach, a ktoś darł się na niego, wrzeszczał tak, że przekrzykiwał ryk tłumu. To był McVries.
— Ray! Ray!! Co ci jest? Źle się czujesz?
— Są śmieszni! — Prawie płakał ze śmiechu. — Pete, Pete, oni są tacy śmieszni, po prostu... po prostu... śmieszni!
Naburmuszona dziewczynka o zaciętej twarzyczce, w brudnym opalaczu siedziała na ziemi. Kiedy ją mijali, wykrzywiła buzię w okropnym grymasie. Garraty mało nie

przewrócił się ze śmiechu i dostał upomnienie. To było dziwne — mimo hałasu swoje upomnienie słyszał wyraźnie.

Zaraz umrę, pomyślał. Zaraz najzwyczajniej umrę ze śmiechu, ale heca!

Collie uśmiechał się łagodnie, machał ręką, na okrągło przeklinał widzów i prasę, i to wydawało się najśmieszniejsze. Garraty upadł na kolana i dostał drugie upomnienie. Wciąż się śmiał krótkim, szczekliwym rechotem, bo ciężko pracujące płuca nie pozwalały na więcej.

— Zerzyga się! — zawołał ktoś w zachwycie. — Patrz na niego, Alice, za moment się zerzyga!

— Garraty! Garraty, na litość boską! — wydierał się McVries. Chwytał go pod ramię, jakos zdołał poderwać w górę i Garraty potykając się ruszył przed siebie.

— O Boże! — Garraty'ego zatchnęło. — O Jezu Chryste, oni mnie zamęczą! Nie., nie mogę... — Kolejny raz wybuchnął niepowstrzymanym perlismym śmiechem. Kolana się pod nim ugięły. McVries poderwał go kolejny raz. Kołnierz Garraty'ego trzasnął. Obaj dostali upomnienie. To moje ostatnie, pomyślał jak przez mgłę Garraty. W krótkich abcugach kopnę w przesławny kalendarz. Wybacz, Jan, nie...

— Rusz się, ty tumanie, nie mogę cię holować — zasyczał McVries.

— Nie dam rady — wystękał Garraty. — Nie mogę złapać tchu i...

McVries spoliczkował go szybko, raz po razie, forhendem w prawy policzek, bekhendem w lewy. Potem odmaszerował, nie patrząc za siebie.

Garraty natychmiast przestał się śmiać, ale teraz był słaby jak dziecko, miał puste płuca, zdawało się, nie do napełnienia. Szedł zygzakami, próbując złapać oddech. Mroczone tańczyły mu przed oczami. Zahaczył jedną stopą o drugą, potknął się, ale złapał równowagę.

Jak się przewrócę, umrę. Już nie wstanę.

Tłum mu się przyglądał. Owacje opadły do przygłuszonego, niemal erotycznego pomruku. Kiedy się przewróci?

Maszerował dalej, teraz skupiając się jedynie na tym, by stawiać jedną stopę przed drugą. Kiedyś w ósmej klasie przeczytał opowieść jednego faceta, który nazywał się Ray Bradbury, i to była opowieść o tłumach zbierających się na miejscu ciężkich wypadków, jak te tłumy zawsze mają tę samą twarz, jak zdają się wiedzieć, czy ranny będzie żył, czy umrze.

Jeszcze trochę pożyje, powiedział temu tłumowi Garraty. Jeszcze pożyje.

Zmuszał stopy, żeby unosiły się i opadały w jednostajnym rytmie. Wymazał z myśli wszystko inne, nawet Jan. Nie był świadomy upału, Colliego Parkera ani Pokraki D'Allesio. Nie był nawet świadom nieprzerwanego tępego bólu w stopach i zeszywniałych na kamień ścięgien za kolanami. Ta jedna myśl tłukła się w jego głowie jak bęben bojowy, jak puls: Żyj jeszcze trochę. Żyj jeszcze trochę. Żyj jeszcze trochę. Aż te słowa stały się bezsensowne i przestały cokolwiek znaczyć.

Ocucił go huk karabinów.

Na tle zastygłego i oniemiałego tłumy huk był przeraźliwy i Garraty usłyszał czyjś krzyk. Teraz wiesz, pomyślał. Żyjesz potem dość długo, żeby usłyszeć huk karabinów i swój własny krzyk...

Ale akurat uderzył stopą o mały kamień i poczuł ból, więc to nie on zarobił kulę. To był Frank Morgan, sześćdziesiąt cztery, sympatyczny uśmiechnięty chłopak. Ściągnęli Franka Morgana z drogi. Okulary wlokły się po nawierzchni i odbijały od niej, zahaczone za jedno ucho. Lewe szkło było strzaskane.

— Nie jestem martwy — powiedział w oszołomieniu. Wstrząs dosięgnął go ciepłą falą, nogi znowu stały się miękkie jak wata.

— No, ale powinieneś być — rzekł McVries.

— Uratowałeś go — odezwał się Olson. Zabrzmiało to jak przekleństwo. — Czemuś to zrobił? Czemuś to zrobił?! — Oczy miał świecące i gładkie jak gałki u drzwi. — Zabiłbym cię, gdybym mógł. Nienawidzę cię. Umrzesz, McVries. Jeszcze się przekonasz. Bóg cię skarzę za to, coś zrobił. Bóg cię skarzę, będziesz trupem.

Jego głos był słaby i pusty. Garraty niemal czuł woń śmierci otulającej Olsona. Przycisnął dłonie do ust, by nie jęczeć głośno. Woń śmierci była wspólna im wszystkim.

— Olewam cię — powiedział spokojnie McVries. — Słacam swoje długi, to wszystko. — Popatrzył na Garraty'ego. — Jesteśmy kwita, facet, zgadza się? — Odmaszerował, nie spiesząc się, i niebawem był tylko jeszcze jedną kolorową koszulą dwadzieścia metrów dalej.

Garraty poczuł, jak oddech mu się uspokaja, bardzo powoli, i długi czas czuł uparte klucie w boku... ale wreszcie znikło. Żyje dzięki McVriesowi. Wpadł w histerię, dostał ataku śmiechu, a

McVries uratował go od upadku na drogę. Jesteśmy kwita, facet, *zgadza się?* Zgadza się.

— Bóg go skarzę — wrzaskliwie mówił Olson z całkowitym przekonaniem. — Ukatrupi go.

— Zamknij się albo ja sam cię ukatrupię — rzekł Abraham.

Drobne kłótnie, pyskówki szerzyły się jak pożary traw. Ogromny tłum zmalął trochę, kiedy wyszli z zasięgu kamer telewizyjnych i mikrofonów, ale nie znikł, zadowolony z siebie. Zapelniał schodki przed drzwiami wejściowymi, podjazdy, polany, stacje benzynowe (których przedsiębiorczy właściciele pobierali opłaty za wstęp), a w następnym mijanym miasteczku obie strony ulicy i parking supermarketu. Twarze ludzi, którzy go tworzyli, stopiły się w jedną anonimową twarz tłumu, pozbawiony indywidualnych rysów, stężały wizerunek powtarzający się kilometr za kilometrem. Twarz tłumu krzywiła się niemiłosiernie, kpiła i wiwatowała, ale w gruncie *rzeczy* pozostawała taka sama. Patrzyła uważnie, kiedy Wyman kucnął, by się wysrać. Mężczyźni, kobiety i dzieci — twarz tłumu pozostawała zawsze ta sama i Garraty znużył się nią szybko.

Chciał podziękować McVriesowi, ale wątpił, by McVries przyjął podziękowania. Widział go maszerującego w przedzie, wpatrującego się intensywnie w kark Barkovitcha.

Minęło wpół do dziesiątej. Upał był coraz większy. Garraty rozpiął koszulę aż do pasa. Czy Pokraka D'Allesio wiedział, że właściwie już jest martwy, kiedy frunął nad kierownicą roweru?

Droga pięła się ostro pod górę i tłum został w dole, gdy oni wspinali się nad czterema liniami kolejowymi, połyskującymi na żużlowych nasypach. Na szczycie, kiedy przechodzili przez drewniany mostek, Garraty dojrzał daleko w przedzie kolejny pas lasu, a po bokach ostatnie budynki miasta, przez które właśnie przeszli.

Chłodny powiew wywołał dreszcz na spoconej skórze. Scramm kichnął trzy razy.

— Faktycznie łąpię przeziębienie — oświadczył z obrzydzeniem.

— To cię przygnie — powiedział Pearson. — Ale draństwo.

— Po prostu będę musiał bardziej się przyłożyć.

— Musiałbyś być ze stali. Gdybym ja się przeziębiał, padłbym w krzaki i umarł. Tak mało energii mi zostało.

— Padaj i umieraj! — zawył z przodu Barkovitch. — Oszczędź trochę energii!

— Zamknij się, morderco — natychmiast powiedział McVries.

Barkovitch obejrzał się za siebie.

— Zejdź ze mnie, McVries! Maszeruj se gdzie indziej.

— To droga publiczna. Idę po niej, gdzie mi się podoba.

Barkovitch odcharknęła, splunęła i przestał zwracać na niego uwagę.

Garraty otworzył jeden z pojemników na koncentraty i zaczął wcinać serek topiony z krakersami. Żołądek zawarczał żarłocznie po pierwszym kęsie i Garraty musiał walczyć ze sobą, by na ten jeden posiłek nie pochłonać wszystkiego. Wycisnął do ust tubę z koncentratem ze smażonej wołowiny, przetykając powoli. Popił wodą i uznał, że tyle na razie musi mu wystarczyć.

Szli obok tartaku, którego robotnicy stali na stosach desek, machali dłońmi; wyglądali na tle nieba jak dający sobie znaki Indianie. Potem zawodnicy znów znaleźli się w lesie i wydawało się, że cisza wali się na nich z hukiem. Oczywiście nie było cicho; idący rozmawiali, transporter toczył się z metalicznym zgrzytem, ktoś puścił bąka, ktoś się roześmiał, ktoś za Garratym jęczał cicho i bezradnie. Droga wiodła nadal w szpalerach widzów, ale było dużo spokojniej w porównaniu z tym, co działo się w mieście. Ptaki śpiewały w koronach drzew, wietrzyk maskował żar, wzdychając jak dusza potępiona między konarami. Ruda wiewiórka zastygła na wysokiej gałęzi, ogon napuszony, czarne ślepka czujne, orzech w szurzących łapkach. Zaskrzeczała, a potem pomknęła jeszcze wyżej i znikła. Zahuczał i przeleciał samolot, gigantyczna mucha.

Garraty odnosił wrażenie, że wszyscy celowo unikają z nim rozmowy. McVries nadal szedł tuż za Barkovitchem. Pearson i Baker rozmawiali o szachach. Abraham jadł młazząc i ocierał dłonie o koszulę. Scramm oderwał kawałek podkoszulka i smarował jak w chusteczkę. Collie Parker wymieniał się z Wy—manem zdjęciami dziewcząt. A Olson... Garraty nie chciał nawet spoglądać na Olsona, któremu wyraźnie zależało na tym, by wplątać kogo się da w swój bliski zgon.

Zaczął zwalniać, bardzo ostrożnie, po troszeczkę (nie zapominając ani na chwilę o swoich trzech upomnieniach), aż szedł krok w krok ze Stebbinsem. Teraz fioletowe spodnie były zakurzone. Pod pachami roboczej koszuli ciemniały zakola potu. Supermanem Stebbins nie był na pewno. Przez chwilę przyglądał się Garraty'emu z pytającym wyrazem twarzy, po czym wrócił wzrokiem do drogi. Sterczący krąg na jego karku był bardzo wyraźny.

— Jak to się dzieje, że nie ma więcej ludzi? — spytał z wahaniem Garraty. — Czemu tak mało widzów?

Mysłał już, że nie doczeka się odpowiedzi, ale Stebbins wreszcie uniósł oczy, odgarnął włosy z czoła i rzekł:

— Będą. Zaczekaj trochę. Będą siedzieć na dachach w trzech szeregach, żeby cię oglądać.

— Ktoś mówił, że postawiono na nas miliardy. Można by się spodziewać, że szpaler będzie na trzy szeregi przez całą drogę. I że będzie transmisja telewizyjna...

— Jest odradzana.

— Dlaczego?

— Czemu mnie pytasz?

— Bo ty wiesz — wyjaśnił poirytowany Garraty.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Jezu, czasem przypominasz mi pana Gąsienicę z „Alicji w krainie czarów” — powiedział Garraty. — Czy ty nigdy nie gadasz zwyczajnie i po prostu?

— Jak długo byś wytrzymał z ludźmi wrzeszczącymi na ciebie z dwóch stron? Sam smród ciał doprowadziłby cię prędko do szaleństwa. To byłoby jak maszerowanie przez pięćset kilometrów po Times Square w sylwestra.

— Ale pozwala się im oglądać, no nie? Ktoś powiedział, że od Oldtown jest jeden wielki tłum.

— Zresztą nie jestem panem Gąsienicą — powiedział z tajemniczym uśmiechem Stebbins. — Raczej Białym Królikiem, nie sądzisz? Tylko że złoty zegarek zostawiłem w domu i nikt nie zaprosił mnie na podwieczorek. Może tego sobie zażyczę po zwycięstwie. Kiedy zapytają mnie, co chcę na nagrodę, odpowiem: Chcę być zaproszony na podwieczorek.

— Jasny szlag!

Stebbins uśmiechnął się trochę szerzej.

— No, gdzieś tak od Oldtown szlaban jest w górze. Ale wtedy już nie będziesz zwracać uwagi na takie przyziemno—ści jak smród. A od Augusty jest stała transmisja telewizyjna. Przecież Wielki Marsz to narodowa rozrywka.

— To czemu stąd nie ma transmisji?

— Za wcześnie — powiedział Stebbins. — Za wcześnie. Zza zakrętu znów huknęły karabiny, wypłaszając z zarośli bażanta, który nastroszony bił skrzydłami, jakby go prąd kopnął. Garraty i Stebbins minęli zakręt, ale wór na zwłoki był już zapięty. Nie zdołali zobaczyć, kto to był.

— Dochodzisz do pewnego punktu — powiedział Stebbins — od którego tłum przestaje być ważny. Ani cię nie zachęci, ani przeszkodzi. Przestaje istnieć. To chyba jak z facetem na szafocie. Zaszysz się przed tłumem.

— Chyba to rozumiem...

— Jakbyś rozumiał, nie wpadłbyś w histerię i przyjaciel nie musiałby ratować ci dupy. Ale zrozumiesz.

— Ciekawe, jak głęboko można się zaszyć.

— No, tego dopiero musisz się dowiedzieć. Zagłęb się w niezgłębione głębie Garraty’ego. Brzmi to prawie jak reklama biura podróży, nie? Zaszysz się, aż trafisz na złożę macierzyste. No i zaszysz się w złożu. Aż wreszcie dobijasz do dna. A potem odwalasz kitę. Tak to sobie wyobrażam. Posłuchajmy, co ty sobie wyobrażasz.

Garraty nie powiedział nic. Jak na razie wcale sobie tego nie wyobrażał.

Upał rósł. Słońce wisało tuż nad linią drzew, których cienie stawały się coraz krótsze. Około dziesiątej jeden z żołnierzy wyciągnął z tylnego włazu transportera długi pałąk owinięty materiałem. Wpuścił koniec pałąka w pancerz. Sięgnął pod materiał i coś zrobił... manipulował przy czymś, pewnie przy zacisku. W chwilę potem wyskoczył w górę rozległy parasol przeciwsłoneczny płowej barwy. Ocieśniał prawie cały górny poziom transportera. Trzej żołnierze usiedli po turecku w cieniu.

— Wy zgnieł skurwysyny! — wrzasnął ktoś. — Moja nagroda to będzie wasza publiczna kastracja!

Żołnierze chyba nie wzięli sobie tej wizji do serca. Nadal obserwowali zawodników oczami bez wyrazu, od czasu do czasu zerkając na komputerową konsolę.

— Pewnie odbijają to sobie później na żonach — powiedział Garraty.

— O, jestem tego pewien! — Stebbins wybuchnął śmiechem.

Garraty miał już dość. Rozmowa ze Stebbinsem wprawiała go w niepokój. Lepiej fundować sobie

tę przyjemność w małych dawkach. Ruszył szybciej, zostawiając Stebbinsa w tyle. Dziesiąta dwie. Za dwadzieścia trzy minuty zatrze upomnienie, ale jak na razie szedł z trzema. Nie budziło to w nim takiego lęku, jak się poprzednio spodziewał. Wciąż był absolutnie przekonany, że ten żywy organizm, Ray Garraty, nie może umrzeć. Inni tak, to są statysci w filmie jego życia, ale nie Ray Garraty, gwiazda tego przeboju kasowego, „Opowieść o Rayu Garratym”. Może kiedyś zdoła pojąć emocjonalną oraz intelektualną nieprawdę tego wszystkiego... może gdzieś była ta ostateczna głębia, o której mówił Stebbins. Na razie lęk przeszkadzał mu o tym myśleć.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wyprzedził trzy czwarte grupy. Znow znalazł się za McVriesem. Było ich trzech w utrudzonym wężyku: Barkovitch na przedzie, nadal odgrywający zucha, ale coraz mniej przekonująco; McVries z opuszczoną głową i zwiniętymi lekko w pięści dłońmi, oszczędzający teraz lewą stopę; na końcu sam główny bohater filmu „Opowieści o Rayu Garratym”. A jak ja wyglądam? — rozważał.

Potał dłońią policzek i wsłuchał się w szelest rzadkiego zarostu. Zapewne nie wyglądał kwitnąco.

Przyspieszył jeszcze bardziej, aż szedł pierś w pierś z McVriesem, który rzucił na niego krótkie spojrzenie, a potem wrócił wzrokiem do Barkovitcha. Oczy miał mroczne i trudno było z nich coś wyczytać.

Wspinali się na krótkie, ostre i bezlitośnie rozprażone wzniesienie, a potem minęli kolejny mostek. Szli tak piętnaście minut, dwadzieścia. McVries nie odezwał się słowem. Garraty odchrząknął dwukrotnie, ale milczał. Pomyślał, że im dłużej panuje cisza, tym trudniej ją przerwać. Pewnie McVries był teraz wkurzony, że uratował mu tyłek. Pewnie już tego żałował. Garraty poczuł skurcz w żołądku, jak z głodu. To wszystko było beznadziejne, głupie i bezsensowne, przede wszystkim bezsensowne, tak cholernie bezsensowne, że naprawdę żalosne. Otworzył usta, żeby powiedzieć to McVriesowi, ale w tym momencie odezwał się McVries.

— Wszystko w porządku. — Barkovitch podskoczył na dźwięk jego głosu i McVries dodał: — Nie z tobą, morderco. Z tobą nigdy już nie będzie w porządku. Zasuważ dalej, zasuważ.

— Wyssij mi — warknął Barkovitch.

— Chyba narobiłem ci kłopotów — powiedział cicho Garraty.

— Mówiłem już, jak ty mnie, tak jak tobie, jesteśmy kwita, nikt o nic nie pyta — rzekł spokojnie McVries. — Drugi raz tego nie zrobię.

— Rozumiem. Ja tylko...

— Nie róbcie mi krzywdy! — krzyknął ktoś. — Błagam, nie róbcie mi krzywdy!

To był rudzielec z kraciastą koszulą obwiązaną wokół pasa. Zatrzymał się na drodze i łkał. Dostał pierwsze upomnienie. Rzucił się do transportera, łyż złożyły rowki w kurzu pokrywającym mu twarz, rude włosy błyszczały w słońcu jak ogień.

— Nie róbcie... nie mogę... błagam... mama... nie mogę... nie róbcie... już więcej... moje nogi...

Usiłował wdrapać się na transporter i jeden z żołnierzy uderzył go kolbą karabinu po rękach. Chłopak krzyknął i upadł bezwładnie.

I zaraz znow wrzasnął, wysokim, niewiarygodnie cienkim głosem, tak przeraźliwym, że zdolny byłby roztrzaskać szkło.

— Moje stopyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyy...!!!

— Jezu! — mruknął Garraty. — Niech on przestanie! Wrzask ciągnął się w nieskończoność.

— Nie może — powiedział obojętnie McVries. — Gąsienice przejechały mu po stopach.

Garraty spojrzał w tamtą stronę i żołądek podskoczył mu do gardła. To była prawda. Nic dziwnego, że rudzielec wrzeszczał o swoich stopach. Stracił je.

— Upomnienie! Trzydziestkaósemka, upomnienie!

— ...yyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyy—!!!

— Chcę do domu — cicho i spokojnie powiedział ktoś za plecami Garraty'ego. — O Chryste, chcę do domu! W chwilę potem twarz rudzielca się rozprysła.

— We Freeport spotkam moją dziewczynę — nagle powiedział szybko Garraty. — I nie będę dostawać żadnych upomnień, i pocałuję ją, Boże, ale za nią tęsknię, Boże, widziałeś jego nogi? Oni jakby nigdy nic dawali mu upomnienia, Pete, jakby myśleli, że wstanie i pójdzie...

— Znowu jakiś chłopiec przeniósł się do Srebrnego Miasta, o Panie, o Panie! — zaintonował Barkovitch.

— Zamknij się, morderco — powiedział z roztargnieniem McVries. — Twoja dziewczyna jest piękna, Ray?

— Piękna. Kocham ją.

— Ożenisz się z nią?

— No — bełkotał Garraty. — Będziemy wielmożni państwo Normalni Normalscy. Czwórka dzieciaków i collie, jego nogi, widziałeś jego nogi, przejechali po nich, nie mogą przejechać po facecie, tego nie ma w regulaminie, ktoś powinien to zgłosić, ktoś...

— Dwóch synów i dwie córki, tak byś chciał?

— No, no, ona jest piękna, żałuję tylko, że nie...

— I pierwszy dzieciak będzie się nazywał Ray junior, a pies będzie miał miskę z wypisanym imieniem, zgadza się?

Garraty uniósł powoli głowę, jak piéściarz zamroczony po ciosie.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Nie! — wykrzyknął Barkovitch. — On cię robi w wała, chłopie! Ale nie przejmuj się, zatańczę na jego grobie w twoim imieniu. — Zagadkał krótkim śmiechem.

— Zamknij się, morderco — powiedział McVries. — Nie chcę wyciągać z ciebie niczego na siłę, Ray. Rusz się, zjeżdżajmy od tego mordercy.

— Pocałujcie się w dupę! — wrzasnął z nimi Barkovitch.

— Jan cię kocha?

— Tak mi się wydaje — powiedział Garraty. McVries z wolna pokręcił głową.

— Wiesz... całe to romantyczne pieprzenie... to prawda. Tak było ze mną. Czułem to samo co ty... Wciąż chcesz posłuchać o tej bliźnie?

Minęli zakręt. Banda dzieciaków na wycieczce zapiszczała i pomachała im dłońmi.

— Tak — powiedział Garraty.

— Dlaczego? — Popatrzył na Garraty'ego, ale wydawało się, że patrzy w głąb siebie.

— Chcę ci pomóc — rzekł Garraty. McVries spuścił wzrok na stopy.

— Boli. Już nie mogę ruszać palcami. Kark mi zesztyniał, w krzyżu mnie łamie. Moja dziewczyna okazała się dziwką. Zgłosiłem się do Wielkiego Marszu na tej samej zasadzie, na jakiej faceci zwykle pakują się do Legii Cudzoziemskiej. Jak to mówi wielki poeta rockowy, oddałem jej kawał serca, ona na mnie napluła, bo jest rura.

Garraty nie powiedział nic. Dochodziło w pól do jedenastej. Freeport było nadal daleko.

— Nazywa się Priscilla — ciągnął McVries. — Myślisz, że tylko ty wpadłeś po uszy? Ja byłem ślepy i głuchy jednocześnie. Wyłem do księżycy. Zawsze całowałem jej palce, nawet czytałem jej Keatsa na tyłach domu, kiedy wiał wiatr z dobrego kierunku. Mój stary trzymał krowy i smród krowiego łajna pasuje, by wyrazić to możliwie najdelikatniej, w szczególny sposób do dzieł Johna Keatsa. — McVries wybuchnął śmiechem.

— Kłamiesz — powiedział Garraty.

— Och, to ty zalewasz, Ray. Pamiętasz tylko wielki romans, a zupełnie zapomniałeś, że w domu waliłeś konia po tym, jak szeptałeś słowa miłości do jej różanego uszka.

— Ty zalewasz po swojemu, a ja po swojemu. McVries chyba go nie słyszał.

— Słowa nie są w stanie oddać tych spraw — powiedział. — J.D. Salinger... John Knowles... nawet James Kirkwood i ten gość Don Bredes... oni zniszczyli wiek młodzieńczy, Garraty. Jeśli jesteś szesnastolatkiem, nie możesz już rozprawiać godnie o bólach wieku młodzieńczego. Gadasz jak napalony Ron Howard.

McVries roześmiał się trochę histerycznie. Garraty nie miał pojęcia, o czym mowa. Był pewien swojej miłości do Jan, nie czuł żadnych wątpliwości ani wyrzutów sumienia. Butami szurał po drodze. Z prawą piętą było coś nie tak. Już niebawem gwoździe puszczą i zgubi obcas jak wąż starą skórę. Z tyłu kaszłał Scramm.

— Ale to nie ma żadnego związku z opowieścią o bliźnie — oznajmił McVries. — To było zeszłego lata. Oboje chcieliśmy wynieść się z domu, od naszych rodziców, od smrodu krowiego łajna, żeby wielki romans mógł rozkwitnąć na serio. Więc wzięliśmy robotę w zakładach tekstylnych w New Jersey, szyjących piżamy. Jak ci się to podoba, Garraty? Zakłady tekstylne w New Jersey.

Wynajęliśmy osobne mieszkania w Newark. Wspaniałe miasto, każdego dnia czuło się w Newark całe krowie łajno New Jersey. Nasi rodzice trochę stawali okoniem, ale że mieliśmy osobne mieszkania i dobrą pracę na lato, to nie za bardzo. Ja mieszkałem z dwoma innymi facetami, a Pris z

trójką dziewcząt. Trzeciego czerwca wyjechaliśmy moim samochodem i koło trzeciej zatrzymaliśmy się w motelu, żeby załatwić problem dziewictwa. Czułem się jak istny szaj—bus. Ona tak naprawdę nie chciała się pieprzyć, ale chciała, żeby mi było przyjemnie. To był motel sieci Shady Nook. Jak skończyliśmy, spuściłem z wodą prezerwatywę w sraczu Shady Nooka i przepłukałem usta wodą w papierowym kubku Shady Nooka. To wszystko było bardzo romantyczne, niezwykle uduchowione.

Potem ruszyliśmy do Newark. Śmierdziało krowim łajnem, ale byliśmy pewni, że to inne krowie łajno. Podrzuciłem Pris do jej mieszkania i pojechałem do swojego. Następnego poniedziałku rozpoczęliśmy pracę w szwalni Ubiory Nocne Plymoutha. Nie bardzo przypominało to film, Garra—ty. Cuchnęło tam świeżym włóknem, mój brygadzysta był skurwielem, a podczas przerw na lunch ciskaliśmy hakami w szczury ukrywające się wśród fabrycznych worów. Ale nie narzekałem, bo to była miłość. Rozumiesz? To była miłość.

Splunął w kurz, pociągnął łyk z manierki i wrzasnął o następną. Wspinali się na wysokie, strome wzgórze.

— Pris pracowała na pierwszym piętrze — mówił szybko, z trudem łapiąc oddech. — Była tam pokazówka dla turystów, debilów, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, niż iść na wycieczkę z przewodnikiem, gdzie wyrabiano ich śpioszki. Miejsce pracy Pris było miłe. Ładne pastelowe ściany, śliczne nowoczesne maszyny, klimatyzacja. Pris od siódmej do trzeciej przyszywała guziki. Tylko pomyśl, w całym kraju są faceci, którzy noszą piżamy z guzikami przyszytymi przez Pris. Taka myśl może rozgrać nawet najzimniejsze serce.

Ja byłem na piątym. W pakowalni. Widzisz, na dole, w suterenie farbowali surowe włókno i posyłali na piąte szybami pneumatycznymi. Otwierałem moją pakę i był tam cały zasrany ładunek luźnego włókna, we wszystkich kolorach tęczy. Wyrzucałem go, wkładałem do stukilogramowych worów i przysyłałem taśmą łańcuchową na wielki stos innych worów czekających na sortownicę. Rozdzielali to na krosna, inni kroili i szyli z tego piżamy, a na dole, w pięknej pastelowej hali Pris przyszywała guziki, podczas gdy gamoniowaci turyści gapili się na nią przez szybę... dokładnie tak jak ludzie gapią się na nas dzisiaj. Słuchasz?

— Blizna — przypomniał Garraty.

— Stale robię uniki, no nie?

Na szczycie wzniesienia McVries otarł czoło i rozpiął koszulę. Lasy rozciągały się daleko, do horyzontu najeżonego górami. Może piętnaście kilometrów dalej, ledwo widoczna w drżącym od upału powietrzu, wystawała spośród zieleni wieża obserwacyjna służb przeciwpożarowych. Droga przecinała to wszystko jak pełznący szary wąż.

— Początkowo żyłem w rezerwacie błogostanu imienia Johna Keatsa. Przerzynałem ją jeszcze trzy razy, za każdym razem w zajezdnym kinie pod gołym niebem, w smrodzie krowiego łajna napływającym przez okno samochodu z najbliższego pastwiska. I nigdy nie mogłem pozbyć się z włosów pojedynczych włókien, choćbym nie wiem ile razy mył głowę. Najgorsze było to, że ona oddalała się ode mnie, wymykała się mojej miłości, a ja kochałem ją i nie potrafiłem jej tego powiedzieć. Nie potrafiłem tego nawet przekazać rznąc ją. Zawsze wszystko przytłaczał smród krowiego łajna. W fabryce szło mi parszywie. Pracowaliśmy na akord. Trzeba było wyrobić normę, żeby dostać wszawą płacę. Nie byłem dobrym sortującym. Robiłem jakieś dwadzieścia trzy paki dziennie, ale norma była około trzydziestu. Koledzy mnie nie lubili, bo chrzaniłem im robotę. Harlan w farbiarni nie mógł wyciągnąć ponad normę, bo blokowałem mu taśmę. Ralph na sortownicy nie mógł wyciągać ponad normę, bo nie wysyłałem mu dość worów. Nie było miło. Postarali się, żeby nie było miło. Rozumiesz?

— No — powiedział Garraty. Otarł wierzchem dłoni szyję, a potem przejechał tą samą dłonią po spodniach. Został ciemny ślad.

— Pris była bardzo zajęta. Godzinami mówiła o swoich koleżankach. Ile ta zarabia. Ile tamta zarabia. I najwięcej, ile ona zarabia. A zarabiała sporo. Tak więc przyszło mi dowiedzieć się, ile radości przynosi współzawodnictwo z dziewczyną, z którą chcesz się ożenić. Pod koniec tygodnia wróciłem do mieszkania z czekiem na sześćdziesiąt cztery dolary, czterdzieści centów i posmarowałem maścią moje pęcherze. Ona zarabiała coś około dziewięćdziesięciu na tydzień i natychmiast biegła z tym do banku. A kiedy zaproponowałem, żebyśmy gdzieś poszli się zabawić i zapłacili po równo, zareagowała, jakbym ją zaprosił do rytualnego morderstwa.

Po jakimś czasie przestałem ją rznąć. Wolałbym powiedzieć, że przestałem chodzić z nią do łóżka, ale nigdy nie mieliśmy łóżka, do którego moglibyśmy pójść. Nie mogłem zabrać jej do siebie,

bo zwykle było tam szesnastu facetów grzmocących piwo, i u niej też podobno zawsze byli ludzie, a mnie nie było stać na następny motel i na pewno nie miałem zamiaru proponować motelu po równo, więc pozostało tylko rznąć się na tylnym siedzeniu samochodu w kinie pod gołym niebem. I nietrudno było mi zgadnąć, że to zaczyna budzić w niej obrzydzenie. A jako że zacząłem jej nienawidzić, chociaż dalej ją kochałem, poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła. Właśnie wtedy. Wykręcała się, próbując mnie zbyć, ale zmusiłem ją, żeby postawiła sprawę jasno, tak czy nie.

— I powiedziała nie.

— Jasne. „Pete, nie stać nas na to. Co by moja mama powiedziała. Pete, musimy poczekać”. Pete to i Pete tamto, a cały czas prawdziwym powodem były jej pieniądze, pieniądze, które zarabiała na przyszywaniu guzików.

— No cóż, to było cholernie nieuczciwe, prosić, żeby za ciebie wyszła.

— Pewnie, było nieuczciwe! Wiedziałem o tym. Chciałem, żeby poczuła się jak chciwa, egoistyczna suka, bo ja przy niej czułem się jak nieudacznik. — Pogładził bliznę palcami. — Byłem nieudacznikiem. Nie napędzało mnie nic poza kutasem, którego chciałem jej włożyć. Kiedy odmówiła mi siebie, odebrała mi nawet poczucie męskości.

W tyle zahuczały karabiny.

— Olson? — zapytał McVries.

— Nie. Nadal tam idzie.

— Och...

— Blizna — przypomniał Garraty.

— Czemuś się tego czepił?

— Uratowałeś mi życie.

— Żeby cię pokręciło.

— Blizna.

— Pobiliśmy się — powiedział wreszcie po długiej pauzie McVries. — Z Ralphem, gościem przy sortownicy. Podzelo—wał mi oba ślipy i powiedział, żebym wysuwał, bo jeszcze połamie mi rękę. Pokazałem się u Pris i oświadczyłem, że wyjeżdżam. Sama widziała, jak wyglądam. Zrozumiała. Powiedziałem, że jadę do domu, i poprosiłem ją, żeby też wróciła. Ona na to, że nie może. No to jej wygarnąłem, że jest niewolnicą swoich pierdolonych guzików i żałuję, że kiedykolwiek ją poznałem. Tyle było we mnie jadu, Garraty. Powiedziałem jej, że jest głupią i nieczulą suką, która nie patrzy dalej swojej książeczki czekowej. Nic, co powiedziałem, nie było uczciwe, ale... chyba w tym wszystkim była jakaś prawda. Wystarczająca. Byliśmy w jej mieszkaniu. Wtedy po raz pierwszy znalazłem się tam z nią sam na sam. Koleżanki wyszły do miasta. Do kina. Spróbowałem zaciągnąć ją do łóżka i rozciął mi twarz nożem do papieru. To był tandetny nóż do papieru, jakaś przyjaciółka przysłała go jej z Londynu. Był na nim Miś Paddington. Pocięła mnie, jakbym próbował ją zgwałcić. Jakbym był chory i mógł ją zarazić. Czy oddaję odpowiednio smaczek tej chwili, Ray?

— Tak, wyczuwam go — powiedział Garraty.

W przedzie, na skraju drogi, parkowało białe kombi z napisem: WÓZ WIADOMOŚCI WHGH. Kiedy zbliżyli się do niego, łysiejący mężczyzna w lśniącej garniturze zaczął ich kręcić wielką kamerą filmową. Pearson, Abraham i Jensen lewą dłonią złapali się za krocze, a prawą zagrali na nosie. Zrobili to z precyzją żeńskiego chóru estradowego, która rozbawiła Garraty'ego.

— Płakałem — powiedział McVries. — Płakałem jak dziecko. Upadłem na kolana, złapałem ją za spódniczkę i błagałem, żeby mi przebaczyła. Krew lała się na podłogę i była to w gruncie rzeczy obrzydliwa scena, Garraty. Pris wybiegła do łazienki. Zwymiotowała. Słyszałem, jak wymiotuje. Przyniosła mi ręcznik. Powiedziała, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć. Płakała. Spytała mnie, czemu jej to zrobiłem, czemu tak ją zraniłem. Powiedziała, że nie miałem prawa. Klęczałem tam, Ray, z policzkiem rozciętym do kości, a ona pytała, czemu ją zraniłem.

— No.

—Wyszedłem z ręcznikiem przy twarzy. Założono mi dwanaście szwów i oto historia blizny. Jesteś szczęśliwy?

— Spotkałeś się z nią od tamtej pory?

— Nie. I wcale nie chcę. Teraz wydaje mi się nieważna, daleka. Punkcik na horyzoncie. Ona naprawdę miała nie wszystko po kolei, Ray. Coś... może miała to po matce, jej matka popijała... Była prawdziwą kutwą. Powiadają, że odległość użycza perspektywy. Wczoraj wieczorem Pris była dla mnie bardzo ważna. Teraz jest niczym. Myślałem, że ta historia, którą ci właśnie opowiedziałem,

będzie bolała. Nie bolała. I wątpię, żeby naprawdę miała jakiś związek z tym, dlaczego jestem tutaj. Jest tylko wygodnym usprawiedliwieniem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czemu tu jesteś, Garraty?

— Nie wiem — odpowiedział głosem mechanicznym, jak u lalki. Pokraka D'Allesio nie mógł zobaczyć nadlatującej piłki — miał wadę wzroku, spierniczone wyczucie odległości — i trafiła go w czoło, i zostawiła siateczkę, jak znak wypalony na skórze cielaka. A później (czy wcześniej... cała jego przeszłość skłębiła się teraz i była płynna) uderzył swojego najlepszego przyjaciela w usta lufą wiatrówki. Może miał szramę jak McVries. Jimmy. On i Jimmy bawili się w doktora.

— Nie wiesz — powiedział McVries. — Umierasz i nie wiesz dlaczego.

— To nieważne, jak umrzesz.

— No, może — powiedział McVries — ale jest coś, co powinieneś wiedzieć, Ray, żeby to wszystko nie było takie bezcelowe.

— Co mianowicie?

— Ależ to, że cię nabrano. Naprawdę o tym nie wiedziałeś, Ray? Naprawdę?

Rozdział dziewiąty

Bardzo dobrze, oto wybrane przez was na ślepo pytanie za dziesięć punktów.

Allen Ludden

College Bowl

O pierwszej Garraty przeprowadził kolejny remanent.

Sto osiemdziesiąt cztery kilometry za nimi. Byli siedemdziesiąt dwa kilometry na północ od Oldtown, dwieście kilometrów na północ od Augusty, stolicy stanu, dwieście czterdzieści od Freeport (albo więcej... strasznie się bał, że jest więcej niż czterdzieści kilometrów między Augusta a Freeport), prawdopodobnie dwie trzecie drogi do granicy New Hampshire. I wieść głosiła, że ten Wielki Marsz na pewno dojdzie tak daleko.

Przez długi czas — jakieś półtorej godziny — nikt nie dostał czerwonej kartki. Szli prawie już nie słysząc wiwatów. Kilometr za kilometrem ciągnęły się monotonne sosnowe lasy. Garraty odkrył, że świeże gałązki bólu w lewej łydce splotły się z równomiernym, głuchym pulsowaniem w obu nogach i zarodkami rozdzierającego bólu, jakimi stały się teraz jego stopy.

Okolo południa, kiedy upał sięgnął zenitu, znów odezwały się karabiny. Tessle, numer dziewięćdziesiąt dwa, dostał porażenia słonecznego i został zastrzelony, kiedy padł nieprzytomny. Inny chłopak dostał konwulsji i zaliczył czerwoną kartkę, kiedy wił się na drodze, wydając koszmarnie dźwięki i wywalając spuchnięty język. Aaronson, jedynka, dostał skurczu w obu stopach i zastrzelono go na białej linii, stojącego jak posąg, z twarzą uniesioną ku słońcu. A za pięć pierwsza inny chłopak, nie znany Garraty'emu, też dostał udaru słonecznego.

W co ja się wpakowałem! — myślał Garraty, obchodząc miotające się ciało namierzone przez karabiny. Widział krople potu na włosach wyczerpanego chłopaka, który zaraz miał być martwy. W co ja się wpakowałem! Nie mogę się teraz wypisać?

Karabiny huknęły i kupka licealistów siedząca w skąpym cieniu samochodu kempingowego urządziła krótką owację.

— Żeby tak major przyjechał — westchnął z rozdrażnieniem Baker. — Stęskniłem się za nim.

— Co? — spytał mechanicznie Abraham. Przez ostatnie kilka godzin wychudł. Oczy miał zapadnięte, twarz pokrytą sinymi plamami zarostu.

— Chciałbym go oszczać — powiedział Baker.

— Uspokój się — poradził mu Garraty. Zatarł już wszystkie trzy upomnienia.

— Sam się uspokój. Zobaczysz, co będziesz z tego miał.

— Nie masz prawa nienawidzić majora. On cię nie zmuszał.

— Nie zmuszał? Nie zmuszał?! On mnie zabija, i tyle!!!

— To wciąż nie...

— Zamknij się — powiedział Baker.

Garraty rozmasował sobie kark, wpatrzony w bładonie—bieskie niebo. Podniósł do ust trzecią manierkę tego dnia, odwrócił do góry dnem i opróżnił. Jego cień był bezkształtną skuloną plamką.

— Przepraszam — dodał Baker. — Naprawdę nie chciałem się wydzierać. Stopy...

— Jasne — powiedział Garraty.

— Ze wszystkimi się tak dzieje — ciągnął Baker. — Czasami myślę, że to najgorsze ze wszystkiego.

Garraty przymknął oczy. Był bardzo śpiący.

— Wiesz, co bym chciał? — powiedział Pearson. Szedł między Garratym i Bakerem.

— Obszczać majora — powiedział Garraty. — Każdy chce obszczać majora. Kiedy się znów pojawi, rzucimy się kupą, ściągniemy go na ziemię, wszyscy rozepną rozporki i utopiają go w...

— Nie tego bym chciał. — Pearson szedł jak człowiek w stanie upojenia alkoholowego. Głowa latała mu na szyi. Powieki opadały i podrywały się jak szarpane listwy żaluzji. — To nie ma żadnego związku z majorem. Chciałbym tylko pójść na najbliższe pole, położyć się i zamknąć oczy. Tylko leżeć tam sobie na plecach w pszenicy...

— W Maine nie uprawia się pszenicy — poprawił go Garraty. — To wysoka trawa.

— ...no to w wysokiej trawie. I ułożyłbym sobie wiersz. Zaspiając.

Garraty pogrzebał w swoim nowym pasie żywnościowym i przekonał się, że w większości kieszeni nic nie ma. Wreszcie trafił na opakowanie solonych krakersów, zjadł je i popił.

— Czuję się jak sitko — powiedział. — Wypijam i woda zaraz wyłazi mi przez skórę.

Karabiny znów huknęły i następna postać upadła bez wdzięku, jak utrudzony diabełek z pudełka.

— Czterdziesty piąty — obliczył Scramm, dochodząc do nich. Był bardzo zakatarzony. — W tym tempie nie dotrzemy nawet do Portland.

— Coś z tobą nie najlepiej — powiedział Pearson; w jego głosie był ton ostrożnego optymizmu.

— Na szczęście mam silny organizm — oznajmił radośnie Scramm. — Zdaje się, że skoczyła mi gorączka.

— Jezu, jakim cudem ty ciągle idziesz? — spytał Abraham tonem religijnego lęku.

— Ja? Mówisz o mnie? Popatrz na niego! — Scramm wskazał kciukiem Olsona. — Jakim cudem on idzie! To bym chciał wiedzieć!

Olson nie odezwał się od dwóch godzin. Nie tknął manierki. Chciwe spojrzenia omiatały jego pas żywnościowy, prawie nietknięty. Jego oczy, mroczne, obsydianowe, wpatrywały się prosto przed siebie. Z dwudniowym zarostem, zmierzwionymi włosami wyglądał upiornie. Usta miał spierzchnięte i popękane. Język zwisał na dolnej wardze jak zdechły wąż w gardzieli jaskini. Był brudnoszary. Pokrywał go kurz.

Wszedł tam, pomyślał Garraty. Na pewno wszedł. Tam gdzie według Stebbinsa wszyscy wchodzimy, jeśli przetrwamy wystarczająco długo. Jak głęboko w siebie? Na metry? Kilometry? Lata świetlne? Jak głęboko i jak tam jest ciemno? Odpowiedź przyszła sama: Zbyt głęboko, żeby wyjrzeć na powierzchnię. Ukrył się w ciemności, zbyt głęboko, żeby wyjrzeć na powierzchnię.

— Olson — zagadnął go cicho. — Olson! Olson nie odpowiedział. Nawet nie drgnął, tylko nadal poruszał nogami.

— Żeby tak przynajmniej schował język — szepnął nerwowo Pearson.

Marsz trwał dalej.

Lasy cofnęły się od drogi. Chodniki były obstawione wiwatującymi widzami. Dominowały tablice z napisami na cześć Garraty'ego. Potem znów otuliły ich lasy. Ale widzowie byli stale obecni. Pojawiali się wzdłuż nieutwardzonych poboczy; śliczne dziewczyny w szortach i skąpych bluzeczkach na ramiączkach, chłopcy w balonówkach i bokserskich koszulkach.

Święto rozpusty, pomyślał Garraty.

Nie potrafił już żałować, że się tu znalazł; był zbyt zmęczony i otepiały, by zdobyć się na retrospekcję. Co się stało, to się nie odstanie. Nic w świecie tego nie zmieni. Niebawem zbraknie sił nawet na rozmowy. Żałował, że nie może ukryć się w samym sobie, jak chłopczyk zawinięty w dywan, ukryty przed wszelkimi zmartwieniami. Wtedy wszystko byłoby prostsze.

Długo rozważał to, co powiedział McVries. Że wszyscy zostali oszukani, wyrolowani. To nie może być prawda, powtarzał sobie z uporem. Jeden z nich nie został oszukany. Jeden wyroluje wszystkich innych...

Obliznął wargi i napił się wody.

Mijali zieloną tablicę informującą, że do wjazdu na autostradę Maine jest siedemdziesiąt

kilometrów.

— Zgadza się — rzekł do nikogo w szczególności. — Siedemdziesiąt kilometrów do Oldtown.

Nikt mu nie odpowiedział. Garraty chciał przesunąć się do tyłu, do McVriesa, kiedy doszli do kolejnego skrzyżowania i jakaś kobieta podniosła wrzask. Tłum napierał żwawo na barierki, a gliny go hamowały. Machano rękami, tablicami, butelkami z olejkami do opalania.

Wrzeszcząca kobieta była wielka i czerwona na twarzy. Rzuciła się na jeden z niskich kozłów zagradzających drogę, przewróciła go i pociągnęła za sobą cały zwój odgradzającej liny. Wrzeszczała, wrywała się, waliła pięściami. Policjanci stękali z wysiłku. Jednemu z nich rozdrapała policzek do krwi.

Znam ją, pomyślał Garraty. Już ją widziałem. Niebieska chustka na głowie. Granatowa, nieporządna sukienka. Wojownicze, błyszczące oczy

Minął ją w odległości trzech metrów. Zdał sobie sprawę, gdzie ją poprzednio widział — to była, oczywiście, mama Per—cy’ego. Percy’ego, który próbował przekraść się do lasu i zamiast między drzewa zawędrował na tamten świat.

— Oddajcie mojego syna! — darła się. — Oddajcie mojego syna!

Tłum wiwatował entuzjastycznie i bezstronnie. Mały chłopiec opluł jej nogę i uciekł.

Jan... — pomyślał Garraty. Idę do ciebie, Jan, pieprzę to całe gówno, przysięgam na Boga, że przyjdę.

McVries miał rację, Jan nie chciała, żeby szedł. Płakała. Błagała go, żeby zmienił zdanie. Nie chcę cię stracić, proszę, Ray, nie bądź głupi, Wielki Marsz to tylko morderstwo... Siedzieli na ławce za podium orkiestrowym. To było przed miesiącem, w kwietniu. Obejmował ją ramieniem. Spsikała się perfumami, które dał jej na urodziny. Jakby wydobywały jej tajny dziewczęcy zapach, mroczny, cielesny i odurzający. Muszę iść, powiedział jej. Muszę, nie rozumiesz? Muszę.

Ray, nie wiesz, co robisz. Ray, proszę, nie. Kocham cię.

Miała rację, pomyślał teraz, idąc drogą. Jasne, że nie wiedziałem, co robię.

Ale nie wiedział tego nawet w tej chwili. Koszmar. Jeden wielki koszmar.

— Garraty?

Poderwał głowę, zaskoczony. Znow przysnął. McVries szedł obok niego.

— Jak się czujesz?

— Jak się czuję? — powtórzył ostrożnie Garraty. — Chyba dobrze.

— Barkovitch puchnie — oświadczył McVries ze spokojną radością. — Jestem pewny. Mówi do siebie. I kuleje.

— Ty też kulejesz. I Pearson. I ja.

— Stopa mnie boli, to wszystko. Ale Barkovitch... wciąż pociera nogę. Myślę, że naciągnął sobie mięsień.

— Czemu tak go nienawidzisz? Czemu nie Colliego Par—kera? Albo Olsona? Albo nas wszystkich?

— Bo Barkovitch jest wyrachowany.

— Chce wygrać. O to ci chodzi?

— Nie wiesz, o co mi chodzi, Ray.

— Zastanawiam się, czy ty sam wiesz — powiedział Garraty. — Pewnie, że to drań. Może trzeba drania, żeby to wygrać.

— Dobrzy faceci już się wykruszyli?

— Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Mijali jednoizbową szkołę krytą szalówką. Dzieci stały na dziedzińcu i machały rękami. Kilku chłopców wdrapało się na małpi gaj i Garraty’emu przypomnieli się robotnicy tartaczni z bardzo daleka.

— Garraty! — wrzasnął jeden z nich. — Ray Garraty! Ga—rra—ty!

Mały chłopiec o zmierzwionych włosach podkakiwał na gorze małpiego gaju, machając obiema rękami. Garraty pomachał mu bez przekonania. Chłopiec prześlizgnął się w dół, zrobił obrót na drążku, zwiśł na nogach i nadal machał. Garraty odczuł pewną ulgę, kiedy chłopiec i dziedziniec szkolny znikli mu z oczu. Dość już miał kibiców.

Dołączył do nich Pearson.

— Myślałem.

— Oszczędzaj siły — powiedział McVries.

— Kiepski dowcip.

— O czym myślałeś? — spytał Garraty.
— Jak ciężko będzie drugiemu.
— Czemu ciężko? — zapytał McVries.
— No... — Pearson potarł oczy, a potem zmrużył je, patrząc na rozdartą piorunem sosnę. —
Wiecie, wdeptać w ziemię wszystkich, absolutnie wszystkich poza ostatnim gościem... Myślę, że dla
drugiego też powinna być nagroda.
— Jaka?
— Nie wiem.
— Życie? — zaproponował Garraty.
— Kto by się na to dał skusić?
— Pewnie przed startem nikt. Ale w tej chwili byłbym całkiem szczęśliwy tylko z tego. Do diabła
z nagrodą, do diabła ze spełnieniem najskrytszego marzenia mojego serca. A ty?
Pearson długo się zastanawiał.
— Ja po prostu nie widzę w tym sensu — rzekł przeprasząc.
— Wy tłumacz mu, Pete — poprosił Garraty.
— Co mam mu powiedzieć? On ma rację. Albo cały banan, albo nie dostajesz banana wcale.
— Zwariowałaś — rzekł Garraty bez wielkiego przekonania. Był zgrzany, bardzo zmęczony i w
oczach czuł ćmienie zapowiadające ból głowy. Może tak zaczyna się udar słoneczny, pomyślał. Zaraz
upadnę, zasną i obudzę się martwy.
— Jasne — powiedział McVries. — Wszyscyśmy zwariowali, inaczej by nas tu nie było. Chcemy
umrzeć, Ray. Czy nie dotarło to jeszcze do twojego walniętego zakutego łba? Popatrz na Olsona.
Trupia czaszka na kiju. On chce umrzeć. Nie możesz zaprzeczyć. Drugie miejsce? Już na samą myśl,
że jeden z nas musi przeżyć, zostanie wyrolowany z tego, co najbardziej pragnie, robi mi się
niedobrze.
— Nie znam się na tej całej pieprzonej psychohistorii — powiedział w końcu Pearson. — Ja tylko
nie mogę znieść myśli, że ten drugi ma być załatwiony.
Garraty wybuchnął śmiechem.
— Jesteście szajbnięci — orzekł. McVries też się roześmiał.
— Teraz zaczynasz rozumować po mojemu. Poopalaj się jeszcze trochę, podduś sobie jeszcze
trochę mózg i zrobimy z ciebie żarliwego wyznawcę naszej wiary.
Wielki Marsz trwał dalej.
Wydawało się, że słońce usadowiło się wygodnie na dachu świata. Rtęć sięgnęła dwudziestu
sześciu stopni (jeden z chłopaków miał kieszonkowy termometr) i dwadzieścia siedem było w jej
zasięgu przez kilka wrzących minut. Dwadzieścia siedem, pomyślał Garraty. Dwadzieścia siedem.
Wcale nie tak dużo. W czerwcu bywa dziesięć stopni więcej. Dwadzieścia siedem. Właściwa
temperatura, żeby siedzieć za domem, pod więzem, i jeść sałatkę z kurczaka. Dwadzieścia siedem.
Idealna pogoda na szczupaka w najbliższym zakolu rzeki, o Jezu, to by było cudnie. Woda ciepła na
wierzchu, ale przy stopach chłodna i czujesz, jak prąd ciągnie cię trochę, a przy skałkach są pijawki,
ale jak nie jesteś cipcią, po prostuje odrywasz. Cudowna woda, opływa ci skórę, włosy, krocze...
Rozpalone ciało zadygotało na tę myśl. Dwadzieścia siedem. W sam raz, żeby wskoczyć w kąpielówki
i położyć się na płóciennym hamaku za domem, z dobrą książką w ręku. A może trochę podrzemać.
Raz wciągnął na hamak Jan i leżeli razem, kołysząc się i całując, aż kutas napał mu na podbrzusze jak
długi rozpalony kamień. Chyba jej to nie przeszkadzało. Dwadzieścia siedem. Panie Boże na motorze,
dwadzieścia siedem.
Dwadzieścia siedem. Dwadzieścia siedem, dwadzieścia siedem, dwadzieścia siedem. Zgiń,
przepadnij, maro.
— W życiu nie było mi tak gorąco — oznajmił Scramm przez zatkany nos. Jego szeroka twarz
była czerwona, ociekała potem. Zdjął koszulę i obnażył owłosiony tors. Pot lał się z niego jak
strumyczki podczas wiosennych roztopów.
— Lepiej włoż z powrotem koszulę — doradzał mu Baker.
— Kiedy słońce zacznie zachodzić, dostaniesz dreszczy. Wtedy wpakujesz się w kabałę.
— Co za cholerny upał — narzekał Scramm. — Ugotuję się.
— Będzie deszcz — dodał Baker. Przebiegł wzrokiem po pustym niebie. — Musi spaść.
— Nic, cholera, nie musi — powiedział Collie Parker. — Jeszcze nie widziałem takiego
popieprzonego stanu.

— Jak ci się nie podoba, to czemu nie wrócisz do domu? — spytał Garraty i głupawo zachichotał.

— W dupę się pocałuj.

Garraty zapanował nad pragnieniem i wypił tylko trochę wody. Wolał uniknąć skurczów żołądka. To byłaby prosta droga do wypadnięcia z konkurencji na dobre. Miał już kiedyś skurcze po wypiciu wody i raz mu wystarczy. Pomagał najbliższym sąsiadom, Elwellom, przy układania siana na stryszku stodoły. W stodole było nieznośnie gorąco, a oni, ustawieni w szereg, wrzucali na górę wielkie trzydziestopięciokilogramowe bale. Garraty popełnił błąd taktyczny, pijąc trzy pełne chochle lodowato zimnej wody przyniesionej przez panią Elwell. Nagle poczuł zapierający ból w piersiach, w brzuchu i głowie, osunął się na rozwalony bal i spadł jak worek ze stryszku na przyczepę. Pan Elwell trzymał go wpół swoimi poblížnionymi od pracy rękami, podczas gdy on rzygał, osłabiony bólem i wstydem. Posłano go do domu, chłopca, który zawałił swój pierwszy egzamin na męczyznę, pokłutego sianem na ramionach i z sieczką we włosach. Szedł do domu i słońce prażyło go w spieczony kark.

Zadygotał konwulsyjnie i natychmiast dostał z gorąca gęsiej skórki. Głowa pulsowała bólem, zbierało mu się na wymioty... jak łatwo byłoby przestać walczyć...

Obejrzał się na Olsona. Był obok. Język mu szerniał. Twarz miał brudną. Oczy ślepa. Nie jestem jak on. Dobry Boże, nie jak on. Proszę, nie chcę wysiać jak Olson.

— To nas przygnie — prorokował posepnie Baker. — Nie dociągniemy do New Hampshire. Mogę się założyć.

— Dwa lata temu padała marznąca mżawka — przypomniał Abraham. — Tamci dociągnęli do granicy stanu. Czterech z nich.

— No, ale upał to co innego — powiedział Jensen. — Kiedy jest zimno, możesz przyspieszyć i się rozgrzać. Kiedy jest upał, możesz iść wolniej... i zapakują cię do lodówki.

— Żadnej sprawiedliwości — powiedział gniewnie Collie

Parker. — Dlaczego ten cholerny Wielki Marsz nie jest w Illinois, gdzie mielibyśmy płasko?

— Maine mi się podoba — oznajmił Scramm. — Czemu tyle przeklinasz, Parker?

— A czemu ty musisz ciągle smarkać? — odpowiedział mu pytaniem Parker. — Bo taki jestem, dlatego! Coś ci się nie podoba?

Garraty popatrzył na zegarek, ale wskazówki zatrzymały się na dziesiątej szesnastcie. Zapomniał go nakręcić.

— Kto wie, która godzina? — spytał. Pearson zmrużył oczy i zerknął na zegarek.

— Właśnie minęło wpół do dupy, Garraty. Wszyscy wybuchli śmiechem.

— Daj spokój — powiedział Garraty. — Zegarek mi stanął.

— Dwie po drugiej. — Pearson popatrzył w niebo. — Słońce długo nie zajdzie.

Słońce czaiło się złowrogo nad koroną drzew. Cień nie sięgał drogi. Garraty miał wrażenie, a może były to tylko pobożne życzenia, że daleko na południu widzi purpurowe smugi zapowiadające burzę.

Abraham i Collie Parker apatycznie dyskutowali o zaletach czterokomorowych gaźników. Nikt nie był chętny do rozmowy, więc Garraty przesunął się na drugą stronę drogi, machając od czasu do czasu ręką do kibiców, ale nie traktując tego jako swój stały obowiązek.

Grupa nie była już tak rozciągnięta jak poprzednio. Czołówkę stanowili dwaj wysocy, opaleni chłopcy z czarnymi skórzanymi kurtkami obwiązanyimi wokół bioder. Wieść głosiła, że lecą na siebie, ale Garraty wierzył w to równie mocno jak w to, iż księżyc jest ze zgniłego sera. Nie wyglądali na zniewieściałych i sprawiali wrażenie całkiem miłych... choć podejrzewał, że to o niczym nie świadczy. Jeśli nawet lecieli na siebie, to nie jego sprawa. Ale...

Barkovitch był za chłopakami w skórach, a McVries za nim, wpatrzony mu w kark. Żółty przeciwdeszczowy kapelusz nadal powiewał Barkovitchowi z tylnej kieszeni. Garra—ty'emu wcale się nie widziało, by Barkovitch puchnął. Prawdę powiedziawszy, to McVries wyglądał na wymęczonego.

Za McVriesem i Barkovitchem szło w luźnym szyku siedmiu czy ośmiu chłopaków, rodzaj niezobowiązującej konfederacji, która ciągle się zawiązywała i rozwiązywała, nowi i starzy członkowie nieustannie przybywali i odchodzili. Dalej mniejsza grupa, a za mniejszą grupą Scramm, Baker, Abraham, Parker i Jensen. Jego grupa. Na początku była liczniejsza, ale teraz ledwo pamiętał nazwiska tych, którzy odpadli.

Za jego grupą szły jeszcze dwie, a na całej długości poszarpanej kolumny jak drobiny pieprzu w

solu rozsypani byli samotnicy — kilku katatoników pokroju Olsona, oderwanych od rzeczywistości, i kilku, jak Stebbins, autentycznie zadowolonych z własnego towarzystwa. A wszyscy mieli na twarzy zawzięty, wylężony wyraz. Z czasem Garraty dobrze się z nim zapoznał.

Karabiny obniżyły się i wycelowały w jednego z samotników, niskiego grubaska wystrojonego w zniszczoną kamizelkę z zielonego jedwabiu. Chłopak dostał ostatnie upomnienie pół godziny temu. Teraz obrzucił upierne lufy przerażonym spojrzeniem i przyspieszył kroku. Karabiny przestały się nim interesować, przynajmniej na razie.

Nagle, nie wiedzieć czemu, Garraty poczuł przyływ otuchy. Do Oldtown i cywilizacji — jeśli można nazwać cywilizowanym miasteczko, w którym stoją trzy domy na krzyż — nie mogło być więcej niż sześćdziesiąt cztery kilometry. Dowłoką się tam późnym wieczorem i wejdą na autostradę. Tam już pójdzie jak po maśle. Na autostradzie, jeśli dusza zapagnie, można maszerować na bosaka trawiastym pasem rozdzielającym jezdnie, czując zimną rosę. Dobry Boże, to dopiero coś! Otarł czoło przedramieniem. Może w końcu będzie łatwiej. Purpurowe smugi podeszły bliżej. Niewątpliwie były to chmury burzowe.

Nawet nie podskoczył, kiedy wypaliły karabiny. Chłopak w zielonej jedwabnej kamizelce zaliczył czerwoną kartkę i wpatrywał się słońce. Może śmierć nie jest taka zła. Każdy, nawet major, musi spojrzeć jej w twarz, wcześniej czy później. Więc kto kogo oszukuje, kiedy się nad tym dobrze zastanowić? Zapamiętał sobie, że ma powiedzieć to McVriesowi przy następnej rozmowie.

Trochę przyspieszył i zdecydował się pomachać pierwszej spotkanej ślicznej dziewczynie. Ale wcześniej spotkał Włocha, a raczej karykaturę Włocha. Mały facet w zniszczonym filcowym kapeluszu, z czarnymi podkręconymi wąsami stał obok starego kombi, przy szeroko otwartym bagażniku. Machał ręką i uśmiechał się od ucha do ucha niewiarygodnie białymi, niewiarygodnie równymi zębami.

Bagażnik wyścielono gumowym dywanikiem. Na dywaniku wysoko piętrzył się pokruszony lód, a z lodu, jak szerokie różowe uśmiechy, zerkwały pokrojone ósemki arbużów.

Garraty poczuł, jak żołądek robi mu podwójnego fikołka, dokładnie jak samolot wchodzący w korkociąg. Na kombi była tablica z napisem: DOM L'ANTIO UWIELBIA WSZYSTKICH ZAWODNIKÓW — ARBUZY ZA DARMO!!!

Kilku idących, wśród nich Abraham i Collie Parker, truchcikiem ruszyło ku poboczu. Wszyscy zostali upomniani. Drałowali lepiej niż sześć na godzinę, ale drałowali w niewłaściwym kierunku. Dom L'Antio dojrzał ich i roześmiał się — krystalicznym, radosnym, pozbawionym podtekstów śmiechem. Klasnął w dłonie, zanurzył je w lodzie i wyciągnął pełne garście różowych uśmiechniętych szeroko arbużów. Garraty'emu usta zadygotały z żądy. Nie pozwolą mu, pomyślał. Tak jak nie pozwolili sklepikarzowi dać nam napojów. Ale może tym razem spóźnią się trochę z zapuszkowa— niem? A w ogóle skąd o tej porze roku arbuzy?

Zawodnicy tłoczyli się przy odgradzających linach, mały tłumek wokół Doma oszalał ze szczęścia, rozdano drugie upomnienia i jakby wyrosli spod ziemi, pojawili się trzej policjanci stanowi, aby poskromić Doma, którego głos rozległ się głośno i wyraźnie:

— Co wy? Co wy, że niby nie mogę? To moje arbuzy, wy durne gliny! Jak mi się podoba rozdawać, to będę rozdawać, a co? Jazda stąd, palanty!

Dwóch policjantów sięgnęło po arbuzy trzymane przez Doma. Trzeci z hukiem zatrzasnął bagażnik.

— Dranie! — wrzasnął co sił w płucach Garraty. Ten wrzask przeleciał w powietrzu niczym dzida i jeden z policjantów obejrzał się... no, prawie z miną winowajcy.

— Cuchnące sukinsyny! — darł się na nich Garraty. — A żeby matki was poroniły, kurwie syny!!

— Nawrzucaj im, Garraty! — zawył ktoś i okazało się, że to Barkovitch, rozdziawiający szeroko gębę pełną zębów jak długie ćwieki i wymachujący pięściami. — Nawrzucaj im...

Wszyscy się darli, a policjanci to nie była śmietanka świeżo wyselekcjonowana z Brygad Narodowych do pilnowania Wielkiego Marszu. Wstydzili się, ale ciągnęli Doma z rękami pełnymi zimnych różowych uśmiechów, byle dalej od lin ograniczających drogę.

Dom albo zapomniał swojej angielszczyzny, albo z niej świadomie zrezygnował. Zaczął sypać soczystymi włoskimi przekleństwami. Tłum buczał na policjantów. Kobieta w obwisłym słomkowym kapeluszu cisnęła w jednego z nich radiem tranzystorowym. Trafiła go w głowę, spadła czapka. Garraty nadal bluzgał, nie mógł się powstrzymać. Co to za wyrażenie „kurwie syny”? Myślał dotąd, że

jest używane wyłącznie w książkach.

Dom L'Antio już zniknął im z oczu, ale jakoś wyrwał się i popędził naprzód, a ludzie rozstępowali się przed nim czarodziejско. Policjant rzucił się szczupakiem, złapał go za nogi, przewrócił na twarz. W ostatniej chwili Włoch szerokim łukiem wyrzucił swoje przepiękne różowe uśmiechy.

— Dom L'Antio uwielbia was wszystkich! — zawołał.

Tłum wiwatował histerycznie. Dom wylądował jak długi na ziemi i ani się obejrzał, a już był skuty. Ósemki arbuźów zatoczyły łuk w powietrzu, wirując wokół osi. Garraty gruchnął śmiechem i triumfalnie pomachał wysoko uniesionymi pięściami, bo Abraham złapał jedną nonszalanckim gestem.

Inni dostali trzecie upomnienia za zatrzymywanie się i zbieranie części arbuźów, ale co zadziwiająco, nikt nie został zastrzelony i pięciu... nie, sześciu chłopaków w końcu dostało arbuzy. Reszta na przemian wiwatowała na cześć tych, którym się udało, lub obrzucała przekleństwami żołnierzy o kamiennych twarzach, których miny z satysfakcją interpretowano jako maski nieutulonego żalu.

— Uwielbiam wszystkich! — grzmiał Abraham. Jego szeroko uśmiechnięta gęba ociekała różowym sokiem arbuza. Daleko wylądował trzy ciemnobrązowe pestki.

— Psiakrew — powiedział rozanielony Collie Parker. — Psiakrew, ja też! — Wcisnął twarz w arbuź, wżarł się w niego chciwie, a potem rozłamał na dwie części. Rzucił połowę Garra—ty'emu, który ledwo ją złapał, tak był zaskoczony. — Naści, wsioku! Żebyś nie gadał, że niczego ci nie dałem, ty pastuchu!

Garraty roześmiał się.

— Odpieprz się — powiedział. Arbuź był zimny, zimny. Część soku spłynęła Garraty'emu do nosa, część po podbródku i, o słodkie nieba, do gardła.

Pozwolił sobie zjeść tylko połowę.

— Pete! — krzyknął i cisnął resztkę McVriesowi, który złapał ją pełnym finezji bekhendem, w stylu cechującym wybitnych graczy baseballu ligi międzyszkolnej, a może nawet zawodowej.

Garraty rozejrzał się i poczuł, jak rozsadza go szaleńcza radość, wzmacza bicie serca, podsuwa myśl, żeby biegać w kółko na rękach. Prawie każdy dostał kawałek, nawet jeśli była to zaledwie odrobina różowego miąższu przylegająca do pestki.

Stebbins jak zwykle był wyjątkiem. Patrzył na drogę. Ręce miał puste, twarz bez uśmiechu.

Pieprzyć go! — pomyślał Garraty. Niemniej jednak uszło z niego trochę radości. Znow poczuł, że stopy mu ciężą. Nie chodziło o to, że Stebbins niczego nie dostał. Stebbins niczego nie chciał. Niczego nie potrzebował.

Wpół do trzeciej. Przemaszzerowali sto dziewięćdziesiąt cztery kilometry. Burzowe chmury przysunęły się bliżej. Zerwał się chłodny wiatr. Znow będzie padać, pomyślał Garraty. To dobrze.

Ludzie zwijali koce, łapali uciekające papiery, składali kosze piknikowe. Burza nadlęciała ku nim leniwie, temperatura od razu gwałtownie spadła i zrobiło się jesiennie. Garraty szybko zapiął koszulę.

— Znow się zaczyna — powiedział do Scramma. — Lepiej włóż koszulę.

— Żarty sobie stroisz? — Scramm uśmiechnął się szeroko. — Przez cały dzień się tak nie czułem!

— Będzie piorunobicie! — zawołał rozradowany Parker.

Znajdowali się na szczycie łagodnie opadającego płaskowyżu i widzieli prześcieradła deszczu chłuszczące lasy przed nimi, poniżej purpurowych chmur. Niebo zrobiło się sino—żółte. Jak przy tornadzie, pomyślał Garraty. To by była dopiero śmierć za życia. Co by zrobili, gdyby tornado poczo—chrąło sobie tyłek o drogę i zaniósło ich wszystkich do krainy Oz w wirze ziemi, majtających się podeszew i wirujących pestek arbuza?

Roześmiał się. Wiatr porwał mu śmiech z ust.

— Pete!

McVries podeszedł do niego po skosie. Kulił się pod wiatr, ubranie furkotało z tyłu za nim. Czarne włosy i biała szrama odcinająca się od opalonej twarzy sprawiały, że wyglądał jak szalony wilk morski, stojący na rozstawionych nogach na mostku swojej krypy w czasie sztormu.

— Co? — zaryczał.

— Czy w regulaminie jest przewidziany dopust boży? McVries zastanowił się chwilę.

— Nie, chyba nie. — Zaczął zapinać kurtkę.

— Co się stanie, jeśli w nas trafi piorun? McVries odrzucił głowę w tył i zarechotał.

— Będziemy martwi!

Garraty parsknął i pomaszzerował dalej. Niektórzy z lękiem spoglądali w niebo. To nie będzie miły prysznic. Jak to powiedział Parker? Piorunobicie. Tak, zapowiadało się pio—runobicie.

Czapka baseballowa przeleciała mu między nogami, obracając się jak fryga. Obejrzał się przez ramię i zobaczył małego chłopca patrzącego za nią z tęsknotą. Scramm złapał czapkę i próbował odrzucić dziecku, ale wiatr ją porwał i wielkim bumerangowym łukiem cisnął na drzewo.

Huknął grom. Białopurpurowe rosochy dźgnęły horyzont. Wichur w koronach sosen wył jak sto szalonych upiórów.

Karabiny zatrzeszczały mizernym puknięciem korkowca, niemal zagubionym w piorunach i wichurze. Garraty rozejrzał się nerwowo, pewny, że Olson wreszcie zarobił kulkę. Ale Olson był nadal na miejscu. Zgubił gdzieś kurtkę; ramiona wystające z krótkich rękawów koszuli były kościste i chude jak patyki.

To kogoś innego odciągnięto na bok. Chłopaka o twarzy drobnej, wyczerpanej i bardzo martwej pod latającą na boki gęstą grzywą włosów.

— Gdyby ten wiatr wiał z tyłu, bylibyśmy w Oldtown na wpół do piątej! — krzyknął radośnie Barkovitch. Wbił żółty kapelusz na głowę aż po uszy, a jego oczy promieniały zadowoleniem i obłędem. Garraty nagle zrozumiał. Zapisał w myślach, że ma powiedzieć McVriesowi: Barkovitch to wariat.

Kilka minut potem wiatr nagle opadł. Grzmoty ucichły do serii basowych pomruków. Żar znów przylgął do nich, lepki i prawie nie do zniesienia.

— Co się dzieje? — zahuczał Collie Parker. — Garraty! Czy ten cholerny stan tak zdziażdżał, że nawet na burzę go nie stać?

— Chyba dostaniesz, czego chcesz — powiedział Garraty. — Tyle że nie wiem, czy wtedy będziesz miał na to ochotę.

— Juu—huu! Raymond! Raymond Garraty!

Garraty poderwał głowę. Przez okropną chwilę spodziewał się zobaczyć matkę i obraz Percy'ego zatańczył mu przed oczami. Ale to była starsza pani, przyglądająca mu się spod „Vogue'a” jak spod daszka.

— Stara baba — mruknął u jego boku Art Baker.

— Wydaje mi się miła. Znasz ją?

— Znam ten typ. Moja ciotka Hattie wygląda kropka w kropkę tak samo. Uwielbia jeździć na pogrzeby i uśmiechnięta od ucha do ucha snuje się między żałobnikami, którzy płaczą, rozpaczają i odchodzą od zmysłów. Jak kot, który wgramolił się do klatki z ptakiem.

— To pewnie matka majora — zażartował Garraty, ale Baker się nie roześmiał.

— Ciotka Hattie miała dziewięcioro dzieci. Dziewięcioro, Garraty. Pochowała czworo z nich z tym samym wyrazem na gębie. Swoje własne dzieci. Niektórzy ludzie lubią patrzeć na śmierć innych. Nie mogą tego pojąć, a ty?

— Też nie — powiedział Garraty. Baker go drażnił. Znów rozległ się grom. — Ta twoja ciotka Hattie już nie żyje?

— Żyje. — Baker popatrzył w niebo. — Pewnie siedzi na werandzie w bujanym fotelu. Już nie może chodzić. Tylko siedzi, buja się i słucha wiadomości przez radio, I uśmiecha się za każdym razem, kiedy podają dane o ofiarach różnych katastrof. — Baker roztarł łokcie dłońmi. — Widziałeś kiedy, żeby kotka zjadła swoje kocięta?

Garraty nie odpowiedział. Atmosfera była naładowana elektrycznością, jak to przed burzą. Wydawało mu się, że widzi Pokrakę D'Allesio przypatrującego mu się ze swojej ciemności.

Wreszcie powiedział do Bakera:

— Czy w twojej rodzinie wszyscy pasjonują się umieraniem?

Baker uśmiechnął się blado.

— No cóż, ja też przez parę lat myślałem, że będę przedsiębiorcą pogrzebowym. Dobra robota. Przedsiębiorca pogrzebowy ma co jeść nawet podczas wielkiego kryzysu.

— A ja chciałem wyrabiać pisuary. Przyjmowałbym zamówienia od kin, kręgielni i tym podobnych. Zamówienia pewne jak w banku. Ile wytwórni pisuarów może być w kraju?

— Chyba już mi się odechciało zostać przedsiębiorcą pogrzebowym — westchnął Baker. — Ale to nieważne.

Wielki pomarańczowy błysk rozerwał niebo. Po nim rozległ się ogłuszający huk. Znowu zerwał

się wiatr. Chmury goniły po hebanowym niebie jak oszalałe korsarskie statki z sennego koszmaru.

— Nadchodzi — rzekł Garraty. — Nadchodzi, Art.

— Niektórzy ludzie mówią, że im nie zależy — powiedział nagle Baker. — „Coś prostego, kiedy odejdę, Don, żadnych wydziwiali”. Tak mówili wujkowi. Ale większość wydziwia, że głowa mała. Zawsze mi to powtarzał. Mówią: „Wystarczy mi sosnowa skrzynia”. A kończy się na wielkim trum—niszczu... wyłożonym ołowiem, jeśli ich na to stać. Wielu podaje w testamencie nawet numer modelu.

— Dlaczego? — zapytał Garraty.

— W moich stronach ludzie chcą spocząć w grobowcu. Nad ziemią. Nie w ziemi, bo jest wysoka strefa wód podskórnych. Wszystko gnije. Ale jak jesteś pochowany nad ziemią, to masz inny kłopot. Szczury. Wielkie luizjańskie szczury z mokradeł. Szczury cmentarne. Przegryzają te sosnowe skrzynie rach—ciach—ciach!

Wiatr napierał na nich niewidzialnym dłońmi. Garraty marzył, żeby burza wreszcie się zaczęła. Czuł się jak na karuzeli. Nieważne z kim rozmawiał, zawsze wyłaniał się ten temat.

— A ja mam to gdzieś — powiedział Garraty. — Nie wyłożyłbym półtora tysiąca dolarów czy ile tam, żeby chronić się po śmierci przed szczurami.

— No, nie wiem... — Baker miał przymknięte powieki, jakby drzemał. — Dręczy mnie ten obraz. Szczurom najbardziej zależy na miękkich partiach ciała. Widzę je, jak przegryzają dziury w mojej trumnie, powiększają je, przepychają się do środka. I zasuwają prosto po moje oczy, jakby to były naj—pyszniejsze cukiereczki. Gdy wyżrą mi oczy, staję się częścią szczura, co nie?

— Nie wiem — powiedział zdławionym głosem Garraty.

— Nie, dzięki. Biorę trumnę z ołowianą blachą. Zawsze.

— Chociaż tak faktycznie to będziesz jej potrzebował tylko raz — rzekł Garraty z pełnym zgrozy śmieszkciem.

— A, prawda — zgodził się z powagą Baker.

Błyskawica znów wbiła w ziemię swój widelec, w powietrzu rozeszła się woń ozonu. Burza znów przygniotła ich do ziemi. Tym razem to nie był deszcz, tylko grad. Sypał się z nieba jak kamyki. Kilku chłopaków podniosło wrzask. Garraty osłonił oczy dłonią. Wiatr wył przeraźliwie. Grad tłukł w drogę, w twarz i w ciało.

Jensen biegał wielkim nierównym kotem, zasłoniwszy sobie oczy, potykając się i zahaczając jedną stopą o drugą, w kompletnej panice. Wreszcie zbłądził na pobocze i żołnierze z transportera władowali pół tuzina kul w falujące płachty gradu, nim zyskali pewność. Do widzenia, Jensen, pomyślał Garraty. Szkoda cię, facet.

Deszcz zaczął przebijać się przez grad, opływał wzgórze, na które się wspinali, rozpuszczał kulki lodu pod ich nogami. Uderzyła w nich kolejna fala gradu, znów deszcz, kolejny potop gradu, a potem deszcz słał się równomiernymi płachtami przy nieustannym łomocie gromów.

— Cholera jasna! — wrzasnął Parker, zmierzając wielkimi krokami w kierunku Garraty'ego. Twarz miał w czerwonych plamach i wyglądał jak padło szczura z mokradeł. — Garraty, nie ulega żadnej wątpliwości, że to...

— ...no, najbardziej popieprzony ze wszystkich pięćdziesięciu jeden stanów — dokończył za niego Garraty. — Umyj sobie łeb.

Parker odrzucił w tył głowę, otworzył usta i łowił językiem zimny deszcz.

— A umyję, jasna cholera, umyję!

Garraty skulił się przed wiatrem i zrównał z McVriesem.

— Jak ci się to podoba? McVries dygotał na całym ciele.

— Teraz bym chciał, żeby słońce się pokazało.

— To nie potrwa długo — powiedział Garraty, ale się mylił. O czwartej deszcz nadal padał.

Rozdział dziesiąty

Wiecie, czemu mówią na mnie Hrabia? Bo uwielbiam liczyć! Cha, cha, cha!

Hrabia

Drugi dzień marszu nie skończył się zachodem słońca. O wpół do piątej burza przeszła w lodowaty kapuśniaczek. Padał prawie do ósmej. Potem chmury zaczęły się rwać i odsłaniać jasne, zimno migocące gwiazdy.

Garraty kulił się w przemoczonym ubraniu. Nie potrzebował informacji pogodowych, by wiedzieć, skąd wieje wiatr. Kapryśna wiosna dawała się zawodnikom we znaki.

Może tłumy ich trochę ogrzeją. Coraz więcej ludzi stało wzdłuż drogi. Zbijali się w ciasne grupki, ale nie okazywali entuzjazmu. Patrzyli na zawodników, a potem wracali do domu albo gnali z pośpiechem do następnego punktu widokowego. Jeśli wypatrywali krwi, to nie mieli jej wiele. Po Jensenie odpadło tylko dwóch chłopaków, którzy po prostu zemdleli w drodze. W ten sposób Wielki Marsz osiągnął półmetek... Nie, zaszli już dalej. Pięćdziesięciu do piachu, czterdziestu dziewięciu w kolejce.

Garraty maszerował sam. Był zbyt zmarznięty, aby czuć senność. Zaciśnął mocno wargi, by mu nie drżały. Olson wciąż trzymał się tyłów; bez przekonania stawiano zakłady, że Olson dostanie czerwoną kartkę jako pięćdziesiąty, środkowy chłopak. Ale jej nie dostał. Ten szczególny zaszczyt przypadł trzynastce, Rogerowi Fenumowi. Pechowa trzynastka. Garraty zaczął myśleć, że Olson będzie siedł wiecznie, chyba że zagłodzi się na śmierć. Zasklepił się bezpiecznie w jakimś miejscu, do którego ból nie miał dostępu. Garraty uznał, że byłby to wyraz jakiejś poetyckiej sprawiedliwości, gdyby Olson wygrał. Wyobrażał sobie czołówki gazet — W WIELKIM MARSZU ZWYCIĘŻYŁ UMARŁY!

Stracił czucie w palcach u nóg. Przebierał nimi w butach i nie czuł niczego. Prawdziwy ból nie siedział teraz w palcach u nóg. Był na podbiciach stóp. Ostry, przenikliwy, odzywający się przy każdym kroku. Zupełnie jak w znanej od dzieciństwa bajce o syrence, która chciała żyć wśród ludzi. Tyle że miała ogon i dobra wróżka czy ktoś tam obiecał dać jej nogi, skoro już tak bardzo chce. Każdy krok na lądzie będzie ją kosztował ból, jakby chodziła po nożach, ale może je mieć, skoro już tak bardzo chce, a ona powiedziała, no, w porządku, i to był Wielki Marsz. W pigułce...

— Upomnienie! Czterdziestkasiódemka, upomnienie!

— Słyszę was — warknął ze złością Garraty i przyspieszył kroku.

Lasy rzedły. Północna część stanu została za nimi. Minęli dwa ciche miasteczka. Droga przecinała je wzdłuż i chodniki były upchane ludźmi, cieniami pod latarniami przygaszonymi deszczem. Nikt wiele nie wiwatował. Chyba było zbyt zimno. Zbyt zimno i zbyt ciemno, i — Jezu Chryste! — miał teraz upomnienie do zatarcia i jeśli to nie był syf nad syfy, to nie ma o czym mówić.

Znów zwalniał, więc zmuszał się do większego wysiłku. Gdzieś daleko Barkovitch rzucił kilka słów i wybuchnął przykrym śmiechem. Wyraźnie słychać było McVriesa: „Zamknij się, morderco”. Barkovitch powiedział McVriesowi, żeby poszedł do diabła, i wydawał się bardzo zdenerwowany. Garraty uśmiechnął się słabo w ciemności.

Chociaż starał się iść szybko, przesuwając się do tyłu kolumny i uświadomił sobie z niechęcią, że znowu zbliża się do Stebbinsa. Coś go w Stebbinsie fascynowało, doszedł jednak do wniosku, że wcale nie zależy mu na ustaleniu, co to takiego. Nadeszła pora, by przestać się dziwić. Nic się na tym nie zyskiwało. Kolejny syf nad syfy.

W przedzie żarzyła się wielka strzała. Jaśniała jak zły duch. Nagle orkiestra dęta zagrała marsza. Musiała to być spora orkiestra. Owacje przybrały na sile. W powietrzu unosiły się jakieś strzępki i przez zwariowaną chwilę Garraty myślał, że pada śnieg. Ale to nie był śnieg, tylko konfetti. Przechodzili na inną drogę. Stara przecinała się z nową pod kątem prostym i kolejna tablica autostrady głównej obwieszczała, że Oldtown jest zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów dalej. Garraty poczuł niejasne podniecenie, nawet dumę. Poza Oldtown znał trasę. Mógł ją narysować na dłoni.

— Może to da ci przewagę. Nie sądzę, żeby tak było, ale może.

Garraty aż podskoczył. Miał wrażenie, że Stebbins podniósł mu wieczko na głowie i zajrzał do środka.

— Co?

— To twoje okolice, no nie?

— Nie. W życiu nie byłem na północ od Greenbush, nie licząc jazdy na start. I nie jechaliśmy

* Gra słów; hrabia – ang. *count*, liczyć – ang. *to count* (wszystkie przypisy tłumacza)

tędy. — Zostawili orkiestrę dętą za sobą, tuby i klarnety lśniły w wilgotnym mroku.

— Ale przejdziemy przez twoje rodzinne miasto?

— Nie, tylko w pobliżu.

Garraty ze zdziwieniem spostrzegł, że Stebbins zdjął tenisówki i ma na nogach miękkie mokasyny. Tenisówki wetknął do kieszeni koszuli.

— Oszczędzam tenisówki — wyjaśnił — na wszelki wypadek. Ale myślę, że skończę w mokasynach.

Minęli maszt radiostacji, szkielet na pustym polu. Na szczycie regularnie, jak serce, pulsowało czerwone światło.

— Spodziewasz się zobaczyć swoich bliskich?

— Tak — powiedział Garraty.

— Co potem?

— Potem? — Wzruszył ramionami. — Pewnie pójdę dalej. Chyba że wszyscy okażecie się na tyle rozsądni, żeby się do tej pory wytasować.

— Och, wątpię. — Stebbins uśmiechnął się dalekim uśmiechem. — Jesteś pewien, że nie odpadniesz? Po tym, jak się z nimi zobaczysz?

— Człowieku, niczego nie jestem pewien. Nie wiedziałem dużo, kiedy się to zaczęło, a teraz wiem mniej.

— Myślisz, że masz szansę?

— Tego też nie wiem. Nie wiem nawet, czemu z tobą rozmawiam. Zupełnie jakbym mówił do dymu. Daleko w przedzie zawyły policyjne syreny.

— Ktoś wdarł się na drogę, tam gdzie policja jest rozstawiona rzadziej — powiedział Stebbins. — Miejscowi robią się niespokojni, Garraty. Pomyśl, ilu zadaje sobie trud, żeby zrobić ci przejście.

— Tobie też.

— Mnie też — zgodził się Stebbins i przez długi czas nic nie mówił. Kołnierzyk koszuli latał mu luźno wokół szyi. — To zadziwiające, jak umysł panuje nad ciałem — dodał wreszcie. — To zadziwiające, jak potrafi przejść komendę i wydawać ciału rozkazy. Przeciętą gospodyni domowa może przejść do dwudziestu pięciu kilometrów dziennie, między lodówką, deską do prasowania i sznurem na pranie. Pod koniec dnia jest gotowa wyłożyć nogi na stół, ale nie jest wyczerpana. Domokrązca może wyciągnąć trzydzieści dwa kilometry. A chłopak z liceum ćwiczący futbol przechodzi czterdzieści do czterdziestu pięciu... W jeden dzień, od wstania z łóżka do położenia się do łóżka wieczorem. Wszyscy są zmęczeni, ale żadne z nich nie jest wyczerpane.

— No.

— Ale założmy, że powiemy takiej gospodyni domowej: jutro musisz przejść do obiadu dwadzieścia pięć kilometrów. Garraty skinął głową.

— Nie będzie zmęczona, będzie wyczerpana — powiedział. Stebbins milczał. Garraty miał perwersyjne wrażenie, że go zawiódł.

— No... prawda?

— Nie myślisz, że odwaliłaby swoje dwadzieścia pięć do południa, żeby zrzucić kaptcie i przesiedzieć popołudnie oglądając seriale w telewizji? Ja tak myślę. Jesteś zmęczony, Garraty?

— Aha — powiedział krótko Garraty. — Jestem zmęczony.

— Wyczerpany?

— No cóż, zaczynam być.

— Nie, nie jesteś jeszcze wyczerpany, Garraty. — Stebbins wskazał kciukiem Olsona. — On jest wyczerpany. Jest prawie wykończony.

Garraty zafascynowany niemal oczekiwał, że Olson padnie na rozkaz Stebbinsa.

— Do czego zmierzasz?

— Spytaj swojego przyjaciela kmiotka, Arta Bakera. Muł nie lubi orać. Ale lubi marchewki. Więc wieszasz mu przed nosem marchewkę. Muł bez marchewki łatwo ulegnie wyczerpaniu. Muł z marchewką potrzebuje długiego czasu, żeby się zmęczyć. Kojarzysz?

— Nie.

Stebbins znowu się uśmiechnął.

— Skojarzysz. Obserwuj Olsona. On stracił apetyt na mar—

chewkę, choć jeszcze tego nie wie. Obserwuj Olsona, Garraty. Możesz się od niego czegoś nauczyć.

Garraty nie wiedział, na ile poważnie ma traktować te słowa. Stebbins roześmiał się głośno, aż inni zawodnicy odwrócili głowy.

— Idź z nim pogadać, Garraty. A jak nie będzie gadał, wystarczy, że zbliżysz się do niego i dobrze się przyjrzyysz. Na naukę nie jest nigdy za późno.

Garraty przełknął ślinę.

— Mówisz, że to ważna lekcja?

Stebbins przestał się śmiać. Mocno złapał Garraty'ego za przegub.

— Może najważniejsza w twoim życiu. Tajemnica stosunku życia do śmierci. Rozwiąż to równanie i stać cię będzie na życie, Garraty. Spędzisz resztę swoich lat radosny jak mo—czymorda w gorzelni. — Puścił mu rękę i znów zdawał się go nie zauważać.

Garraty rozmasował nadgarstek. Ruszył w kierunku Olsona. Wydawało mu się, że ciągnie go tam niewidzialna linia. Zaszedł Olsona od tyłu i trochę z boku. Usiłował dojrzeć jego twarz.

Kiedys, bardzo dawno temu, tak się wystraszył podczas filmu, że nie mógł zasnąć przez całą noc. Kto grał? Chyba Robert Mitchum. Odtwarzał postać nieugiętego wędrownego kaznodziei z Południa, który był maniakałnym mordercą. Olson przypominał go trochę sylwetką. Wychudł, zdawał się wyższy. Skóra łuszczyła mu się z odwodnienia. Oczy miał zapadnięte. Włosy powiewały na głowie jak kukurydziane wąsy.

Ależ to tylko robot, tylko automat. Czy w środku nadal ukrywa się Olson? Nie. Olson przepadł. Tamten Olson, który siedział na trawie, żartował i opowiadał o chłopaku, którego usztyniło na starcie i który raz—dwa dostał czerwoną kartkę, tamten Olson przepadł. Pozostała martwa gliniana skorupa.

— Olson? — szepnął.

Olson maszerował dalej. Był rozsypującym się, nawiedzonym przez duchy domem na nogach. Olson się spaskudził. Śmierdział.

— Olson, możesz mówić?

Olson parł naprzód. Twarz miał zwróconą ku ciemności i szedł, tak, szedł. Coś się w nim działo, coś nadal tykało, ale...

Coś, tak, było w nim coś, ale co?

Wspięli się na kolejne wzniesienie. Garraty dyszał jak pies. Drobne smużki oparów unosiły się z jego mokrego ubrania. Poniżej płynęła rzeka, lśniła w ciemności jak srebrny wąż. Wyobraził sobie, że to Stillwater. Stillwater płynie w pobliżu Oldtown. Rozległo się kilka wątych wiwatów, ale niewiele. Dalej, na drugim brzegu zakola rzeki (może to jednak była Penobscot) gnieździły się światła. Oldtown. Mniejsze gniazdko to będzie Milford i Bradley. Oldtown. Musieli dobrnąć do Oldtown.

— Olson — powiedział. — To Oldtown. Te światła to Oldtown. Dochodzimy, chłopie.

Olson nie odpowiedział. I teraz Garraty zdołał przypomnieć sobie, co mu umykało, a co wcale nie miało takiego zasadniczego znaczenia. Tylko tyle, że Olson przypominał mu Latającego Holendra, żeglującego w nieskończoność po tym, jak cała jego załoga znikła.

Schodzili szybko w dół po długim stoku, minęli dwa zakręty i most — jak głosiła tablica — nad Potokiem Łąkowym. Po drugiej stronie mostu była kolejna tablica: OSTRE WZNIESIENIE! ZREDUKOWAĆ BIEGI. Kilku zawodników jęknęło na ten widok.

To było naprawdę ostre wzniesienie. Wyrastało przed nimi jak tor bobslejowy. Stok nie był długi; nawet w ciemnościach widzieli szczyt. Ale podejście było ostre co się zowie.

Ruszyli w górę.

Garraty przygiął się ku stromiźnie, czując niemal od razu, że traci oddech. Na szczycie będą dyszał jak parowóz, pomyślał i dodał: jeśli dostanę się na szczyt. Obie nogi podniosły lament i protest. Od ud w dół. Wrzeszczały na niego, że po prostu więcej nie zniosą.

Ależ zniesiecie, odparł im Garraty. Zniesiecie albo wysiadka.

Mamy to gdzieś, odpaliły mu nogi. Mamy to gdzieś, i jak wysiadka, to już, już, już!

Mięśnie miękły, rozpyływały się niczym kiesel postawiony na nasłonecznionym parapecie. Nogi dygotały bezradnie. Podrygiwały jak u fatalnie prowadzonej kukiełki.

Upomnienia sypały się na prawo i lewo. Garraty zdał sobie sprawę, że zaraz sam coś zaliczy. Zawiesił wzrok na Olsonie, zmuszając się do utrzymywania jego tempa. Dojdą razem tam, na szczyt tego morderczego wzgórza, a wtedy dopadnie Olsona i zwierzy mu się ze swojej tajemnicy. Wtedy wszystko będzie jak trzeba i nie będzie się musiał przejmować Stebbinsem, McVriesem, Jan ani ojcem, wcale, ani nawet Pokraką D'Allesio, który tak rozplaskał sobie głowę o mur, że wyglądała jak

rozlana galaretka.

Ile jeszcze? Trzydzieści metrów? Dwadzieścia? Co to jest!

Ledwo dyszał.

Rozległy się pierwsze wystrzały. Kolejne połąkły głośny wrzask przypominający psie ujadanie. A przed samym szczytem żołnierze dopadli jeszcze jednego. Garraty nie widział nic w ciemności. Pulsowało mu w skroniach. Co go obchodzi, kto tym razem się wytasował. To nie ma znaczenia. Znaczenie ma tylko ból, rozdzierający ból w płucach i nogach.

Na szczycie droga biegła zakolem i zaraz jeszcze większym zakolem w dół. Opadała łagodnie, idealnie, by odzyskać oddech. Ale uczucie, że mięśnie zamieniły się w kisiel, nie chciało ustąpić. Nogi zaraz się pode mną załamują, myślał spokojnie. Nie doniosą mnie aż do Freeport. Nie dobrnę do Oldtown. Chyba umieram.

Przez noc zaczął się przebijać krzyk, dziki i orgiastyczny. Wiele głosów powtarzało jedno i to samo:

— Garraty! Garraty! Garraty!

To był Bóg lub ojciec, który zamierzał odciąć mu nogi, zanim odkryje tajemnicę, tajemnicę, tajemnicę...

— Garraty! Garraty! Garraty! — Jak grom.

To nie był ojciec i nie Bóg. Wyglądało na to, że na trasę wyszli wszyscy uczniowie liceum Oldtown i chórem skandują jego imię. Kiedy zobaczyli jego bladą, znużoną i napiętą twarz, równomierny krzyk rozplynął się w dzikich wiwatach. Cheerleaderki machały pomponami. Chłopcy gwizdali przenikliwie i całowali swoje dziewczyny. Garraty uśmiechał się, machał im ręką, a jednocześnie zręcznie podsunął się ku Olsonowi.

— Olson — szepnął. — Olson.

Oczy Olsona drgnęły słabo, ledwo dostrzegalnie. To była iskra życia jak pojedynczy ruch tłoków zdezelowanego samochodu.

— Powiedz mi jak — szeptał Garraty. — Powiedz mi, co zrobić.

Licealiści (Czyja kiedyś chodziłem do liceum? — zastanawiał się Garraty. Czy to był sen?) zostali teraz za nim, nadal wiwatując w upojeniu.

Olson otworzył usta niemal ze zgrzytem. Gałki oczne zadygotały mu w oczodołach, jakby zardzewiały dawno temu i potrzebowały smaru.

— Mów do mnie, Olson. Mów. Powiedz mi. Powiedz.

— Ach — powiedział Olson. — Ach. Ach.

Garraty przysunął się jeszcze bliżej. Położył Olsonowi dłoń na ramieniu i wsunął się w złowrogą otulinę potu, cuchnącego oddechu i moczu.

— Proszę. Postaraj się.

— O. Og. Og. Ogród Boga...

— Ogród Boga — powtórzył z powątpiewaniem Garraty. — Co z tym ogrodem Boga, Olson?

— Jest. Pełen. Chwastów — rzekł ze smutkiem Olson. Głowa podskakiwał mu na piersi. — Nie.

Garraty nic nie powiedział. Nie mógł. Wchodzili na kolejne wzgórze i znów się zadyszał. Olson wydawał się oddychać lekko i swobodnie.

— Nie. Chcę. Umrzeć — dokończył Olson. Garraty nie odrywał oczu od jego ziemistej, upiornej twarzy. Olson jak automat odwrócił się ku niemu.

— Ach? — Powoli uniósł bezwładną głowę. — Ga. Ga. Garraty?

— Tak, to ja.

— Która godzina?

Garraty wcześniej nakręcił i nastawił zegarek. Bóg wie poco.

— Za kwadrans dziewiąta.

— Nie. Nie. Nie później? — Łagodne zdziwienie pojawiło się na twarzy Olsona, zniszczonej twarzy staruszka.

— Olson... — Delikatnie potrząsnął jego ramieniem i Olson zadrżał jak dźwig podczas wichury.

— O co w tym wszystkim chodzi? — Nagle Garraty zacytował szaleńczo tekst piosenki Bacharacha:

— O co w tym wszystkim chodzi, Alfie?

Olson popatrzył na niego z wykalkulowaną przebiegłością.

— Garraty — szepnął. Jego oddech cuchnął jak ściek.

— Co?

— Która godzina?
— Do cholery! — Garraty odwrócił głowę, ale Stebbins patrzył pod nogi. Może śmiał się z niego, ale było zbyt ciemno, żeby to dostrzec.
— Garraty?
— Co? — spytał Garraty już nieco cichszym głosem.
— Je. Jezus cię uratuje.
Olson podniósł głowę wysoko. Zaczął iść w kierunku transportera.
— Upomnienie! Siedemdziesiątka, upomnienie!
Olson nawet nie zwolnił. Szedł z godnością starca. Tłum ucichł. Ludzie patrzyli z napięciem.
Olson doszedł do pobocza. Położył dłonie na pancerzu i zaczął się niezgrabnie wspinać.
— Olson! — wrzasnął zaskoczony Abraham. — Hej, to Hank Olson!
Czterej żołnierze poruszali się w idealnej harmonii. Wycelowali. Olson złapał najbliższą lufę i wyrwał żołnierzowi karabin z rąk jak loda na patyku. Broń ze stukotem upadła w tłum. Ludzie rozpięchli się z wrzaskiem, byle dalej, jak od żmii.
Wtedy jeden z pozostałych karabinów wypalił. Garraty wyraźnie dojrzał błysk u końca lufy. Dojrzał rwące falowania na koszuli Olsona, kiedy pocisk wbił się w brzuch i wyleciał plecami.
Olson się nie zatrzymał. Dotarł na górę transportera i złapał za lufę karabinu, z którego właśnie go postrzelono. W momencie, w którym broń znów wystrzeliła, podbił lufę w górę.
— Załatw ich! — wydzierał się dziko McVries. — Załatw ich, Olson! Pozabijaj ich! Pozabijaj!
Dwa karabiny huknęły unisono, pociski dużego kalibru zepchnęły Olsona z transportera. Padł na plecy, z rozrzuconymi nogami i rękami, jak człowiek przybity do krzyża. Jego brzuch zmienił się w szerniąłą, poszarpaną miazgę. Dostał następne trzy kule. Rozbrojony żołnierz dobył (bez wysiłku) następny karabin ze środka transportera.
Olson usiadł. Położył dłonie na brzuchu i patrzył spokojnie na przyczajonych żołnierzy. Oni odpowiadali mu spojrzeniem.
— Wy dranie! — łkał McVries. — Sukinsyny!
Olson zaczął się dźwigać na nogi. Następna salwa znów rozłożyła go na płask.
Garraty usłyszał za plecami śmiech. Nie musiał odwracać głowy, by wiedzieć, że to śmieje się Stebbins.
Olson znowu usiadł. Karabiny nadal były w niego wycelowane, ale żołnierze nie strzelali. Wyglądali na zaciekawionych.
Powoli, jakby z głęboką rozważą, Olson wstał, krzyżując dłonie na brzuchu. Odwrócił się w kierunku marszu i ruszył chwiejnym krokiem.
— Usuńcie go! — krzyknął ktoś ochryple. — Na litość boską, usuńcie go!
Niebieski wąż jelit powoli wyslizgiwał się między palcami Olsona. Opadł mu na krocze jak sznur serdelków i huśtał się tam nieprzyzwoicie. Olson zatrzymał się, pochylił, jakby po to, żeby pozbierać i schować wnętrzności (pozbierać i schować! — pomyślał Garraty na krawędzi ekstazy zachwyty i grozy) i wypuł wielki skrzep krwi. Znów ruszył. Twarz miał pełną słodyczy i spokoju.
— O mój Boże! — Abraham odwrócił się do Garraty'ego, zatykając dłońmi usta. Twarz miał białą jak ser; oczy wytrzeszczone i oszalałe z przerażenia. — O mój Boże, Ray, co za obrzydliwość, o kurwa, o Jezu! — Dostał torsji. Fontanna wymiocin trysnęła mu przez palce.
No proszę, Abrahamowi cofnęły się ciasteczka, pomyślał leniwie Garraty. Trudno przestrzegać wskazówki numer trzynaście, Abe.
— Postrzelili go w bebechy — powiedział zza pleców Garraty'ego Stebbins. — Celowo. Żeby nikt więcej nie próbował starego numeru z szarżą Lekkiej Brygady.
— Won ode mnie! — syknął Garraty. — Bo ci łeb rozwałę! Stebbins szybko przesunął się do tyłu.
— Upomnienie! Osiemdziesiątkaósemka, upomnienie!
Rozległ się cichy śmiech Stebbinsa.
Olson osunął się na klęczki. Głowa zwisała mu między ramionami, wsparł się na dłoniach. Huknęła broń; kula oderwała kawałek asfaltu obok jego lewej dłoni i zrykoszetował z jękiem. Znów zaczął się podnosić, powoli, ze znużeniem. Bawią się z nim, pomyślał Garraty. Wszystko to musi być dla nich strasznie nudne, no to się z nim bawią. Macie frajdę, chłopaki? Macie ubaw?
Zaczął płakać. Podbiegł do Olsona, upadł obok niego na kolana i przycisnął jego zmęczoną, rozpaloną twarz do piersi. Łkał w śmierzdzące włosy.

— Upomnienie! Czterdziestkasiódemka, upomnienie!
— Upomnienie! Sześćdziesiątkajedynka, upomnienie! McVries go szarpał. Znowu McVries.
— Wstawaj, Ray, wstawaj, nie pomożesz mu, na litość boską, wstawaj!
— To nieuczciwe! — tkał Garraty. Na policzku miał kleistą smugę krwi Olsona. — To po prostu nieuczciwe!

— Wiem. Rusz się. Rusz się!

Garraty wstał. Szli szybko tyłem razem z McVriesem, patrząc na Olsona, który podniósł się z klęczek. Stał, szeroko rozstawiając nogi po obu stronach białej linii. Uniósł ręce do nieba. Kibice na poboczu westchnęli cicho.

— Nie tak trzeba było! — wykrzyknął drżącym głosem, a potem padł jak długi. Umarł.

Żołnierze wpakowali w niego jeszcze dwie kule i bez ceregieli zwlekli ciało z drogi.

Garraty czerpał niejaką pociechę z towarzystwa McVrie—sa. Szli bez słowa przez jakieś dziesięć minut.

— Zaczynam w tym coś dostrzegać, Pete — powiedział wreszcie. — Jest jakiś wzorzec. To nie tylko bezsens.

— Nie licz na to.

— On odezwał się do mnie, Pete. Nie był martwy, dopóki go nie zastrzelili. Żył. — Miał wrażenie, że to najważniejsza rzecz z całego epizodu Olsona. Powtórzył to słowo: — Żył.

— I co z tego wynika? — McVries westchnął ze znużeniem. — On jest tylko pozycją z listy strat. Numer pięćdziesiąty trzeci. To znaczy, że jesteśmy trochę bliżej i nic poza tym.

— Nie myślisz tak naprawdę.

— Nie mów mi, co myślę, a co nie! Daj spokój, o co ci chodzi?

— Na mój gust mamy dwadzieścia kilometrów do Old—town — powiedział Garraty.

— Ja cię kręcę!

— Wiesz, co ze Scrammem?

— Nie jestem jego lekarzem. Zajmij się sobą.

— Czym się tak gryziesz, cholera? McVries roześmiał się dziko.

— Jest jak jest, jest jak jest, a ty chcesz wiedzieć, czym się gryzę! Gryzę się przyszłorocznymi podatkami dochodowymi. Gryzę się ceną zboża w Dakocie Południowej. Olsonem, tym, że miał bebechy na wierzchu, Garraty, że na końcu maszerował z bebechami na wierzchu, tym się gryzę... — przerwał i walczył ze sobą, by nie zwymiotować. Nagle powiedział: — Ze Scrammem słabo.

— Tak?

— Collie Parker położył mu rękę na czole i powiedział, że jest rozpalony. Mówi od rzeczy. O żonie, o Phoenix, o Flagstaff, niesamowite rzeczy o Hopi, Nawaho i magicznych laleczkach... trudno zrozumieć.

— Ile jeszcze wytrzyma?

— Kto to wie. Nadal może przetrzymać nas wszystkich. Jest zbudowany jak bizon i strasznie się przykłada. Jezu, ale jestem zmęczony.

— Co z Barkovitchem?

— Przegląda na oczy. Wie, że wielu z nas będzie zadowolonych, gdy dostanie bilecik w jedną stronę do parku sztywnych. Zdecydował, że mnie przetrzyma, zajadły skurwysynek. Nie podoba mu się, że jeżdżę na nim jak na tysej kobyle. Mam u niego przesrane, wiem. — McVries znów wybuchnął dzikim, strasznym śmiechem. — Ale ma pietra. Nie gada, bo oszczędza oddech. Skupia się na nogach.

— Wszyscy się na nich skupiamy.

— No. Oldtown blisko. Dwadzieścia kilometrów?

— Zgadza się.

— Mogę ci coś powiedzieć, Garraty?

— Jasne. Zabiorę to ze sobą do grobu.

— Chyba ci się uda.

Ktoś blisko czoła tłumowi odpalił petardę i zarówno Garraty, jak i McVries podskoczyli. Kilka kobiet zapiszczało. Zwalisty mężczyzna w pierwszym rzędzie zaklął z ustami pełnymi prażonej kukurydzy.

— Wszystko to jest takie straszne — powiedział McVries —bo jest po prostu tandetne. Sprzedaliśmy samych siebie, prze—handlowaliśmy nasze dusze za tandetę. Olson był tandetny. Był też wspaniały, ale to się nie wyklucza wzajemnie. Był wspaniały i tandetny. Taki czy siaki albo i taki,

i siaki, umarł jak owad pod mikroskopem.

— Jesteś nie lepszy niż Stebbins — rzekł z niechęcią Garraty.

— Szkoda, że Priscilla mnie nie zabiła — dodał McVries. —Przynajmniej nie byłoby to takie...

— Tandetne — dokończył Garraty.

— Tak. Myślę...

— Słuchaj, chciałbym się trochę zdrzemnąć. Nie masz nic przeciwko?

— Nie. Przepraszam. — McVries wydawał się urażony.

— To ja przepraszam — powiedział Garraty. — Nie bierz sobie tego tak do serca. To naprawdę...

— Tandetne — dokończył McVries. Po raz trzeci roześmiał się dziko i odmaszerował. Garraty pożałował — nie po raz

pierwszy — że nawiązał przyjaźnie podczas Wielkiego Marszu. Przez to będzie trudniej. Już było trudniej.

Kiszki drgnęły mu leniwie. Niebawem trzeba będzie je opróżnić. Zgrzytnął zębami. Ludzie będą się gapić i śmiać. Obesra ulicę jak kundel, a potem ludzie zbiorą jego gówien—ko w papierowe serwetki i włożą do słoiczka na pamiątkę. Niby niemożliwe, ale wiedział, że takie rzeczy się zdarzają.

Olson z wypadającymi bebechami.

McVries i Priscilla w wytwórni tekstyliów.

Scramm buchający żarem gorączki.

Abraham... ile wrzucisz do kapelusza, widownio?

Garraty'emu opadła głowa. Drzemał. Marsz trwał dalej.

Przez wzgórza, doliny, przez drogi, równiny. Ponad góry i łąny do mej ukochanej. Garraty zachichotał, zstąpiwszy w mroczne rozpadliny swych myśli. Jego nogi dudniły na nawierzchni i luźny obcas szurał jak stara okiennica w wymarłym domu.

Myślę, więc jestem. Łacina z pierwszej klasy. Stare maksymy w martwym języku. Dzyń, dzyń, dzwoneczki, kotka na dnie studnieczki. Kto ją tam utopił? Kubuś, niegrzeczny chłopiec.

Istnieję, więc jestem.

Kolejna petarda. Okrzyki i wiwaty. Transporter grzechotał i klekotał, a Garraty nasłuchiwał swojego numeru w upomnieniach i drzemał.

Tato, nie cieszyłem się, kiedy musiałeś odejść, tyle że nigdy naprawdę mi cię nie brakowało. Przepraszam. Ale nie dlatego tu jestem. Nie mam podświadomej obsesji, by popełnić samobójstwo, żałuję, Stebbins. Bardzo żałuję, ale...

Karabiny obudziły go gwałtownie i rozległ się znajomy łomot worka z pocztą, kolejny chłopak odszedł do Bozi. Tłum zawył ze zgrozy i zahuczał z aprobatą.

— Garraty! — zapiszczała jakaś kobieta. — Ray Garraty! —Głos miała łamiący się, ostry. — Jesteśmy z tobą, chłopcze! Jesteśmy z tobą, Ray!

Jej głos przebił się ponad tłum. Ludzie odwrócili głowy, wyciągnęli szyje, by zobaczyć syna stanu Maine. Nieliczne buczenia zatonęły w narastających wiwatach.

Tłum znów zaczął wspólnie skandować. Garraty słyszał swoje nazwisko, dopóki nie zredukowało się do bezsensownego galimatiasu dźwięków, nie mającego z nim żadnego związku.

Pomachał ręką i znowu pogrążył się w drzemce.

Rozdział jedenasty

Naprzód, zasrańcy! Chcecie żyć wiecznie?

Nieznany sierżant z czasów
pierwszej wojny światowej

Około północy minęli Oldtown. Pokonali dwie szosy dojazdowe, wkroczyli na drogę numer dwa i przeszli śródmieściem.

Dla Raya Garraty'ego przemarsz przez miasteczko był mglistym sennym koszmarem. Wiwaty ogłuszały, nie dawały myśleć. Oślepiające lampy sodowe, rzucające pomarańczowe światło, zmieniły noc w rozjarzony, bezcienisty dzień. Konfetti, gazety, podarte strony książki telefonicznej i długie

wstęgi papieru toaletowego sfruwały z okien wyższych pięter. To była nowojorska parada w wydaniu prowincjonalnym.

Nikt nie umarł w Oldtown. Pomarańczowe światła zagasły i tłum przeredził się trochę, kiedy maszerowali wzdłuż rzeki Stillwater przedsiönkiem brzasku. Był już trzeci maja. Przydusił ich gęsty smród zakładów papierniczych. Zjadliwa woń chemikaliów, węgla drzewnego, zanieczyszczonej rzeki i raka żołądka. Stożkowe wysypiska trocin przerastały budynki śródmieścia. Beżadne stopy papierówki sięgały nieba jak monolityczne głazy. Garraty drzemał i śnił niejasne sny o uldze i zbawieniu. Ktoś zaczął go kuksać w żebra. McVries.

— Co jest?

— Wchodzimy na autostradę — powiedział McVries. Był podniecony. — Są nowe wieści. Przy wjeździe stoi kompania honorowa. Odda na naszą cześć salwę z czterystu karabinów!

— W dolinę śmierci wjechało czterystu* — mruknął Garraty, trąc oczy. — Słyszałem dziś w nocy zbyt wiele salw z czterech karabinów. Nie jestem zainteresowany. Daj mi się zdrzemnąć.

— Nie w tym rzecz. Jak oni skończą, my im oddamy salwę honorową.

— My?

— No. Bąk z czterdziestu sześciu dup. Garraty uśmiechnął się lekko. To był sztywny i niepewny uśmiech.

— Aż z tyłu?

— Pewnie. No... z czterdziestu dup. Kilku naszych jest już bardzo zmęczonych.

Garraty przypomniał sobie Olsona, Latającego Holendra.

— Dobra, możesz na mnie liczyć — powiedział.

— W takim razie podejdź trochę do nas.

Przyspieszyli, by dogonić Pearsona, Abrahama, Bakera i Scramma. Chłopczy w skórzanych kurtkach wcześniej skrócili dystans.

— Barkovitch jest za? — spytał Garraty. McVries prychnął.

— Uważa, że to najwspanialszy pomysł od czasu wynalezienia płatnych toalet.

Garraty zmarzł. Skulił ramiona i zachichotał ponuro.

— Założę się, że ma wyjątkowo zjadliwego bąka.

Szli równolegle do autostrady. Po prawej stronie na stromym nasypie rześisty blask rzucały sodówki — tym razem sinobiałe. Kawałek dalej — jakieś osiemset metrów — odbijał w górę wjazd.

— Uwaga, już niedługo — powiedział McVries.

— Cathy!!! — wrzasnął Scramm. — Jeszcze się nie poddałem, Cathy! — Skierował na Garraty'ego nieprzytomne, szkliste oczy. Nie poznawał go. Policzki miał rozpalone, usta popękane od gorączki.

— Nie jest z nim dobrze — powiedział przepaszająco Baker, jakby to była jego wina. — Co jakiś czas dawaliśmy mu wody i polewaliśmy mu trochę głowę. Jego manierka jest prawie pusta, a jakby chciał następną, to sam musi zawołać. Taki jest regulamin.

— Scramm... — powiedział Garraty.

— Kto to? — Oczy Scramma zatańczyły dziko.

— Ja. Ray.

— Och. Widziałeś Cathy?

— Nie. — Garraty poczuł się niezręcznie. — Wiesz...

— Uwaga, jesteśmy blisko — rzekł McVries. Owacje znów stały się głośniejsze i z ciemności wyrosła upiorna zielona tablica.

DROGA MIĘDZYSTANOWA NR 95
AUGUSTA PORTLAND PORTSMOUTH
KIERUNEK POŁUDNIE

— Boże, wspomóż — szepnął Abraham. — Idziemy na południe.

Wjazd podniósł się pod ich stopami. Weszli w pierwsze rozlewisko światła lamp. Nowa nawierzchnia była gładza.

Żołnierze kompanii honorowej wcześniej wypchnęli tłum na boczny nasyp wjazdu. Stali w

* W oryginale sześciuset; A Tennyson, *Szarża Lekkiej Brygady*

milczeniu, trzymali broń skosem na piersiach. Mundury galowe lśniły wspaniale; w porównaniu z nimi żołnierze na zakurzonej transporterze wyglądali marnie.

Miało się wrażenie, że uczestnicy Wielkiego Marszu wznoszą się nad wielkim burzliwym morzem wrzawy w spokojne przestworza. Towarzyszył im tylko odgłos kroków i przyspieszone oddechy. Wjazd na autostradę ciągnął się bez końca i cały był obstawiony żołnierzami w szkarłatnych mundurach, trzymających broń skosem na piersiach.

Z ciemności rozległ się elektronicznie wzmocniony głos majora:

— Pre—zen—tuj broń! Dłonie klasnęły o kolby.

— Do sa—lwy ho—no—ro—wej!

Kolby wsparły się o ramiona, lufy skierowały się w niebo, rozpinając stalowy łuk. Zawodnicy instynktownie zbili się w ciasną grupę. Oczekiwali huku oznaczającego śmierć.

— Ognia!

Czteryście karabinów wypaliło w noc, ogłuszyło. Garraty ledwo się opanował, by nie zakryć uszu dłońmi.

— Ognia!

Znów smród prochu. W jakiej książce strzelają z dział pokładowych, żeby topielec wypłynął na powierzchnię?

— Moja głowa! — jęczał Scramm. — O Jezu, głowa mnie boli.

— Ognia!

Czteryście karabinów wystrzeliło po raz trzeci i ostatni. McVries odwrócił się i szedł tyłem, na twarz wystąpiły mu krwiste placki.

— Pre—zen—tuj broń!

Garraty nabrał powietrza w płuca i wstrzymał oddech.

— Ognia!

To było żalosne. Nikły odgłos sprzeciwu w wielkiej ciemności. Zabrzmiął tylko raz. Kamienne twarze żołnierzy kompanii honorowej nie zmieniły wyrazu, ale wszystkie zdawały się sygnalizować subtelną nagane.

— Pieprzyć to — powiedział McVries. Odwrócił się i szedł normalnie, opuściwszy głowę.

Byli na autostradzie. Mignął im dziup majora odjeżdżający na południe, zimne fluorescencyjne światło odbiło się w czarnych szklach przeciwsłonecznych, a potem tłum znów oblepił drogę, ale tym razem dalej od nich, bo autostrada miała cztery pasy ruchu i piąty, trawiasty, rozdzielający jezdnie.

Garraty szybko zбочzył na środkowy pas. Szedł po krótko skoszonej trawie, czuł rosę przenikającą popękane podeszwy i sięgającą kostek. Ktoś dostał upomnienie. Autostrada ciągnęła się, płaska i monotonna, połączenie betonu rozdzielone zielonym wcięciem, wszystko powiązane paskami białego światła z wysokich sodówek. Cienie chłopaków były ostre, wyraźne i długie, jakby rzucane przez księżyc latem.

Podniósł manierkę do ust, pociągnął długi łyk, zakręcił ją i znów zapadł w drzemkę. Sto trzydzieści kilometrów, może sto trzydzieści pięć do Augusty. Mokra trawa koła...

Potknął się, prawie przewrócił i ocknął. Jakiś głupiec zasadził na środku sosny. Czy to nie przesada? Jak tamci mogli oczekiwać, że będzie maszerował po trawie, kiedy...

Oczywiście, nie oczekiwali tego.

Przesunął się na lewy pas, którym szła większość. Kolejne dwa transportery wtoczyły się na autostradę na wjeździe przy Orono, by pilnować czterdziestu sześciu zawodników, którzy dotrwali. Tamci nie oczekiwali, że będziesz maszerował po trawie. Kolejny raz zażartowano z ciebie, Garraty, chłopie kochany. Nic poważnego, tylko kolejne drobne rozczarowanie. Po prostu... przestań marzyć, nie oczekuj niczego. Drzwi zamykają się jedno po drugim. Zamykają się.

— W nocy będą odpadać — powiedział. — Będą odpadać jak karaluchy od ściany.

— Ja bym na to nie liczył — odezwał się Collie Parker głosem pełnym znużenia, przyciszonym.

— Czemu?

— To jak przesiać przez sitko pudełko sucharków, Gar—raty. Okruchy przelecą w trymiga. Potem małe kawałki połamią się i też przelecą. Ale duże suchary... — wyszczerzone w uśmiechu usta Parkera załśniły w ciemności półksiężycem obślinitych zębów — całe suchary muszą się wykruszyć powoli.

— Ale przejść taki kawał drogi... to przecież...

— Ja dalej chcę żyć — powiedział ostro Parker. — Ty też, Garraty, nie zalewaj. Ty i tamten gość,

McVries, możecie gadać głupoty całemu światu i sobie nawzajem, wielka mi rzecz, to wszystko bzdury, ale pomagają oszukać czas. Mnie nie zalewaj. Ty dalej chcesz żyć, taka prawda. I inni też. Będą umierać powoli. Po jednym. Mogę dostać kulkę, ale w tej chwili czuję się tak, jakbym mógł przemaszerować do Nowego Orleanu, zanim upadnę na kolana przed smutnymi złamasami w tym samochodziku z gąsienicami.

— Naprawdę? — Garraty'ego ogarnęła rozpacz.

— Naprawdę. Nie podniecaj się. Przed nami jeszcze daleka droga.

Parker odszedł wydłużonym krokiem, tam gdzie chłopcy w skórach, Mike i Joe, nadawali tempo grupie. Garraty znów opuścił głowę i zaczął drzeć.

Myśli popłynęły swobodnie — wielki pozbawiony wizjera aparat fotograficzny, robiący błyskawiczne zdjęcia wszystkiego i niczego. Ojciec oddalający się wielkimi krokami w zielonych cholewiakach. Jimmy Owens; uderzył Jimmy'ego lufą wiatrówki, tak, zrobił to celowo, bo to był pomysł Jimmy'ego, to rozebranie się i macanie nawzajem, to był pomysł Jimmy'ego, to był pomysł Jimmy'ego. Broń zakreśla błyszczący łuk, plama krwi („Przepraszam, Jim, o Jezu, trzeba przykleić plaster”) na podbródku Jimmy'ego... Jimmy wyje... Jimmy wyje...

Garraty podniósł głowę, oszołomiony i spocony mimo nocnego chłodu. Przed chwilą ktoś wył. Karabiny celowały w niską, krępą postać. Przypominała Barkovitcha. Wystrzeliły zgrabnie zestrojone i niska, krępa postać runęła na dwa pasy ruchu jak bezwładny wór z pralni. Krostowata, okrągła niczym księżyc w pełni twarz nie należała do Barkovitcha. Garraty'emu wydawała się spokojna, pogodzona z losem.

Przyłapał się na tym, że rozważa, czy nie byłoby dla nich wszystkich lepiej umrzeć, i bojaźliwie uciekł od tej myśli. Ale c/y nie zawierała prawdy? Zanim przyjdzie koniec, ból w stopach podwoi się, może potroi, a już teraz był nie do zniesienia. Tylko że nie ból był najgorszy. Najgorsza była śmierć, nieodstępna śmierć, smród ściierwa, który zadomowił się w nozdrzach. Owacje tłumy — tło tych myśli — usypiały. Znow zapadł w drzemkę i śnił o Jan. Przez chwilę zupełnie o niej zapomniał. Lepiej drzeć niż spać, pomyślał chaotycznie. Nogi bolały kogoś innego, z kim on sam miał jedynie luźny kontakt, i wystarczył niewielki wysiłek, by kierować myślami, przymusić je, by go słuchały.

Powoli składał jej obraz. Drobne stopy. Silne kobiece nogi — kształtne łydki rozrastające się w pełne uda wieśniaczki. Wąski stan, piersi pełne i dumne. Inteligentna gładka twarz. Długie jasne włosy. Kurwie włosy, myślał nie wiedzieć czemu. Raz jej to powiedział; po prostu wypnęło mu się i oczekiwał, że będzie zła, ale w ogóle nie zareagowała. Chyba w głębi duszy czuła się pochlebiona...

Tym razem obudziły go skurcze w kiszki. Zagryzł zęby i maszerował dalej w równym tempie, aż to doznanie minęło. Świecąca tarcza zegarka mówiła, że jest prawie pierwsza.

O Boże, błagam, zrób coś, żebym nie musiał srać przed tymi ludźmi. Błagam, Panie Boże. Dam Ci połowę całej wygranej, tylko spraw, błagam, żeby mnie przystopowało. Błagam, błagam, bla...

Kiszki znów przeszył skurcz, silny i bolesny, potwierdzający fakt, że mimo strasznego zmęczenia organizm funkcjonuje prawidłowo. Jeszcze kilka kroków i Garraty wyszedł poza bezlitosny blask najbliższej latarni. Nerwowo rozpiął pas, stanął, krzywiąc się zsunął spodnie, jedną ręką osłoniwszy genitalia, i przykucnął. Kolana strzeliły mu z hukiem. Mięśnie ud i łydek zaprotestowały, groziły skurczem, kiedy napięto je wbrew ich woli w nowym kierunku.

— Upomnienie! Czterdziestkasiódemka, upomnienie!

— John! Hej, Johnny, patrz na tego biedaka.

Wskazujące go palce, ledwo dostrzegalne w ciemności. Strzeliły flesze i Garraty odwrócił głowę. Nic nie mogło być gorsze niż to. Nic.

Omal nie upadł na plecy, ale udało mu się podeprzeć jedną ręką.

— Widzę! Widzę, jak mu wyłazi! — darła się piskliwie jakaś dziewczyna.

Baker minął go, nie patrząc.

Przez krótką przerażającą chwilę myślał, że wszystko i tak okaże się na nic — że to fałszywy alarm — ale po chwili było po wszystkim. Zrobił, co trzeba. Spazmatycznie łkając wstał i ni to pobiegł, ni to pomaszerował, zapinając spodnie, zostawiwszy za sobą część siebie, dymiącą w ciemności i wypatrywaną pożądliwie przez jakiś tysiąc ludzi. Do słoika! Postawić na kominku! Gównu faceta ryzykującego życie!

A jakże, Betty, mówiłam ci, mamy coś wyjątkowego w bawialni... na górze, na wieży stereo. Zastrzelili go dwadzieścia minut później...

Doszedł do McVriesa, zrównał się z nim.

— Było ciężko? — spytał McVries. W jego głosie dźwięczał nie dający się pomylić z żadnym innym ton admiracji.

— Jak diabli. — Garraty wypuścił długi, drżący oddech. — Wiem już, czego zapomniałem.

— Czego?

— Zostawiłem w domu papier toaletowy. McVries zaskrzeczał z uciechy.

— Jak mówiła moja babunia, kiedy nie masz korka, to trudno, będziesz miał ślisko w dupce, wnusiu.

Garraty wybuchnął śmiechem, czystym, serdecznym śmiechem, pozbawionym hysterii. Poczł się lżejszy, swobodniejszy. Bez względu na to, jak się sprawy ułożą, więcej nie będzie musiał przez to przechodzić.

— No, dałeś radę — odezwał się Baker z boku.

— Jezu! Może wy wszyscy, chłopaki, przysłecie mi pocztówkę z gratulacjami?

— To żadna frajda, kiedy tylu ludzi gapi się na ciebie — powiedział trzeźwo Baker. — Słuchajcie, doszła mnie wieść. Nie wiem, czy mam w to wierzyć. Nie wiem nawet, czy chcę w to wierzyć.

— O co chodzi? — spytał Garraty.

— Joe i Mike. Chłopaki w skórach, o których wszyscy myśleli, że lecą na siebie. To Indianie Hopi. Chyba Scramm próbował nam to wcześniej powiedzieć i nie kojarzyliśmy, o co mu chodzi. Ale... wiesz... teraz usłyszałem, że to bracia.

Garraty'emu opadła szczęka.

— Podszedłem i przyjrzałem się im dobrze — kontynuował Baker. — I niech mnie szlag trafi, wyglądają na braci.

— To pokręcone — rzekł gniewnie McVries. — To, kurwa, pokręcone! Za coś takiego ich starych powinny wziąć Patrole!

— Znałeś kiedyś jakiegoś Indianina? — spytał ze spokojem Baker.

— Nie, chyba że z Passale. — McVries nadal był zły.

— Tuż za granicą mojego stanu jest rezerwat Seminoli — powiedział Baker. — Dziwni ludzie. Dla nich nie ma czegoś takiego jak nasza odpowiedzialność. Są dumni. I biedni. Myślę, że te rzeczy są takie same dla Hopi, jak i dla Seminoli. I wiedzą, jak umierać.

— Nikt tego nie wie — powiedział McVries.

— Pochodzą z Nowego Meksyku — dodał Baker.

— To zbrodnia — zakonkludował McVries i Garraty był skłonny się z nim zgodzić.

Rozmowy wygasły z przodu i z tyłu, częściowo z powodu hałasującego tłumu, jak podejrzewał Garraty, częściowo z powodu monotonii marszu autostradą. Wzgórza miały długie i płaskie zbocza, ledwo wyrastały ponad równinę. Piechurzy drzemali, pochrapywali — szykowali się na czekające ich liczne cierpienia. Grupki rozdzieliły się na trójki, dwójki i samotników.

Tłum nie znał zmęczenia. Wiwaty trwały nieprzerwanie. Monotonnie wywoływano nazwisko Garraty'ego, ale faceci spoza stanu wykrzykiwali sporadycznie na cześć Barkovi—tcha, Pearsona, Wymana. Inne nazwiska pojawiały się i znikwały z prędkością śniegu na ekranie telewizora.

Wzlatywały i płonęły ognie sztuczne. Ktoś cisnął pod niebo świecę dymną i tłum rozpierzchnął się z wrzaskiem, kiedy kręcąc młynka i sycząc spadła na żwirowe pobocze, poza przerywaną linię. Były też inne atrakcje. Mężczyzna z megafonem, który na przemian wychwalał Garraty'ego i reklamował swoją kandydaturę na reprezentanta drugiego dystryktu; kobieta z wielkim krukiem w małej klatce, którą przyciskała zazdrośnie do gigantycznej piersi; ludzka piramida zbudowana z uczniów college'u w bluzach Uniwersytetu New Hampshire; mężczyzna z wpadniętymi policzkami, bez zębów i w symbolicznym stroju Wuja Sama, noszący tablicę z napisem: ODDALIŚMY KANAŁ PANAMSKI KOMUNISTOM CZARNUCHOM. Ale poza tym tłum wydawał się nudny i bezbarwny jak autostrada.

Garraty podrzemywał, a wizje w jego głowie obrazowały na przemian miłość i groźbę. W jednym ze snów niski bucujący głos pytał go bez przerwy: Jesteś doświadczony? Jesteś doświadczony? Jesteś doświadczony? Nie potrafił rozsądzić, czy to głos Stebbinsa, czy majora.

Rozdział dwunasty

*Szedłem sobie drogą, droga była grząska.
Walnąłem się w palec, palec spuchł jak gąska.
Kto się nie schowa, ten kryje!*

Dziecięcia wyliczanka

Nie widzieć jak, zrobiła się dziewiąta rano.

Ray Garraty wylał sobie na głowę zawartość manierki, odchylając głowę, aż mu w karku strzeliło. Dopiero co ociepliło się na tyle, że z ust przestały ulatywać obłoczki pary, woda wciąż była lodowata i w jakimś stopniu przepędziła senność.

Obejrzał się na towarzyszy podróży. McVries miał teraz długą szczecinę, czarną jak jego czupryna. Collie Parker zmi—zerniał, ale wyglądał na twardego, nie do pokonania. Baker prezentował się niemal eterycznie. Scramm nie był tak rozpalony, ale wciąż kaszłał — głębokim, dudniącym kaszlem. Garraty przypomniał sobie, jak sam kaszłał, kiedy bardzo dawno temu, w wieku pięciu lat miał zapalenie płuc.

Noc minęła sennym ciągiem dziwnych nazw na oświetlonych reflektorami tablicach, wiszących wysoko w górze. Ve—azie. Bangor. Hermon. Hampden. Winterport. Żołnierze odstrzelili tylko dwóch i Garraty zaczął godzić się z prawdą wariackiej teorii Parkera.

Znów nastał jasny dzień. Kolejny raz wyodrębniły się małe ochronne grupy, zawodnicy żartowali o brodach, ale nie o stopach... o stopach nigdy. Garraty poczuł w nocy pęknięcie kilku małych pęcherzy na prawej pięcie, ale miękki absorbujący materiał skarpetki jakoś ochronił żywe mięso. Dopiero co minęli drogowskaz: AUGUSTA 77, PORTLAND 187.

— To dalej niż mówiłeś — zganił go Pearson. Był straszliwie wychudzony, włosy dyndały mu smętnie przy policzkach.

— Nie jestem chodzącą mapą — powiedział Garraty.

— Co z tego...? To twój stan.

— No i co?

— Nic. — W tonie Pearsona nie było urazy. — Rany, nie powtórzę tego i za sto tysięcy lat.

— Obyś tyle przeżył.

— No. — Pearson zniżył głos. — Już się zdecydowałem. Jak będę tak zmęczony, że nie dam rady iść, to pobiegnę na bok i dam nura w tłum. Nie odważą się strzelać. Może uda mi się zwiąć.

— To jakbyś skoczył na trampolinę. Z miejsca odrzucacie z powrotem na autostradę, żeby zobaczyć, jak się wykrwawiasz. Nie pamiętasz Percy'ego?

— Percy nie myślał. Próbował tylko uciec do lasu. Zgadza się, Percy'ego dopadli. — Popatrzył z ciekawością na Garra—ty'ego. — Nie jesteś zmęczony, Ray?

— Coś ty. Nie widzisz, że pracuję na wolnym biegu?

— Ja ledwo się trzymam. — Pearson oblizwał wargi. — Muszę strasznie się wysilać, żeby choćby myśleć. I w nogach czuję coś takiego, jakbym miał powbijane harpuny do samej...

Z tyłu zbliżył się do nich McVries.

— Scramm umiera — powiedział wprost.

— Co?! — zareagowali równocześnie Garraty i Pearson.

— Ma zapalenie płuc. Garraty skinął głową.

— Tego się bałem.

— Jego płuca słychać na dwa kroki. Można by pomyśleć, że ktoś przepuszcza przez nie Golszstrom. Jeśli dziś będzie gorąco, po prostu się wypali.

— Biedaczysko — westchnął Pearson; ton ulgi w jego głosie był jednocześnie nieświadomy i niewątpliwy. — Mógłby nas wszystkich załatwić, coś mi się zdaje. I jest żonaty. Co robi jego żona?

— A co może zrobić? — spytał Garraty.

Maszerowali blisko tłumy, nie zwracając już uwagi na wyciągnięte ręce — znaleźli właściwy dystans, kiedy już paznokcie każdemu raz czy dwa podrapały ramię do krwi. Mały chłopczyk jęczał, że chce do domu.

— Rozmawiałem ze wszystkimi — powiedział McVries. — No, prawie ze wszystkimi. Myślę, że zwycięzca powinien coś dla niej zrobić.

— Na przykład co? — spytał Garraty.

— To sprawa pomiędzy nim i żoną Scramma. A jak drań wystawi ją do wiatru, wszyscy wrócimy

i będziemy go prześladować.

— W porządku — powiedział Pearson. — Co mamy do stracenia?

— Ray?

— Zgoda. Pewnie. Rozmawiałeś z Garym Barkovitchem?

— Tym kutasem? Nie zrobiłby sztucznego oddychania własnej matce, gdyby się przytępiła.

— Ja z nim pogadam — rzekł Garraty.

— Nie dojdiesz z nim do ładu.

— Spróbuję. Teraz.

— Ray, czemu nie pogadasz i ze Stebbinsem? Zdaje się, że gada tylko z tobą. Garraty prychnął.

— Mogę ci z góry powiedzieć, co powie.

— „Nie”?

— Spyta „dlaczego”. I zanim skończy, nie będę miał zielonego pojęcia.

— W takim razie odpuść sobie.

— Nie mogę. — Garraty skierował się ku małej, przygarbionej postaci Barkovitcha. — To jedyny gość, który myśli, że wygra.

Barkovitch drzemał. Z przymkniętymi oczami i puchem zakrywającym oliwkowe policzki wyglądał jak wyświechtany pluszowy miś. Kapeluszek przeciwdeszczowy zgubił albo wyrzucił.

— Barkovitch...

Przebudził się gwałtownie, gdy Garraty go zagadnął.

— O co chodzi? Kto to? Garraty?

— Tak. Słuchaj, Scramm umiera.

— Kto? A, tamten kmiotek. Dobrze mu tak.

— Dostał zapalenia płuc. Pewnie nie wytrzyma do południa.

Barkovitch z wolna przebiegł po Garratym oczami czarnymi jak guziki u butów. Tak, tego rana przypominał misia jakiegoś sadystycznego bachora.

— Ale wyglądasz, Garraty, z tą swoją wielką szczerą obwisłą gębą. Czego?

— No cóż, może nie wiesz, jest żonaty i... Barkovitch wybałuszał oczy tak, jakby zaraz miały mu wypaść mu z oczodołów.

— Żonaty? Żonaty?! Chcesz mi powiedzieć, że ten zakuty łeb jest...

— Ciszej, dupku! On cię usłyszy!

— Zwisa mi to jak stąd do Disneylandu! To wariat! — Oburzony w najwyższym stopniu Barkovitch obejrzał się na Scramma. — Myślałeś, że co cię czeka, ty zakuty łbie, partyjka remika?!! — wrzasnął ile sił w płucach. Scramm obejrzał się na niego mętym wzrokiem i potem uniósł rękę, machając nią bezsilnie. Zapewne wziął go za kibica. Abraham, idący obok Scramma, wystawił Barkovitchowi palec. Barkovitch natychmiast odplącił mu pięknym za nadobne, po czym nagle uśmiechnął się do Garraty'ego.

— O Boże święty! To bije z twojej dużej buraczanej gęby, Garraty. Robisz zrzutkę na żonę zdychającego gościa, zgadza się? No, śliczności.

— Można cię nie liczyć, co? — powiedział sztywno Garraty. — Dobra. — Przyspieszył kroku, chciał odejść. Barkovitch złapał go za rękaw.

— Chwila, chwila. Nie odmówiłem, zgadza się? Słyszałeś, żebym odmówił?

— Nie.

— No, pewnie że nie. — Barkovitch znów się uśmiechnął, ale teraz z jakąś rozpaczą. Czupurność i zawziętość przepadły. — Słuchaj, wystartowałem z wami, chłopaki, nie tak jak trzeba. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Cholera, kiedy się mnie lepiej pozna, widać, że wcale nie jestem taki zły, zawsze startuję nie tak, jak trzeba, nigdy nie miałem za dużo kumpli. W szkole mnie nikt nie lubił. Chryste, nie wiem czemu. Kiedy się mnie lepiej pozna, wcale nie jestem taki zły, zupełnie jak wszyscy, aleja zawsze wystartuję nie tak. A na takiej imprezie trzeba mieć paru przyjaciół. Niedobrze być samemu, zgadza się? Tamten Rank... Jezu Chryste, Garraty, sam wiesz. To on zaczął, Garraty. Chciał mi dać w dupę. Dawniej, w liceum, zawsze nosiłem przy sobie brzytwę, bo różni tacy chcieli mi dać w dupę. Rank... Nie chciałem, żeby wyki—tował, to wcale nie był mój pomysł. Znaczy się, to nie moja wina. Wy, chłopaki, widzieliście tylko, jak się to skończyło, nie to, jak... dawał mi w dupę, rozumiesz... — umilkł.

— No, chyba tak. — Garraty czuł się jak hipokryta. Zbyt świeżo miał w pamięci incydent z Rankiem. — No więc, co w ogóle chcesz zrobić? Podpisujesz się pod tym pomysłem?

— Pewnie, pewnie. — Barkovitch zacisnął konwulsyjnie dłoń na rękawie Garraty'ego, ciągnąc go jak sznur dzwonek w tramwaju przed przystankiem na żądanie. — Będę jej przysyłał dość szmalu, żeby miała wszystkiego pod dostatkiem przez resztę życia. Chciałem ci tylko powiedzieć... żebyś zrozumiał... facet musi mieć jakichś przyjaciół... facet musi mieć kumpli, wiesz? Nikomu nie zależy na tym, żeby go nienawidzili, kiedy musi umrzeć. Tak to widzę. Ja... ja...

— Jasne, w porządku. — Garraty zaczął przesuwać się do tyłu, czując się jak tchórz. Nadal nienawidził Barkovitcha, ale równocześnie trochę mu współczuł. — Straszne dzięki. — Właśnie ten ludzki odruch Barkovitcha go wystraszył. Nie wiedzieć czemu.

Za bardzo zwolnił, dostał upomnienie i dopiero po dziesięciu minutach zrównał się ze Stebbinsem.

— O, Ray Garraty... Szczęśliwego trzeciego maja.

— I nawzajem.

— Liczę palce u nóg — oznajmił Stebbins tonem beztrioskiej konwersacji. — To bajeczne towarzystwo, bo zawsze wychodzi na to, że jest ich tyle samo. Co cię trapi?

Tak więc Garraty opowiadał przez jakiś czas o Scrammie i żonie Scramma, a w połowie opowieści jakiś chłopak dostał czerwoną kartkę (na plecach zniszczonej kurtki džinsowej miał nadruk: HELL'S ANGELS NA KÓŁKACH), przez co opowieść stała się mało ważna i płaska. Skończył, oczekując w napięciu, kiedy Stebbins zacznie wiwisekcję pomysłu.

— Czemu nie? — rzekł Stebbins z miłym uśmiechem. On także był zmęczony. Nawet on.

— Mówisz to tak, jakbyś nie miał nic do stracenia.

— Zgadza się — powiedział jowialnie Stebbins. — Naprawdę żaden z nas nie ma nic do stracenia. Dzięki temu łatwiej przegrać.

Te słowa były aż nadto prawdziwe. Garraty milczał przygnębiony. Ich gest wobec Scramma wypadł blado.

— Nie zrozum mnie źle, Garraty, miły druhu. Jestem trochę trzepnięty, ale nie jestem wredziem. Gdyby Scramm miał szybciej wykitować, jeśli odmówiłbym pomocy, tobym odmówił. Ale nic w ten sposób nie zyskam. Założę się, że w każdym Wielkim Marszu znajdzie się biedny kundel pokroju Scramma i zawodnicy robią podobny gest, i założę się jeszcze, że mniej więcej na tym samym kilometrze goście zaczynają dostrzegać te same fakty i prawdy o własnej śmiertelności. Za dawnych czasów, przed Zmianą i Patrolami, milionerzy zakładali fundacje, budowali biblioteki i dbali o to całe dobroczynne gówno. Każdy się jakoś chroni przed śmiertelnością, Garraty. Niektórzy ludzie potrafią sobie wmówić, że przeżyją we własnych dzieciach. Ale żadne z tych biednych zagubionych dzieci nie zostawi po sobie bękartą. — Stebbins zatoczył łuk wychudłym ramieniem, wskazując innych zawodników, i roześmiał się niewesoło. Mrugnął do Garraty'ego. — Jesteś zszokowany?

— Chyba... chyba nie.

— Ty i twój przyjaciel, McVries, wyróżniacie się pośród tej ciżby, Garraty. Nie pojmuję, jakim cudem znaleźliście się tutaj. Ale na pewno chodzi o coś głębszego, niż się wam wydaje. Jak myślisz? W nocy mówiłem poważnie? O Olsonie.

— Raczej tak — powiedział wolno Garraty. Stebbins roześmiał się zachwycony.

— Sprawileś mi wielką przyjemność, Ray. Olson nie miał żadnej tajemnicy.

— Nie wydaje mi się, żebyś stroił sobie żarty ostatniej nocy.

— O, żartowałem. Żartowałem.

— Wiesz co? Myślę, że przeżyłeś jakiś moment oświecenia i teraz usiłujesz się go wyprzeć. Może się wystraszyłeś. Oczy Stebbinsa spochmurniały.

— Myśl sobie, co chcesz, Garraty. To twój pogrzeb. A może się nie wykruszysz? Masz moją zgodę.

— Chcesz oszukać los. Może to twoje nieszczęście. Lubisz sobie wyobrażać, że zawody są ustawione. Ale może to uczciwe współzawodnictwo. To cię przeraża, Stebbins?

— Zjeżdżaj.

— No, dalej, potwierdź.

— Niczego nie potwierdzam poza twoją bezdenną głupotą. Śmiało, wmawiaj sobie, że to uczciwe zawody. — Twarz Stebbinsa nabrała kolorów. — Każde zawody wydają się uczciwe, jeśli wszyscy zostali oszukani.

— Mylisz się kompletnie — powiedział Garraty, ale teraz w jego głosie brakowało przekonania.

Stebbins uśmiechnął się przelotnie i znów opuścił wzrok. Podchodzili w górę i Garraty był cały

mokry od potu, kiedy spiesznie wracał tam, gdzie zbili się w grupkę McVries, Pear—son, Abraham, Baker i Scramm — lub dokładniej mówiąc, gdzie inni skupili się wokół Scramma. Przypominali zmartwionych sekundantów wokół poobijanego boksera.

— Jak się czuje? — spytał Garraty.

— Czemu ich o to pytasz? — odezwał się Scramm. Gorączka zmaląła, twarz miał teraz pobladałą, woskową. Jego tubalny głos zmienił się w nikły szept.

— Dobra, pytam ciebie.

— Ech, nie tak źle. — Zakaszłał. Chrapliwie, z bulgotem, jakby spod wody. — To miłe, co wy, chłopaki, robicie dla Cathy. Człowiek lubi sam opiekować się swoimi, ale nie jestem na tyle głupi, żeby teraz dumnie zadzierać nosa. Nie w tym stanie rzeczy.

— Nie mów tyle — powiedział Pearson — tracisz siły.

— Co za różnica? Teraz czy później, co za różnica? — Scramm popatrzył na nich tępo, a potem z wolna pokręcił głową. — Czemu musiałem się rozchorować? Dobrze mi szło, naprawdę dobrze. Wyraźny faworyt. Lubię iść, nawet kiedy jestem zmęczony. Patrząc na ludzi, poczuć, jak pachnie na dworze... dlaczego? Czy Bóg mi to zrobił?

— Nie wiem — rzekł Abraham.

Garraty znowu poczuł fascynację śmiercią i ogarnęło go obrzydzenie. To nie było uczciwe. Nie wobec przyjaciela.

— Która godzina? — nagle spytał Scramm. Zupełnie jak Olson.

— Dziesięć po dziesiątej — powiedział Baker.

— Jakiś trzysta dwudziesty kilometr na drodze — dodał McVries.

— Nogi mi się nie zmęczyły — powiedział Scramm. — To już coś.

Mały chłopiec wydzierał się w upojeniu na skraju drogi.

— Hej, mamuś! Patrz na tego wielkoluda! — Przenikliwy głos wybijał się ponad basowe dudnienie tłumu. — Patrz na tego łosia, mamuś! Mamuś, patrz!

Garraty wypatrzył w tłumie chłopczyka. Miał podkoszulek z Robotem Randym i wydzierał się, trzymając w dłoni kanapkę z dżemem. Scramm pomachał mu.

— Dzieciaki są miłe — powiedział. — No. Mam nadzieję, że Cathy urodzi chłopca. Oboje chcieliśmy chłopca. Dziewczynka byłaby w porządku, ale wiecie... syn zachowuje nazwisko i przekazuje dalej. Nie żeby Scramm to było jakieś wielkie nazwisko. — Roześmiał się i Garraty wspomniawszy słowa Steb—binsa o ochronie przed śmiertelnością.

Pyzaty i rumiany zawodnik w obwisłym niebieskim swetrze wyhamował przy nich z wieścią. Mike z dwójki Mike i Joe, chłopaków w skórkach, nagle dostał skurczów żołądka.

Scramm potarł czoło. Pierś podniosła mu się i opadła w spazmie głębokiego kaszlu.

— Te chłopaki mieszkają w tym samym zakątku lasu co ja. Moglibyśmy dojść razem. To Hopi.

— Mówiłeś nam o tym — rzekł Pearson. Scramm wyglądał na zaskoczonego.

— Tak? No cóż, to nie ma znaczenia. W każdym razie wygląda na to, że nie sam wyruszę w tę podróż. Ciekaw jestem...

Przyspieszył kroku. Potem zwolnił i odwrócił się do nich. Teraz robił wrażenie uspokojonego, pogodzonego z losem.

— Chyba więcej się nie zobaczymy, chłopaki. — Jego głos nie wyrażał nic prócz poczucia godności. — Do widzenia. McVries pierwszy odpowiedział.

— Do widzenia, stary. Szczęśliwej podróży.

— No, powodzenia — rzucił Pearson i odwrócił wzrok. Abraham usiłował coś powiedzieć i nie mógł. Odwrócił się blady, usta mu drżały.

— Trzymaj się — rzekł Baker z powagą.

— Do widzenia — wymamrotał Garraty zeszywniałymi wargami. — Do widzenia, Scramm, szczęśliwej podróży, miłego odpoczynku.

— Miłego odpoczynku? — Scramm uśmiechnął się lekko. — Może dopiero mam przed sobą prawdziwy Wielki Marsz.

Ruszył szybciej i zrównał się z Mike'em i Joe'em w zniszczonych skórzanych kurtkach. Mike nie dał się skurczom, nie przygięty go. Maszerował przyciskając obie ręce do brzucha. Zachowywał stałą prędkość.

Scramm z nimi rozmawiał. Wydawało się, że narada trwa bardzo długi czas.

— Co oni knują? — ze strachem szepnął do siebie Pearson.

Nagle skończyli. Scramm oddalił się trochę od Mi—ke'a i Joe'ego. Nawet z daleka Garraty słyszał jego urywany kaszel. Teraz żołnierze obserwowali całą trójkę bardzo uważnie. Joe położył rękę na ramieniu brata i mocno go uściśnął. Spojrzeli sobie w oczy. Garraty nie mógł dopatrzeć się żadnej emocji na ich twarzach jak z brązu. Mike przyspieszył trochę i zrównał się ze Scrammem.

W chwilę potem obaj zrobili nagły zwrot i ruszyli w kierunku tłumu, który, wyczuwając ich desperację, rozwrzeszczał się, rozszczepił i cofnął jak przed zarazą.

Dostali upomnienie, a kiedy dotarli do barierek ustawionych wzdłuż drogi, zrobili zgrany półobrót i stanęli twarzą do nadjeżdżającego transportera. Pokazali środkowe palce w wulgarnym geście.

— Zerznąłem ci matkę i dawała jak żadna! — krzyknął Scramm.

Mike powiedział coś w swoim języku.

Potężny okrzyk wzbijał się ponad zawodników i Garraty poczuł łyzy pod powiekami. Tłum milczał. Miejsce za Mike'em i Scrammem było puste. Dostali po drugim upomnieniu i usiedli razem, krzyżując nogi. Zaczęli spokojnie rozmawiać. A Garraty mijając ich pomyślał, że to bardzo dziwne, bo Scramm i Mike rozmawiali ze sobą każdy w innym języku.

Nie oglądają się. Nikt z nich się nie oglądają, nawet kiedy było po wszystkim.

— Ten kto wygra, oby dotrzymał słowa — rzekł McVries. — Oby.

Nikt nic nie odpowiedział.

Rozdział trzynasty

Joanie Greenblum, spuść cenę!

Johnny Olsen
The New Price Is Right

Druga popołudniu.

— Oszukujesz! — krzyknął Abraham.

— Nie oszukuję — powiedział ze spokojem Baker. — Jesteś mi winien dolar dwadzieścia, baranie.

— Nie płacę oszustom. — Abraham ścisnął mocno w dłoni dziesięć centów, które wcześniej podrzucił w powietrze.

— A ja zwykle nie gram w dyszki z facetami, którzy mnie nazywają oszustami — rzekł ponuro Baker i potem się uśmiechnął. — Ale w twoim przypadku, Abe, zrobię wyjątek. Masz tyle sposobów na wygrywanie, że po prostu nie mogę się oprzeć.

— Zamknij się i rzucaj.

— O, proszę, nie mów do mnie tym tonem! — Baker wywrócił oczami. — Mógłbym jeszcze osunąć się na ziemię i zemdleć na śmierć!

Garraty wybuchnął śmiechem.

Abraham rzucił w górę swoje dziesięć centów, złapał na przegub i zakrył.

— Twój rzut.

Baker wyrzucił wyżej swoją monetę, złapał zręcznie i, Garraty był tego pewien, trzymał ją na sztorc.

— Tym razem ty pokazujesz pierwszy — powiedział Baker.

— Nie, nie. Ostatnim razem ja pokazywałem pierwszy.

— Żeby cię pokreć, Abe, ja przedtem trzy razy z rzędu pokazywałem pierwszy. Może to ty oszukujesz.

Abraham coś mruknął, zastanowił się, a potem odsłonił swoją dyszkę. To była reszka, rzeka

Potomak w obramowaniu liści laurowych.

Baker podniósł dłonie, zerknął i uśmiechnął się. Jego dy—szka również leżała reszką w górę.

— Teraz wiesz mi dolar pięćdziesiąt.

— Ty chyba bierzesz mnie za durnia! — wrzasnął Abraham. — Bierzesz mnie za idiotę, zgadza się? No, śmiało, powiedz! Po prostu chcesz, żeby frajer splukał się do czysta, zgadza się?

Baker rozważał odpowiedź.

— Śmiało, śmiało! — ryknął Abraham. — Wytrzymam to!

— Tak się składa — odrzekł Baker — że ten problem, czy jesteś frajerem, czy nie, nigdy nie zaprzętał mojej uwagi. Jesteś jełop, to nie ulega wątpliwości. A że zostaniesz splukany do czysta — położył Abrahamowi dłoń na ramieniu — to, przyjacielu, jest pewne.

— Daj spokój. — Abraham uśmiechnął się przebiegle. — Podwójna pula na jeden rzut.

Baker rozważył propozycję. Spojrzał na Garraty'ego.

— Ray, ty byś zaryzykował?

— Co bym zaryzykował? — Garraty stracił wątek. Akurat z jego lewą nogą coś wyraźnie zaczęło być nie w porządku.

— Podwójna pula na jeden rzut przeciwko temu gościowi?

— Czemu nie? Przecież jest zbytnim baranem, żeby cię oszukać.

— Garraty, uważałem cię za przyjaciela — powiedział zimno Abraham.

— W porządku, dolar pięćdziesiąt razy dwa albo nic — rzekł Baker i właśnie wtedy lewa noga Garraty'ego zapłonęła potwornym bólem, przy którym wszystkie cierpienia ostatnich trzydziestu godzin nic nie znaczyły.

— Moja noga, moja noga, moja noga!!! — krzyczał, niezdolny się pohamować.

— O Jezu, Garraty — zdążył powiedzieć Baker, idąc dalej.

Potem mijali go, wydawało się, że mijali go wszyscy, kiedy stał w miejscu z lewą nogą zamienioną w zasupłany kawał marmuru, mijali go, zostawiali go za sobą.

— Upomnienie! Czterdziestkasiódekma, upomnienie!

Nie wpadaj w panikę. Jak wpadniesz teraz w panikę, wiesz, co cię czeka.

Usiadł na drodze, kładąc przed sobą nogę jak drewnianą protezę. Zaczął masować wielki mięsień. Usiłował go rozgnieść. Równie dobrze mógłby rozgniatać kość słoniową.

— Garraty? — To był McVries. Wydawał się przestraszony... ale to na pewno złudzenie. — Co to? Sforsowałaś sobie nogę?

— No, tak mi się zdaje. Idź. Nic mi nie będzie.

Czas. Czas biegł szybciej dla niego, ale dla wszystkich innych zdawał się czołgać, zwolnił jak przy powtórce w transmisji meczu piłkarskiego. McVries przyspieszał powoli, demonstrując jeden obcas, potem drugi, błysk startych gwoździ, krótki widok popękanej i cienkiej jak serwetka podeszwy. Barkovitch przechodził obok powoli, z uśmiechem na twarzy. Fala zastygłej ciszy powoli ogarniała tłum, sunąc w obu kierunkach od miejsca, w którym Garraty usiadł, jak wielkie szkliste grzywacze zdążające ku plaży. Mam upomnienie, pomyślał. Zaraz dostanę drugie, rusz się, nogo, rusz się, cholera! Nie chcę dostać czerwonej kartki!

— Upomnienie! Drugie upomnienie, czterdziestkasiódekma!

Myślicie, że nie umiem liczyć do trzech? Myślicie, że siedzę tu i się opalam?

Pewność śmierci, realna i nieubłagana jak fotografia, usiłowała go osiągnąć i pochłonać. Usiłowała go sparaliżować. Odsunął ją z rozpaczliwym chłodem. Męka nie do zniesienia rozrywała mu udo, ale był tak skupiony, że ledwo ją czuł. Została minuta. Nie, pięćdziesiąt sekund, nie, czterdzieści pięć, jego czas wyciekał, kończył się.

Z obojętnym, niemal nieczułym wyrazem twarzy Garraty zagłębił palce w zamarte postronki i uprężę mięśni. Ugniatał. Rozluźniał. Przemawiał do swojej nogi. Rusz się, rusz się, rusz się, cholero! Palce go rozbolały i tego też nie zauważył. Minał go Stebbins i coś mruknął. Garraty nie usłyszał, może to było życzenie powodzenia. I został sam, sam na przerywanej linii oddzielającej pasy ruchu.

Wszyscy odeszli. Cyrk właśnie opuścił miasto, zwinął namioty i wyjechał, nikt nie został, tylko ten mały Garraty pośrodku stosu pogniecionych cynfolii po cukierkach, petów papierosowych i ciśniętych w błoto jarmarcznych nagród.

Został też żołnierz, młody, jasnowłosy i przystojny. W jednej ręce srebrny chronometr, w drugiej karabin. Żadnej litości w twarzy.

— Upomnienie! Czterdziestkasiódekma, upomnienie! Trzecie upomnienie!

Mięsień ani się rozluźnił. Zaraz nadejdzie śmierć. Po tym wszystkim, po tym wypruwaniu sobie flaków, to fakt, po tej męce...

Przestał masować nogę i spokojnie patrzył na żołnierza. Zastanawiał się, kto wygra. Zastanawiał się, czy McVries przetrzyma Barkovitcha. Zastanawiał się, jak to jest, poczuć w głowie kulę, czy to będzie po prostu nagła ciemność, czy też faktycznie poczuje, jak myśli są rozrywane na strzępy.

Jeszcze kilka sekund.

Skurcz puścił. Krew napłynęła do mięśnia, tak że zamro—wił się od igieł i pinezek, rozgrzał się. Żołnierz odłożył do kieszeni chronometr. Poruszał bezgłośnie ustami, odliczając sekundy.

Aleja nie mogę się podnieść, pomyślał Garraty. Po prostu za dobrze mi się siedzi. Och, siedzieć i niech telefon sobie dzwoni, do diabła z nim, czemu nie zdjąłem słuchawki z widełek?

Głowa bezwładnie opadła mu do tyłu. Żołnierz spoglądał na niego w dół jakby z wylotu tunelu albo znad krawędzi głębokiej studni. Poruszał się w zwolnionym tempie — uchwycił broń dwiema rękami, palcem wskazującym musnął cyn—giel, lufa zaczęła obrót. Małżeńską obrączką odbiła promień słońca. Wszystko było spowolnione. Bardzo spowolnione. Tylko... niech telefon zaczeka.

Tak smakuje umieranie, pomyślał Garraty.

Żołnierz kciukiem prawej dłoni niezmiernie powoli przestawiał bezpiecznik na pozycję „wyłączony”. Trzy kościste baby stały dokładnie za nim, trzy wiedźmowate siostry, niech telefon zaczeka. Niech zaczeka chwilę, jeszcze tylko umrę. Światło słońca, cień, błękit nieba. Chmury przebiegające nad szosą. Ze Stebbinsa zostały teraz jedynie plecy, niebieska robocza koszula z paskiem potu między łopatkami, do widzenia, Stebbins.

Dźwięki zwały się na niego z ogłuszającym hukiem. Nie miał pojęcia, czy to efekt wyobraźni, wyostrzonych zmysłów czy po prostu świadomości bliskiej śmierci. Bezpiecznik osiągnął pozycję „wyłączony” z trzaskiem pękającej gałęzi. Szum powietrza wciąganego przez zęby był jak odgłos z tunelu aerodynamicznego. Serce biło jak wielki bęben. I pojawiła się jakaś wysoka nuta, nie w uszach, ale w przestrzeni między nimi, wspinająca się po spirali coraz wyżej i wyżej... Garraty był przekonany, że słyszy pracę fal mózgowych.

Z wrzaskiem zerwał się na nogi jednym konwulsyjnym skokiem. Pobiegł, pomknął. Jakby miał skrzydła u nóg. Jasnowłose żołnierz z palcem na cynglu został w tyle. Przesunął wzrok na elektroniczne urządzenie na przegubie, komputerowy gadżet, zminiaturyzowany sonar. Garraty czytał raz artykuł na ten temat w „Popular Mechanics”. Urządzenie śledziło szybkość pojedynczego zawodnika z dokładnością do czwartego miejsca po przecinku.

Żołnierz zdjął palec z cyngla.

Garraty zwolnił do szybkiego marszu, w ustach miał kompletnie sucho, serce waliło jak młotem, przed oczami latały nieregularne świetliste błyski. Przez chwilę był przekonany, że zaraz zemdleje. Błyski odleciały. Stopy, najwyraźniej rozwścieczone utratą zasłużonego odpoczynku, protestowały głośno i boleśnie. Zagryzł zęby i przetrzymał ból. Wielki mięsień w lewej nodze nadal dygotał alarmująco, ale obywało się bez utykania. Na razie.

Siedemnaście po drugiej. Przez następną godzinę od śmierci będą go dzieliły niecałe dwie sekundy.

— Powrót do krainy żywych — powiedział Stebbins, z którym się właśnie zrównał.

Garraty'ego nagle ogarnęła fala niechęci. Maszerowaliby dalej, nawet gdyby dostał czerwoną kartkę. Nikt by nie uronił łzy. Zostałyby tylko nazwisko i numer do odnotowania w oficjalnych zapiskach — GARRATY, RAYMOND, NR 47, WYELIMINOWANY NA 349. KILOMETRZE. I przez kilka dni artykuły w stanowych gazetach w dziale „Ludzie”. GARRATY NIE ŻYJE; SYN STANU MAINE ODPADŁ JAKO 61.!

— Chcę wygrać — burknął.

— Myślisz, że ci się uda?

Garraty przypomniał sobie twarz jasnowłosego żołnierza. Było w niej tyle uczucia, co w talerzu z ziemniakami.

— Wątpię — powiedział. — Zaliczyłem trzy ostrzeżenia. To oznacza, że już jestem wyeliminowany, no nie?

— Powiedzmy, że ostatnie jest w zawieszeniu — osądził Stebbins. Znów patrzył w ziemię.

Garraty przyspieszył kroku. Świadomość dwusekundo—wego marginesu bezpieczeństwa nie dawała mu spokoju, ciążyła jak kamień. Tym razem nie będzie upomnienia. Nie będzie nawet czasu, by ktoś powiedział: „Dodaj gazu, Garraty, bo zaraz zarobisz upomnienie”.

Doszedł McVriesa.

— Cześć, Ray, myślałem, że wyskoczyłeś z gry.

— Też tak myślałem.

— Tak mało brakowało?

— Dwóch sekund, zdaje się. McVries złożył usta jak do gwizdu.

— Nie chciałbym być na twoim miejscu. Jak noga?

— Lepiej. Słuchaj, teraz nie nadaję się do gadania. Skoczę do przodu na jakiś czas.

— Harknessowi nic to nie pomogło.

— Ale muszę być pewien, że utrzymuję tempo.

— W porządku. Potrzebujesz towarzystwa?

— Jeśli masz energię. McVries zaśmiał się.

— Mam czas, jeśli ty masz pieniądze, kotku.

— No to gazu. Chodźmy, póki jeszcze mam chętkę.

Garraty przyspieszał, aż nogi prawie mu odmówiły posłuszeństwa. Razem z McVriesem szybko wysunęli się na czoło. Minęli Harolda Quince'a, brzydkiego chłopaka, tyczkowatego i niezdarnego, który szedł jako drugi, i zrównali się z Joem. Jego twarz, widziana z bliska, okazała się zaskakująco ciemnobrązowa. Oczami bez wyrazu wpatrywał się w horyzont. Wiele zasuwek od zamków błyskawicznych przy skórzanej kurtce dźwięczało jak pogłos dalekiej muzyki.

— Witaj, Joe — powiedział McVries i Garraty miał histeryczną ochotę dodać: „Skądżeś się wziął?”.

— Cześć — rzekł krótko Joe.

Minęli go i teraz do nich należała droga, szeroki dubeltowy pas zbrojonego betonu, poplamiony olejem i rozdzielony trawiastym pasem, ograniczony z obu stron jednolitym murem ludzi.

— Naprzód, naprzód — powiedział McVries. — Żołnierze Chrystusa, w bitewny idźcie znój*. Słyszałeś to kiedyś, Ray?

— Która godzina?

McVries zerknął na zegarek.

— Druga dwadzieścia. Słuchaj, Ray, jak zamierzasz...

— Boże, dopiero? Myślałem... — Panika narastała w gardle, tłusta i gęsta. Nie da rady. Margines po prostu był za wąski.

— Słuchaj, jak bez ustanku będziesz myślał o czasie, to ześwirujesz, spróbujesz ucieczki w tłum i zastrzelą cię jak psa. Umrzesz z wywieszonym językiem, ze śliną ciekącą po brodzie. Staraj się o tym zapomnieć.

— Nie mogę. — Wszystko się w nim kotłowało, było mu gorąco i mdło. — Olson... Scramm... zginęli. Davidson zginął. Ja też mogę zginąć, Pete. Tak mi się teraz zdaje. Kostucha dyszy mi w kark!

— Myśl o swojej dziewczynie. O Jan. O matce. Albo o twojej cholernej kotce. Albo nie myśl o niczym. Po prostu podnoś i stawiaj giry. To łatwe, jakbyś zrywał i zaliczał dziwy. Idź. Skoncentruj się na tym.

Garraty starał się opanować. Może nawet trochę mu się udawało. Niemniej jednak się sypał. Nogi nie chciały już go słuchać.

— Nie pociągnie długo — powiedziała dość głośno jakaś kobieta w pierwszym rzędzie.

— Żebyś ja ciebie nie pociągnął za balony! — warknął do niej Garraty i tłum wznosił owację na jego cześć. — Oni są popieprzeni — zamruczał Garraty. — Oni są naprawdę popieprzeni. Perwersy. Która godzina?

— Co zrobisz, jak dostałeś kartę uczestnika? — spytał łagodnie McVries. — Co zrobisz, kiedy się dowiedziałeś, że jesteś w tym na mur?

Garraty zmarszczył brwi, szybko przejechał przedramieniem po czole, a potem uciekł myślami od tej kąpiącej potem, straszliwej terażniejszości i zanurzył w tamtym nagłym, niespodziewanym błysku.

— Byłem sam. Matka w pracy. To był piątek po południu. Karta przyszła w kopercie ze stemplem Wilmington, stan Delaware, więc wiedziałem, co to jest. Ale byłem przekonany, że zawałem sprawnościowy albo pisemny, albo oba. Musiałem dwa razy przeczytać swoje nazwisko na karcie. Nie dostałem fioła z radości, ale byłem zadowolony. Naprawdę zadowolony. I pewny siebie. Wtedy stopy mnie nie bolały i nie miałem wrażenia, że ktoś wbił mi w plecy bronę. Byłem jeden na

* Wiersz Sabiny Baring-Gould (1834-1924)

milion. Zabrakło mi rozumu, żeby zdać sobie sprawę, że kobieta—góra z cyrku też.

Przerwał na chwilę, przypominając sobie dzień z początku kwietnia.

— Nie mogłem się wycofać. Tylu ludzi czekało, co zrobię. Myślę, że to musi działać na wszystkich prawie tak samo. Wiesz, to jeden z ich sposobów ustawiania gry. Nic nie zrobiłem do tej granicznej daty, piętnastego kwietnia, pozwoliłem jej minąć, a następnego dnia wydano wielki bankiet na moją część w sali ratuszowej — byli tam wszyscy moi przyjaciele i po deserze wszyscy zaczęli się drzeć: „Mowa! Mowa!”. Wstałem i wymamrotałem coś ze spuszczoną głową, że zrobię wszystko co w mojej mocy, i wszyscy bili brawo jak szaleni. Można by pomyśleć, że mają przed sobą Lincolna recytującego mowę gettysburską. Wiesz, o co mi chodzi?

— Jasne, wiem. — McVries roześmiał się, ale wzrok miał mroczny.

Za ich plecami nagle zahuczały karabiny. Garraty podskoczył konwulsyjnie i niemal zamarł w miejscu. Jakoś udało mu się iść dalej. Tym razem to ślepy odruch, pomyślał. A następnym?

— To był Joe — powiedział cicho McVries.

— Która godzina?

Zanim McVries zdołał odpowiedzieć, Garraty przypomniał sobie, że sam ma zegarek. Była druga trzydzieści osiem. Chryste! Dwusekundowy margines ciążył mu na ramionach jak żelazna, sztanga.

— Nikt nie próbował ci tego wyperswadować? — spytał McVries. Teraz byli daleko przed resztą, ponad sto metrów przed Haroldem Quince'em. Wyznaczono żołnierza, który miał na nich oko. Garraty był zadowolony, że to nie tamten jasnowłosy. — Miałeś prawo zrezygnować do trzydziestego kwietnia. Nikt nie próbował cię na to namówić?

— Nie na początku. Matka, Jan i doktor Patterson... to przyjaciel matki, wiesz, są razem od jakichś pięciu lat... początkowo chodzili wokół tego na palcach. Byli zadowoleni i dumni, bo większość dzieciaków w kraju mających ponad dwanaście lat przystępuje do egzaminów, ale tylko jeden na pięćdziesięciu przechodzi. I dalej mają tysiące dzieciaków, a mogą wytypować tylko dwie stowy... stowę zawodników i stowę rezerwowych. I sam wiesz, że to żadna sztuka zostać wytypowanym.

— Pewnie, ciągną nazwiska z bębna. Wielki spektakl telewizyjny. — McVriesowi trochę złamał się głos.

— No. Major losuje dwieście nazwisk, ale to wszystko. Nie wiesz, czy jesteś na serio zawodnikiem, czy tylko rezerwowym.

— I żadnego potwierdzenia, dopóki nie upłynie termin zgłaszania rezygnacji — przytaknął McVries, mówiąc to tak,

jakby ten termin minął lata temu, a nie zaledwie przed czterema dniami. — No, lubią puszczać karty w tas po swojemu. Ktoś w tłumie wypuścił chmurę balonów, czerwonych, błękitnych, zielonych, żółtych. Wiatr unosił je w dal.

— Chyba tak — powiedział Garraty. — Oglądaliśmy w telewizji, jak major losuje nazwiska. Wyciągnął moje z bębna jako siedemdziesiąte trzecie. Spałem z fotela. Po prostu nie mogłem uwierzyć.

— Tak, to nie mogłeś być ty — przytaknął McVries. — Takie rzeczy zawsze trafiają się innym.

— No, tak to właśnie czułem. Wtedy wszyscy dobrali się do mnie. Już nie było jak przy pierwszym terminie składania rezygnacji, kiedy tylko kadzono mi i dosłyszano do wyrzucania. Jan...

Przerwał. Czemu? Powiedział już prawie wszystko. Albo sam nie dożyje końca, albo McVries. Pewnie obaj.

— Jan powiedziała, że zrobi ze mną wszystko. Kiedy zechcę, jak zechcę, ile razy zechcę, jeśli skorzystam z ostatniego terminu rezygnacji. Powiedziałem jej, że wtedy będę się czuł jak oportunistą i łajdak, a ona się wściekła. Mówiła, że to lepsze niż być martwym, a potem bardzo płakała. I błagała mnie... Gdyby poprosiła mnie o cokolwiek innego, próbowałbym to zrobić. Ale tego właśnie... nie mogłem. Nie mogłem zadzwonić pod numer osiemset. Po jakimś czasie chyba zaczęła rozumieć. Może ja też, co nie było... nie jest... najlepsze.

Potem dobrał się do mnie doktor Patterson. Jest diagnostą i ma wredny logiczny umysł. Mówił: „Słuchaj, Ray. Licząc zawodników i rezerwowych, twoje szansę przeżycia są jak jeden do pięćdziesięciu. Nie rób tego swojej matce”. Byłem wobec niego uprzejmy, dokąd się dało, ale wreszcie powiedziałem, żeby się pocałował w nos. Powiedziałem mu, że jego szansę na ślub z moją matką są bardzo marne, ale nigdy nie zauważyłem, żeby zrezygnował z tego powodu.

Garraty przeciągnął rękami po szopie, jaką miał na głowie. Zapomniał o dwusekundowym

marginesie.

— Boże, ale się wściekł. Szalał. Powiedział, że jeśli chcę złamać serce matce, to proszę bardzo. Że jestem pozbawiony uczuć, jak... kleszcz, tak, chyba jak kleszcz, może to jakieś rodzinne powiedzenie, nie wiem. Spytał, jak się czuję, wycinając taki numer mamie i takiej miłej dziewczynie jak Jan. Więc skontrolowałem go moją bezsporną logiką.

— Tak? — mruknął McVries, uśmiechając się. — A co to było?

— Powiedziałem mu, że jak się nie wyniesie, to mu przyłożę.

— A co na to wszystko twoja matka?

— Nie mówiła wiele. Chyba nie mogła w to uwierzyć. I myślała o tym, co dostanę, jeśli wygram. Nagroda... czego dusza zapagnie przez resztę życia... to jakoś ją zaślepiło. Mój brat, Jeff, umarł na zapalenie płuc, kiedy miałem sześć lat i... to okrutne... ale nie wiem, jak byśmy dawali sobie radę, gdyby żył. I... chyba wciąż myślała, że uda mi się z tego wycofać, kiedy okaże się, że jestem w grupie zawodników. Pocieszała się: „Major to taki miły człowiek. Jestem pewna, że pozwoli ci zrezygnować, skoro tylko zrozumie okoliczności”. Ale oni potrafią spatrolować tak samo szybko za próbę wycofania się z Wielkiego Marszu, jak i za występowanie przeciwko niemu. A potem dostałem telefon i wiedziałem, że jestem zawodnikiem.

— Ja nie byłem.

— Nie?

— Nie. Dwunastu wybranych zawodników skorzystało z możliwości rezygnacji do trzydziestego kwietnia. Ja byłem dwunasty na liście rezerwy. Dostałem telefon tuż po jedenastej wieczorem cztery dni temu.

— Jezu! Naprawdę?

— Aha. W ostatniej chwili.

— Nie czujesz z tego powodu... goryczy?

McVries tylko wzruszył ramionami.

Garraty spojrział na zegarek. Trzecia dwie. Wszystko się ułoży. Jego cień, wydłużony w popołudniowym słońcu, sunął po szosie z nieco większą pewnością siebie. Był miły, świeży wiosenny dzionek.

— Pete, czy wciąż myślisz, że mógłbyś po prostu... usiąść? Przeżyłeś większość z nich. Sześćdziesięciu jeden.

— Myślę, że nie liczy się to, ilu ją przeżyję, czy ilu ty przeżyłeś. Nadchodzi czas, kiedy ci się odechciewa. Dawniej bawiłem się świetnie, pacykując farbami olejnymi. I moje obrazy były niezłe. Wtem jednego dnia... koniec. Nie doszedłem do tego stopniowo, po prostu przestałem. Jednego wieczora poszedłem spać lubiąc malować, a kiedy się obudziłem, było mi to obojętne jak zeszłoroczny śnieg.

— Trzymanie się życia ciężko sklasyfikować jako hobby.

— A co z nurkowaniem? Polowaniem na grubego zwierza? Wspinaczką wysokogórską? A pomyśl o jakimś półgłówku robolu, dla którego jedyną rozrywką jest prowokowanie bójek w sobotni wieczór. Musisz przyznać, że trzymanie się życia to prawdziwe hobby. Tak już jest.

Garraty nic nie powiedział.

— Lepiej podkręć trochę tempo — rzekł łagodnie McVries. — Szybkość nam spada. Nie możemy sobie na to pozwolić. Garraty przyspieszył.

— Mój tato jest współwłaścicielem zajezdnego kina pod gołym niebem — mówił McVries. — Zamierzał mnie związać i zakneblować w piwnicy pod stoiskiem spożywczym, żeby mnie zatrzymać, bez względu na Patrole.

— Co zrobiłeś? Wymęczyłeś zgodę?

— Nie było na to czasu. Od tamtego telefonu miałem tylko dziesięć godzin. Podstawili na lotnisku na wyspie Presque samolot i samochód z wypożyczalni. Ojciec szalał, wściekał się, a ja tylko potakiwałem. Nie minęło wiele czasu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła mama. Na werandzie stało dwóch największych, najgroźniej wyglądających żołnierzy, jakich widziałem na oczy. Chłopie, byli tak brzydzy, że zegary mogły stawać na ich widok. Tacie wystarczyło jedno spojrzenie na nich i powiedział: „Pete, idź na górę i spakuj swój skautowski plecak”. — McVries podrzucił plecak, który miał na ramionach, i roześmiał się na wspomnienie tamtej chwili. — I zanim się obejrzelśmy, siedzieliśmy w tym samolocie, nawet moja młodsza siostra, Katrina. Ma tylko cztery lata. Wylądowaliśmy o trzeciej rano i pojechaliśmy do słupka startowego. I wydaje mi się, że tylko

Katrina rozumiała, co się dzieje. Powtarzała: „Pete idzie na wyprawę”. — McVries machnął dziwnie dłońmi, jakby chciał klasnąć. — Zostali w motelu na wyspie. Nie chcą wracać do domu, dopóki się to nie skończy. Tak czy inaczej.

Garraty spojrzął na zegarek. Trzecia dwadzieścia.

— Dzięki — powiedział.

— Bo znowu uratowałem ci życie? — McVries roześmiał się pogodnie.

— Tak, właśnie za to.

— Jesteś pewien, że to przysługa?

— Nie wiem... — Garraty przerwał. — Ale ci coś powiem. Teraz zupełnie inaczej myślę o limicie czasu. Nawet kiedy nie

masz żadnych upomnień, tylko dwie minuty dzielą cię od tego, co jest za murem cmentarnym. To niedużo.

Jakby tę scenę ktoś wyreżyserował, huknęły karabiny. Trafiony chłopak wydał cienki gulgot, niczym indyk złapany nagle przez skradającego się gospodarza. Tłum zaszemrał — mogło to być westchnienie, jęk albo wyraz seksualnej rozkoszy.

— Tak, dwie minuty to zupełnie nic — zgodził się McVries.

Szli. Cienie się wydłużały. Na ludziach w tłumie pojawiały się ciepłe kurtki, jakby magik wyczarował je z obleczonego jedwabiem cylindra. Raz Garraty poczuł ciepły zapach dymu fajkowego, który przywołał gorzko—słodką pamięć o ojcu. Mały piesek uciekł komuś z objąć i wybiegł na drogę. Ciągnął za sobą czerwoną plastikową smycz, wywalił różowy język, piana ściekała mu z pyszczka. Ujadał, gonił w kółko za swoim ogonem i dostał kulę, bo rzucił się na Pearsona, który z goryczą skłął strzelającego żołnierza. Siła wielkiego pocisku odrzuciła zwierzę na obrzeże tłumy i leżało tam, z zamglonymi oczami, dysząc i dygocąc. Mały chłopczyk minął policję, jak błędny wyszedł na lewy pas jezdni i stał tam, płakał. Podszedł do niego żołnierz. Matka wrzasnęła przeraźliwie z tłumy. Przez jeden przerażający moment wydawało się, że żołnierz zaraz zastrzeli chłopca, tak jak psa, ale obojętnie odepchnął chłopca w tłum.

O szóstej słońce dotknęło horyzontu i pokryło oranżem zachodni horyzont. Ochłodziło się. Widzowie przytupywali i rozcierali dłonie. Collie Parker zgłosił swoje zwykłe zażalenie pod adresem stanu Maine na jego cholerną pogodę.

Za kwadrans dziewiąta będziemy w Auguście, pomyślał Garraty. Stamtąd dwa kroki do Newport. Ogarnęła go depresja. Co wtedy? Dwie minuty będziesz mógł na nią patrzeć, chyba że — Boże broń! — przegapisz ją w tłumie. Co potem? Załamiesz się?

Nagle ogarnęła go pewność, że Jan i matka w ogóle nie przyjdą. Ujrzy tylko kolegów z budy, spragnionych widoku samobójcy, który objawił się spośród nich. I Koło Pomocy Pań, które wydało podwieczorek na jego cześć, na dwa wieczory przed startem. W tamtych zamierzchłych czasach.

— Zaczniemy przesuwać się do tyłu — zaproponował McVries. — Powoli. Dołączymy do Bakera. Razem wejdziemy do Augusty. Pierwotni trzej muszkietierowie. Co ty na to?

— Zgoda — powiedział Garraty. To zapowiadało się dobrze.

Przesuwali się w tył, po troszeczkę, zostawiając ponuremu Haroldowi Quince'owi miejsce na czele. Wiedzieli, że są znów wśród swoich, kiedy z gęstniejącego mroku rozległ się głos Abrahama:

— W końcu postanowiliście wrócić i odwiedzić nas, biedaków?

— Jezu, on naprawdę wygląda jak on — powiedział McVries, wpatrując się w znużoną twarz Abrahama pokrytą trzydniowym zarostem. — Zwłaszcza w tym świetle.

— Osiemdziesiąt i siedem lat temu — zaintonował śpiewnie Abraham i przez jedną niesamowitą chwilę miało się wrażenie, że jest opętany — nasi ojcowie wybrali się na ten kontynent... ach, cholera. Zapomniałem reszty. Kto chciał mieć szóstkę z historii w ósmej klasie, musiał to wykuć na pamięć.

— Oblicze Ojca Założyciela i mentalność syfilitycznego osła — rzekł ze smutkiem McVries. — Abraham, jak wpakowałeś się w tę wyzmaczkę do jaj?

— Na chama — odparł prosto z mostu Abraham. Chciał mówić dalej, ale przeszkodziły mu karabiny. Rozległ się znajomy łomot worka z pocztą.

— To był Gallant — powiedział Baker, obejrzawszy się. — Przez cały dzień szedł ledwo żywy.

— Wpakował się na chama — rzekł z namysłem Garraty i roześmiał się.

— Jasne — powiedział Abraham. Przeciągnął dłonią po policzku i podrapał głęboką zapadlinę pod okiem. — Pamiętacie wypracowanie na egzamin?

Wszyscy skinęli twierdząco. Wypracowanie pod tytułem: „Dlaczego uważasz, że kwalifikujesz się do Wielkiego Marszu?” było standardową częścią pisemnej połowy egzaminu. Garraty poczuł gorący strumyczek na prawej pięcie. Krew? Ropa? Pot? Czy wszystko razem? Nie czuł bólu, chociaż miał wrażenie, że skarpetka jest tam przetarta.

— To było tak — ciągnął Abraham. — Nie czułem się specjalnie kwalifikowany do uczestnictwa w czymkolwiek. Zaszedłem na egzamin zupełnie przypadkiem. Wybrałem się do kina, a po drodze była sala gimnastyczna, w której robili egzamin. Żeby wejść, trzeba mieć kartę pracy, wiecie. Tak się złożyło, że miałem ją przy sobie tamtego dnia. Gdybym jej nie miał, nie chciałoby mi się wracać do domu. Poszedłbym

do kina i nie byłoby mnie tutaj, nie umierałbym w takiej wesołej kompanii.

Trawili to w milczeniu.

— Odwaliłem sprawnościowy, przeleciałem pytania jak rakietą i patrzę, a tu kwestionariusz kończy się trzema pustymi stroniczkami. „Prosimy odpowiedzieć na to pytanie obiektywnie i szczerze, używając nie więcej niż 1500 słów”. O, tu mnie mają, pomyślałem. Reszta była prosta. Same głupie pytania.

— Aha — zgodził się Baker. — Jak często się wypróżniasz? Czy kiedykolwiek zażywałeś tabaki?

— Tak, tak, właśnie takie były pytania. Ja bym nie potrafił żadnego powtórzyć. Zasuwałem jak rakietą, wstawiając kit jak należy, wiecie, i doszedłem do wypracowania. Dlaczego czuję się kwalifikowany do uczestnictwa. Nic nie przychodziło mi do głowy. A tu jakiś drań w wojskowej kurtce przechodzi obok i mówi: „Pięć minut. Czy wszyscy skończyli?”. Więc po prostu walnąłem: „Uważam, że się kwalifikuję na uczestnika Wielkiego Marszu, bo jestem wielkim s... synem i świat będzie lepszy beze mnie, chyba że wygram, stanę się bogaty i wtedy kupię sobie Van Gosia do każdego pokoju w mojej rezydencji i zamówię sześćdziesiąt koniów pierwsza klasa i nie będę nikomu truł d...”. Zastanawiałem się nad tym przez jakąś chwilę i dodałem w nawiasie: „(I dam też wszystkie moje sześćdziesiąt koniów pierwsza klasa domom spokojnej starości)”. Myślałem, że się przekręca, jak to przeczytają. A tu po miesiącu, kiedy już zapomniałem o całej sprawie, dostaję list, że się zakwalifikowałem. Cholera, mało się nie spuściłem w dzinsy.

— I nie zmieniłeś zdania? — naciskał go Collie Parker.

— No, trudno to wytłumaczyć. Każdy myślał, że to świetny kawał. Moja dziewczyna chciała, żeby sfotografować tamten list i żeby zrobiono jej taki nadruk na podkoszulkę, jakby myślała, że wyciąłem dowcip stulecia. Wszyscy zachowywali się tak samo. Klepali mnie po plecach i mówili coś w rodzaju: „Hej, Abe, to ci się udało złapać majora za jaja”. Było kapitalnie, a ja nie chciałem im psuć zabawy. — Abraham uśmiechnął się upiornie. — Naprawdę kupa śmiechu z tego wyszła. A potem obudziłem się pewnego ranka i byłem na liście. Byłem szesnasty z bębna. Tak więc wyszło na to, że to major złapał mnie za jaja.

Łamiący się okrzyk przebiegł wśród zawodników. Garra—ty podniósł głowę. Wielka oświetlona tablica głosiła: AUGUSTA 10.

— Można umrzeć ze śmiechu, co? — powiedział Collie. Abraham przyglądał się Parkerowi przez długi czas.

— Ojca Założyciela to wcale nie bawi — rzekł głucho.

Rozdział czternasty

I pamiętajcie, jeśli zrobicie gest rękami lub w jakiś inny sposób dacie znak, lub wymknie się wam choć słówko, pożegnacie się z szansą na dziesięć tysięcy dolarów. Tylko podajcie listę.

Powodzenia.

Dick Clark

The Ten Thousand Dollars Pyramid

Wszyscy zgodzili się, że ich nerwy straciły zdolność reagowania. Ale to nieprawda, myślał ze znużeniem Garraty. Jak zszarpane struny gitary, która trafiła w ręce nieczułego szarpidruta, ich nerwy reagowały fałszywie, niezbornie, chaotycznie. Auguste zostawili w tyle. Szli w huczącej ciemności.

Augusta nie przypominała Oldtown. Oldtown to udawany, wsiowy Nowy Jork. Augusta to miasto jak się patrzy, raz w roku pełne szalonych hulaków, jedno tańczące śródmieście z milionem moczymordów, wariatów i kompletnych maniaków.

Słyszeli Auguste i widzieli Auguste na długo przedtem, zanim do Augusty dotarli. Garraty'emu wciąż narzucało się skojarzenie z falami bijącymi o odległy brzeg. Usłyszeli tłum osiem kilometrów wcześniej. Niebo rozjaśniło się pastelowym blaskiem, przerażającym i apokaliptycznym, przypominającym Garraty'emu zdjęcia z podręczników historii —niemieckie naloty na wschodnie wybrzeże Ameryki w ostatnich dniach drugiej wojny światowej.

Spoglądali po sobie niespokojnie i zbijali się w ciasne grupki, jak mali chłopcy podczas burzy lub stado krów podczas zadymki. W tym rosnącym wyciu tłumy była czerwień surowego mięsa. Był paraliżujący głód. Garraty miał nieodpartą, przerażającą wizję tłumy, wielkiego boga, który wyłazi z basenu Augusty na szkarłatnych pajęczych odnóżach i pożera ich żywcem.

Samo miasto zostało połknięte, zaduszone i pogrzebane. Nie było Augusty, nie było już tłustych pań, ślicznych dziewcząt, nadętych mężczyzn, posikanych dzieci machających wielkimi kłębami cukrowej waty. Nie było żadnych przedsiębiorczych Włochów rzucających ósemkami arbuza. Tylko tłum; stwór bez ciała, bez głowy. Tłum był głosem i okiem. Był zarówno Bogiem, jak i Mamoną. Garraty to czuł. Wiedział, że inni też to czują. Mieli wrażenie, że maszerują pod linią wysokiego napięcia. Mrowienie rozchodzi się po całym ciele, włosy stają dęba, język dygoce zeszywniały w ustach, gałki oczne trzeszczą i sypią iskry, kiedy przewracają się w wilgotnych oczodołach. Tłum trzeba zadowolić. Tłum trzeba czcić i trzeba się go lękać. W końcu — trzeba złożyć mu ofiarę.

Brnęli po kolana w konfetti. Gubili się nawzajem i odnajdywali w płachtach kurzawy czasopism porwanych na paski. Garraty złapał na oślep jakiś papier i niespodziewanie zobaczył przed sobą reklamę podręcznika kulturystyki Char—lesa Atlasa. Złapał inny kawałek i znalazł się twarzą w twarz z Johnem Travolta.

W chwili szczytowego podniecenia dwa potężne szperacze rozcięły powietrze snopami światła i niczym halucynacja objawił się major, salutujący w dzipie, sztywny jak kulek w płocie, niewiarygodnie, fantastycznie obojętny na rozszalały tłum kłębiący się wszędzie wokół.

Zawodnicy mieli nerwy tak stargane, że reagowały całkowicie fałszywą melodią. Wszystkich trzydziestu siedmiu, którzy przeżyli, wiwatowało ochryplymi i absolutnie niesłyszalnymi głosami. Tłum nie mógł wiedzieć, że wiwatują, ale jakoś wiedział, że krąg między uwielbieniem śmierci a pragnieniem śmierci zamknął się na kolejny rok, i tłum zwariował kompletnie, miotał się w konwulsjach. Garraty miał ostrą kolkę w lewym boku, a mimo to nie potrafił się powstrzymać od wiwatów, chociaż rozumiał, jak wiele ryzykuje.

Uratował ich Milligan o rozlatanych oczach. Padł na kolana, zacisnąwszy kurczowo powieki i przyciskając dłonie do skroni, jakby chciał przytrzymać wyrywający się z czaszki mózg. Zarył nosem w drogę, zdzierając go sobie, co przypominało rysowanie miękką kredą po twardej tablicy (Niesamowite, pomyślał Garraty. Ten chłopak wyciera sobie nos o drogę), po czym został miłosiernie rozwalony. Wtedy zawodnicy przestali wiwatować. Garraty nielicho wystraszył się kolką, który ustępowała bardzo opornie. Obiecał sobie, że koniec z wariactwem.

— Zbliżamy się do twojej dziewczyny? — spytał Parker z zazdrością. Nie zmiękł, ale złagodniał. Teraz Garraty nawet go lubił.

— Jakież osiemdziesiąt kilometrów. Może dziewięćdziesiąt. Plus minus.

— Fartowny z ciebie skurwiel.

— Tak...? — Garraty był zaskoczony. Sprawdził, czy Parker się z niego śmieje. Parker się nie śmiał.

— Zobaczysz swoją dziewczynę i matkę. A ja? Nikogo oprócz tych świń. — Wskazał tłum, który chyba odebrał jego gest jako pozdrowienie i wiwatował nieprzytomnie. — Chcę do domu — powiedział. — I boję się. — Nagle wrzasnął na tłum: — Świnie! Wy świnie!

Ludzie wiwatowali jeszcze głośniejsze.

— Też się boję. I chcę do domu. Ja... znaczy się, my... —Garraty szukał słów. — Wszyscy jesteśmy daleko od domu. Zaszliśmy zbyt daleko. Może je zobaczę, ale nic więcej.

— Regulamin mówi...

— Wiem, co mówi regulamin. Kontakty z kim zechcesz, byłeś tylko nie opuszczał drogi. Ale to nie to samo. Jakby stał mur.

— Łatwo ci mówić. I tak je zobaczysz.

— Może to tylko pogorszy sprawę — powiedział McVries. Po cichu zbliżył się z tyłu. Właśnie mijali ostrzegawcze światła na skrzyżowaniu Winthrop. W nawierzchni odbijały się przerażające żółte ślepia, otwierające i zamykające powieki.

— Wszyscyście zwariowali — rzekł spokojnie Parker. — Zjeżdżam stąd. — Przyspieszył i niebawem znikł w migocących cieniach.

— On myśli, że jesteście pędzie, że lecimy na siebie — stwierdził rozbawiony McVries.

— Co?!

— Może nawet ma trochę racji — rzekł McVries z namysłem. Żartobliwie uniósł brew i puścił oko. — Może dlatego uratowałem ci tyłek. Może lecę na ciebie.

— Na mnie?! Myślałem, że wy, perwersy, lubicie takich bardziej wiotkich. — A jednak Garraty poczuł się niewyraźnie.

Nagle McVries przyprawił go o wstrząs, bo spytał:

— Mogę ci zwalić gruchę? Dałbyś mi? Garraty nabrał powietrza ze świstem.

— Do diabła...

— Och, zamknij się — powiedział ze złością McVries. — Jak chcesz dociągnąć, mydląc oczy sobie i innym takim faryzej—skim gównem? Nawet nie zamierzam ułatwiać ci życia, mówiąc, czy żartowałem. I co ty na to?

Garraty poczuł w gardle kluchę. Rzecz w tym, że chciał, żeby go ktoś dotknął. Choćby i pedzio, to nie liczyło się teraz, kiedy wszyscy padali jak muchy. Liczył się tylko McVries.

— Hm, no cóż, faktycznie uratowałeś mi życie... — Garraty zawiesił głos.

McVries roześmiał się.

— I powinienem czuć się jak łachmaniarz, bo masz wobec mnie dług wdzięczności i to wykorzystuję, tak?

— Rób, co chcesz — powiedział krótko Garraty. — Ale skończ te gierki.

— Czy to znaczy „tak”?

— Co chcesz! — krzyknął z pasją Garraty. Pearson, który wpatrywał się niemal zahipnotyzowany w ziemię, podniósł wzrok, zaskoczony. — Co chcesz, do cholery! — krzyknął Garraty.

McVries znów się roześmiał.

— Jesteś w porządku, Ray. Nigdy nie miałem wątpliwości. — Klepnął Garraty'ego w ramię i zwolnił, został w tyle. Garraty obejrzał się za nim, nie wiedząc, co myśleć.

— Jemu po prostu nigdy nie jest dość — powiedział ze znużeniem Pearson.

— Co?

— Prawie czterysta kilometrów — jęknął Pearson. — Nogi mam jak z ołowiu nasączonego trucizną. Plecy mnie palą. I ten popieprzony McVries nie ma jeszcze dość. Jest jak głodujący facet wpierniczający środki na przeczyszczenie.

— Myślisz, że on prowokuje? Chce, żeby mu ktoś przyłożył?

— Jasne! Powinien nosić tablicę: BIJCIE MNIE MOCNO. Zastanawiam się, za co chce odpokutować.

— Nie wiem — powiedział Garraty. Zamierzał jeszcze coś dodać, ale Pearson już nie słuchał. Znów wbił oczy w ziemię, twarz mu znieruchomiła w maskę grozy. Stracił buty. Jego brudne frotowe skarpetki wyglądały w ciemności jak szaro—białe zakola.

Minęli tablicę LEWISTON 51, a półtora kilometra dalej łuk z napisem z żarówek, które tworzyły napis: GARRA—TY 47.

Garraty chciał się zdrzemnąć, ale nie mógł. Rozumiał Pearsona, kiedy tamten mówił o plecach. Miał wrażenie, że jego własny kręgosłup zamienił się płonący pałąk. Mięśnie z tyłu nóg były piekącymi ranami. Odrętwienie w stopach ustąpiło miejsca rozdzierającemu bólowi. Nie był już głody, ale mimo to zjadł trochę koncentratów. Kilku zawodników zmieniło się w obciążone skórą szkielety — koszmary z obozu koncentracyjnego. Garraty nie chciał stać się taki jak oni... ale oczywiście i tak się stał. Przeciągnął ręką po żebrach jak po ksylofonie.

— Ostatnio nic nie słyszałem o Barkovitchu — powiedział, usiłując wyrwać Pearsona z jego straszego skupienia, bo zbyt przypominał Olsona.

— Ktoś mówił, że dostał skurczu w nodze, kiedy przechodził przez Auguste.

— I to prawda?

— Tak gadali.

Garraty poczuł nagłą nieprzepatą ochotę, by przesunąć się do tyłu i rzucić okiem na Barkovitcha. W ciemności poszukiwania nie były łatwe i dostał upomnienie, ale wreszcie go dojrzał. Barkovitch szedł niemal na końcu. Przemykał się zrywami, twarz miał ściągniętą i skupioną. Oczy zmrużył do tego stopnia, że wyglądały jak dziesięciocentówki postawione na sztorc. Kurtkę gdzieś zgubił. Mówił do siebie cicho, z wysiłkiem, monotonicznie.

— Cześć, Barkovitch — powiedział Garraty. Barkovitch zadygotał, potknął się i został upomniany... po raz trzeci.

— No proszę! — wrzasnął piskliwie. — No proszę! Widzisz, coś narobił? Jesteście zadowoleni, ty i ten twój pierdzielony kumpel?

— Niedobrze wyglądasz — powiedział Garraty. Barkovitch uśmiechnął się chytrze.

— To wszystko jest zaplanowane. Pamiętasz, jak ci o tym mówiłem? Nie wierzyłeś. Olson też nie. Ani Davidson. Ani Gribble. — Barkovitch aż się zapluł. — Garraty, zatańczyy—łem na ich grobach!

— Noga cię boli? — zapytał cicho Garraty.

— Tylko trzydziestu pięciu do wdeptania w ziemię. Jeszcze tylko jedna noc. Przekonasz się. Kiedy słońce wszędzie, na drodze zostanie nie więcej niż tuzin. Przekonasz się. Ty i twoi nadęci kumple, Garraty, wszyscy będziecie zimne trupy do rana. Do północy.

Garraty nagle poczuł się bardzo silny. Wiedział, że Bar—kovitch już wkrótce się wykończy. Chciał z miejsca ruszyć biegiem — choć kłuł go pęcherz, bolał kręgosłup, stopy przyprawiały o torturę — ruszyć biegiem i powiedzieć McVrieso—wi, że dotrzyma obietnicy.

— O co poprosisz, kiedy wygrasz? — spytał.

Barkovitch uśmiechnął się szeroko i radośnie, jakby czekał na to pytanie. W niepewnym świetle wydawało się, że jego twarz zgniata się i składa, jakby miętoszona i miażdżona dłońmi giganta.

— O plastikowe stopy — szepnął. — Plastikowe stopy, Garraty. Te każę sobie odciąć. Pieprzyć je, jak się nie znają na żartach. Będę miał nowe plastikowe stopy, a te wrzucę do wielkiej pralki i będę patrzył, jak wirują i wirują, i wirują...

— Myślałem, że może zechcesz mieć przyjaciół — powiedział smutno Garraty. Uderzyło mu do głowy, pomknęło żyłami poczucie triumfu, zapierające dech i wprawiające w zachwyt.

— Przyjaciół?

— Bo nie masz żadnego. Wszyscy będziemy patrzeć z zadowoleniem, jak umierasz. Nikt nie będzie ci współczuł, Gary. Może splunę na twój mózg, kiedy rozwałą go po całej drodze. Może tak zrobię. Może wszyscy tak zrobimy. — To było szalone, szalone, jakby cała głowa mu odfruwiała, to było jak wtedy, kiedy zamachnął się na Jimmy'ego lufą wiatrówki, krew... krzyk... poczucie dzikiej prymitywnej sprawiedliwości.

— Nie mów tak — zaskomlał Barkovitch. — Czemu mnie nienawidzicie? Nie chcę umrzeć, nie bardziej niż wy. Czego chcesz? Chcesz, żebym żałował? Będę żałował! Będę... będę...

— Wszyscy oplujemy twój mózg — powiedział szaleńczo Garraty. — Ty też chcesz mnie pomacać?

Barkovitch patrzył na niego pobladły, oczy miał puste i bezrozumne.

— Prze... przepraszam — szepnął Garraty. Czuł się poniżony i zbrukany. Szybko odszedł. Niech cię szlag trafi, McVries! — pomyślał. Dlaczego? Dlaczego?!

Nagle zahuczały karabiny, padło równocześnie dwóch, dwóch martwych, i jeden z nich to na pewno Barkovitch. I tym razem to była jego wina. On był mordercą.

Wtem Barkovitch się roześmiał. Barkovitch rechotał, bardziej cienkim, bardziej szalonym i nawet silniejszym głosem niż szalejącego tłumu.

— Garraty! Zatańczę na twoim grobie! Zatańczę...

— Zamknij się! — ryknął Abraham. — Zamknij się, ty kutasino!

Barkovitch przerwał i rozszłochał się po chwili.

— Idź do diabła — mruknął Abraham.

— Narozrabiałeś — powiedział z naganą Collie Parker. — Ty doprowadziłeś go do płaczu, Abe, niegrzeczny chłopcze. Pójdzie do domu i poskarży się mamie.

Barkovitch nadal płakał. To był pusty, płaski dźwięk, od którego ciarki przechodziły po grzbiecie.

— Beksa powie mamusi! — zawołał z przodu Quince. — Aaa, Barkovitch, brzydko!

Dajcie mu spokój! — wrzasnął w myślach Garraty. Dajcie mu spokój, nie macie pojęcia, jak on strasznie cierpi! Ale jak mógł zdobyć się na równie wszawą hipokryzję? Życzył Bar—kovitchowi

śmierci. Co tu ukrywać. Życzył Barkovitchowi, żeby spuchł i pękł.

A tam z tyłu, w ciemności, Stebbins pewnie zaśmiewał się w głos.

Garraty doszedł do McVriesa, który włókł się, patrząc bezmyślnie na tłum. Tłum odpowiadał mu chciwym spojrzeniem.

— Może byś mi pomógł zdecydować? — powiedział McVries.

— Jasne. Co do czego?

— Kto siedzi klatce. Oni czy my.

Garraty roześmiał się z autentyczną przyjemnością.

— Wszyscy. A klucz od tej małpiarni trzyma major. McVries nie zawtórował mu śmiechem.

— Barkovitch wysiada?

— Tak mi się zdaje.

— Nie chcę więcej tego oglądać. To draństwo. I oszustwo. Budujesz sobie to wokół czegoś... przywiązujesz się do tego... a potem to odrzucasz. Czy nie szkoda, że te wszystkie wielkie prawdy to kłamstwa?

— Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem. Masz pojęcie, że jest prawie dziesiąta?

— To tak jakbyś przez całe życie ćwiczył skok o tyczce, a potem dostał się na olimpiadę i powiedział sobie: „Do diabła, po co się mordować z tym głupim drągiem?”.

— No.

— Prawie cię to rusza, nie? — powiedział McVries rozdrażniony.

— Coraz trudniej jest mnie ruszyć — przyznał Garraty.

Zamilkł. Od jakiegoś czasu coś bardzo mu doskwierało. Dołączył do nich Baker. Garraty przeniósł wzrok z jednego na drugiego i z powrotem.

— Widzieliście, jak Olsonowi... widzieliście jego włosy? Zanim dostał?

— Co z jego włosami? — spytał Baker.

— Posiwiwały mu.

— Nie, zwariowałaś — powiedział McVries, ale w jego głosie zabrzmiał wielki strach. — To był kurz.

— Osiwiał — upierał się Garraty. — Wydaje się, że jesteśmy na tej drodze od zawsze. To, jak włosy Olsonowi... jak mu się zrobiło z włosami, naprowadziło mnie na myśl, że może... może to jakiś zwariowany rodzaj nieśmiertelności. — Patrzył wprost przed siebie, w ciemność, czuł na twarzy łagodny wiatr.

— Ja idę, ja szedłem, ja będę iść — wyrecytował McVries. — Mam odmienić po łacinie?

Jesteśmy zawieszani w czasie, pomyślał Garraty.

Ich stopy poruszały się, ale oni nie. Papieros żarzy się w tłumie, latarki lub odbijające światło kamyki to może gwiazdy, dziwne niskie konstelacje wyznaczające ich los przyszły i miniony, zbiegający się po obu stronach czasu w nicość.

— Zwariować można — powiedział Garraty, otrząsając się.

— Racja — przytaknął Pearson i roześmiał się nerwowo. Podchodzili długim stokiem. Droga biegła zakosami, nowa, betonowa, niewygodna dla stóp. Garraty miał wrażenie, że wyczuwa każdy kamyk pod cienkimi jak papier podeszwami butów. Rozbrykany wiatr rzucił im pod nogi zasy z papierków po cukierkach, torebek po prażonej kukurydzy i innych śmieci. Niekiedy prawie musieli się przez nie przebijać. To nie fair, uzalił się nad sobą w myślach Garraty.

— Co tam jest przed nami? — spytał go przeproszającym tonem McVries.

Garraty przymknął oczy i wyobraził sobie mapę.

— Nie pamiętam wszystkich miasteczek. Najbliżej jest Lewiston, drugie co do wielkości miasto w stanie, większe, niż Augusta. Idziemy prosto jak strzelił główną ulicą. Dawniej nazywała się Lizbońska, ale przemianowali ją na Aleję Pamięci Cottera. Regi Cotter, jedyny facet z Maine, który wygrał Wielki Marsz. To było dawno temu.

— Umarł, no nie? — odezwał się Baker.

— Tak. Dostał wylewu w jednym oku i skończył Marsz półślepy. Okazało się, że miał krwiaka w mózgu. Umarł jakiś tydzień potem. — Niezdarnie próbując pozbyć się brzemienia złej wróżby, powtórzył: — To było dawno temu.

Nikt nie odzywał się przez jakiś czas. Papierki po cukierkach trzeszczały im pod stopami jak daleki pożar lasu. W tłumie ktoś odpalił zrobioną domowym sposobem petardę. Garraty widział na horyzoncie słabe światło, prawdopodobnie poblask bliźniaczych miast Lewiston i Auburn, ziemi

Dussette'ów, Aubuchonów i Lavesque'ów, ziemi *Nous parlons français ici*. Nagle Garraty poczuł niemal obsesyjną chęć na gumę do żucia.

— Co po Lewiston?

— Idziemy drogą numer sto dziewięćdziesiąt sześć, potem numer sto dwadzieścia sześć do Freeport, gdzie zobaczę się z mamą i moją dziewczyną. Tam też wejdziemy na drogę numer jeden. I zostaniemy na niej aż do końca.

— Wielki gościniec — mruknął McVries.

— Jasne.

Rozległ się strzał i wszyscy podskoczyli.

— To Barkovitch albo Quince — typował Pearson. — Nie potrafię powiedzieć... jeden z nich wciąż idzie... to...

Barkovitch roześmiał się w ciemności wysokim gulgoczą—cym dźwiękiem, cienkim i przerażającym.

— Jeszcze nie ja, dupki jedne! Jeszcze nie padłem! Jeszcze nieee...

Jego głos był coraz cieńszy. Jak syrena wozu strażackiego, która zwariowała. I Barkovitch uniósł nagle dłonie — wyglądało to, jakby dwa wystraszone gołębie zerwały się do lotu — i rozszarpał sobie gardło.

Pearson zwymiotował na siebie.

Uciekli od Barkovitcha, uciekli i rozpierzchli się, a on wrzeszczał, gulgotał, rozdrapywał sobie gardło i szedł, ze zdziczałą twarzą zwróconą ku niebu, z ustami wykrzywionymi w mroczny sierp.

Potem syrena strażacka zaczęła odmawiać posłuszeństwa, a Barkovitch odmówił posłuszeństwa razem z nią. Upadł i go zastrzelili.

Garraty patrzył w ciemność przed siebie. Jakie to szczęście, że nie został upomniany. Ujrzał kalkę swojej grozy na wszystkich twarzach wokół. Historia Barkovitcha dobiegła końca. Garraty pomyślał, że to nie wróży dobrze pozostałym, ich przyszłości na tej ciemnej i zakrwawionej drodze.

— Niedobrze mi — powiedział płaskim głosem Pearson. Wstrząsnęły nim torsje i przez chwilę maszerował zgięty w pół. — Och. Niedobrze. O Boże. Niedobrze. Och.

— Szkoda, że nie zwariowałem — rzekł McVries z zastanowieniem.

Baker nie powiedział nic. Garraty nagle poczuł woń lu—izjańskiego kapryfolium. Doleciało go kumkanie żab z rozlewisk. Czuł słodki, leniwy chór cykad wgrzyżających się w twarde mięszc cyprysów na siedemnaście lat kamiennego snu. I widział ciotkę Bakera — buja się w fotelu w tył, w przód, w tył, w przód, oczy rozmarzone, uśmiechnięte, puste. Siedzi na werandzie wsłuchana w trzaski, szum i odległe głosy dobiegające ze starego radia w poobijanej i popękanej mahoniowej skrzynce. Buja się i buja, i buja. Uśmiecha się, senna. Jak kot, który dobrał się do śmietanki i jest w siódmym niebie.

Rozdział piętnasty

Malo mnie obchodzi, wygracie czy przegracie. Byleście wygrali.

Vince Lombardi

były trener drużyny Green Bay Packers

Światło dnia przesączało się przez białą, niemy świat mgły. Garraty znowu szedł sam. Nawet nie wiedział, ilu w nocy dostało czerwoną kartkę. Może pięciu. Jego stopy miały potworną migrenę. Za każdym razem, kiedy stawiał stopę, czuł, jak puchnie. Pośladki go bolały. Kręgosłup był lodowym ogniem. Ale przede wszystkim jego stopy miały straszną migrenę i krew w nich zastygała, tak że puchły, i żyły pęczniały w spaghetti al dente.

A mimo to w brzuchu wiercił mu się coraz to niecierpliwiej robak podniecenia; byli teraz zaledwie dwadzieścia jeden kilometrów od Freeport. Szli przez Porterville i tłum ledwo widział ich w gęstej mgle, ale od Lewiston rytmicznie skandował jego nazwisko. Przypominało to pulsowanie gigantycznego serca.

Freeport i Jan, pomyślał.

— Garraty...? — Głos znajomy, ale przytłumiony. To był McVries. Twarz skurczyła mu się jak

trofeum łowcy głów. Oczy migotały gorączkowo. — Dzień dobry — zaskrzeczał. —Przeżyliśmy i bitwa nierozstrzygnięta.

— No. Ilu zaliczyło w nocy czerwoną kartkę?

— Sześciu. — McVries wyjął z pasa słoik ze smalcem i jadł palcami. Ręce trzęsły mu się wyraźnie. — Sześciu po Barkovi—tchu. — Schował z powrotem słoik, poruszając się ostrożnie jak na wpół sparaliżowany starzec. — Pearson zaliczył.

— Tak...?

— Niewielu z nas zostało, Garraty. Tylko dwudziestu sześciu.

— Tak, niewielu. — Marsz przez tę mgłę był jak marsz przez nieważkie chmary moli.

— I do tego niewielu naszych. Muszkieterów. Ty, ja, Baker i Abraham. Collie Parker. I Stebbins. Jeśli chcesz go liczyć. Czemu nie? Liczmy i Stebbinsa, Garraty. Sześciu musz—kieterów i dwudziestu halabardników.

— Wciąż myślisz, że wygram?

— Czy tu wiosną zawsze są takie mgły?

— Odpowiedz.

— Nie, nie wydaje mi się, żebyś wygrał. Stebbins wygra, Ray. Nic go nie zmoże, jest jak diament. Wieść głosi, że po odpadnięciu Scramma Vegas stawia na niego dziewięć do jednego. Chryste, wygląda prawie tak samo jak na starcie.

Garraty pokiwał głową, jakby się tego spodziewał. Wygrzebał tubkę z koncentratem wołowiny i zaczął jeść. Wiele by dał za dawno wykończony surowy kotlet siekany McVriesa.

McVries kichnął i otarł ręką nos.

— Nie czujesz się trochę dziwnie? Mieć pod nogami ojczyzną ziemię po tym wszystkim?

Robak podniecenia ocknął się w brzuchu Garraty'ego, znów wił się i wiercił.

— Nie — powiedział. — Czuję się najnaturalniej na świecie. Schodzili długim stokiem i McVries podniósł głowę ku białemu zejściu w nicość.

— Mgła gęstnieje.

— To nie mgła — rzekł Garraty. — To już deszcz. Deszcz padał cicho, jakby nie miał zamiaru odejść przez długi czas.

— Gdzie Baker?

— Gdzieś z tyłu — odpowiedział McVries.

Bez słowa — teraz słowa były zbyt cenne — Garraty zaczął przesuwać się do tyłu. Droga opływała wysepkę, mijała rozlatujące się centrum recyklingu w Porterville z minikręgielnią na pięć torów, mijała zupełnie czarny budynek z wielką tablicą w oknie: MAJ MIESIĄCEM POBORU OCHOTNIKÓW.

We mgle przegapił Bakera i wylądował w końcu obok Stebbinsa. „Twardy jak diament”, powiedział McVries. Ale ten diament ujawnia pewnie drobne skazy, pomyślał Garraty. Maszerowali wzdłuż potężnej i zanieczyszczonej jak ściek rzeki Androscoggin. Po drugiej stronie zakłady tekstylne kłuły mgłę wieżyczkami, podobne do średniowiecznego zamku.

Stebbins nie podniósł wzroku, ale Garraty wiedział, że tamten wie, iż on jest obok. Nic nie powiedział, powziąwszy głupie postanowienie, że przeczeka milczenie Stebbinsa. Droga znów zakręcała. Kiedy pokonywali most, tłum znikł na moment. W dole burzyła się rzeka, ponura, zasolona, pokryta zmierzwną żółtą pianą.

— No i co?

— Zaoszczędź trochę oddechu — powiedział Garraty. — Przyda ci się.

Doszli do końca mostu i tłum znowu był z nimi. Skręcili w lewo, zaczęli wspinać się Wzgórzem Cegielnianym. Stok był długi, stromy. Rzeka płynęła w dole po lewej, a po prawej wyrastało niemal prostopadłe wzniesienie. Widzowie kurczowo trzymali się drzew, krzaków, siebie nawzajem i skandowali nazwisko Garraty'ego. Kiedyś chodził z dziewczyną ze Wzgórza Cegielnianego. Carolyn. Teraz już wyszła za męża, ma dziecko. Może wtedy by mu i dała, ale był młody i głupi jak but.

W przedzie Parker kłął, co ledwo było słyhać wśród hałasu. Nogi Garraty'ego dygotały i groziły, że zamienią się w galarete, ale to było ostatnie duże wzgórze przed Freeport. Wreszcie wczółgali się na nie (och, wczółgąłoby się pod kaszmirowy sweterek Carolyn) i Stebbins, lekko tylko dysząc, powtórzył:

— No i co?

Zahuczały karabiny. Charlie Field odpadł.

— No i nic — powiedział Garraty. — Szukałem Bakera i zamiast niego znalazłem ciebie. McVries myśli, że wygrasz.

— McVries jest głupi — rzekł niedbale Stebbins. — Myślisz, że dojrzysz swoją dziewczynę, Garraty? Pośród tego tłumu?

— Będzie w pierwszym rzędzie. Ma przepustkę.

— Gliny będą za bardzo zajęte hamowaniem wszystkich, którzy będą rwali do pierwszego rzędu.

— Nieprawda! Czemu opowiadasz takie rzeczy?

— Zresztą i tak naprawdę to chciałbyś zobaczyć się z matką. Garraty wzdrygnął się mocno.

— Co?

— Nie zamierzasz ożenić się z nią, kiedy dorośniesz, Garraty? Większość małych chłopców tego chce.

— Zwariowałaś?

— Czyżby?

— Tak!

— A dlaczego myślisz, że zasłużyłeś na wygraną, Garraty? Jesteś drugorzędny pod względem intelektualnym, drugorzędny pod względem fizycznym i zapewne seksualnym. Garraty, stawiam mojego psa i jego budę, że nigdy nie włożyłeś tej twojej dziewczynie.

— Przymknij jadaczkę!

— Prawiczek, co? Może trochę pedzio na dodatek? Nieśmiały wielbiciel męskiej urody. Nie bój się. Możesz się zwierzyć tatuńcowi Stebbinsowi.

— Wdepczę cię w ziemię, choćbym musiał iść do Wirginii, ty zbrojeńcu! — Garraty trząś się z gniewu. Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu ogarnęła go taka pasja.

— Spokojnie, Ray — łagodził Stebbins. — Rozumiem.

— Ty skurwielu!

— Aaa, to dopiero wyszukane słówko. Skąd ci akurat wpadło do głowy?

Przez chwilę Garraty był pewien, że zaraz rzuci się na Stebbinsa albo zemdleje z wściekłości, ale mu trochę przeszło.

— Choćbym musiał iść do Wirginii — powtórzył. — Choćbym musiał przejść całą drogę do Wirginii. Stebbins uśmiechnął się sennie.

— Ja mogę iść aż na Florydę.

Garraty oderwał się od niego jednym skokiem. Wściekłość zamierała w pulsującym wstydzie. Podejrzewał, że Stebbins uważa go za frajera. Podejrzewał, że Stebbins ma rację.

Baker maszerował obok chłopaka, którego Garraty nie znał. Głowę opuścił, poruszał ustami.

— Hej, Baker — powiedział Garraty.

Baker drgnął, a potem otrząsnął się cały niczym pies.

— Ach... to ty.

— No, ja.

— Miałem sen... koszmary. Która? Garraty sprawdził.

— Prawie za dwadzieścia siódma.

— Myślisz, że cały dzień będzie padało?

— Wiesz... — Garraty na chwilę stracił równowagę, zatoczył się do przodu. — Cholera, obcas mi odleciał.

— Oderwij drugi — doradził mu Baker. — Łatwiej będzie ci iść. Ale gwoździe zaczną się przebijać przez podeszwę.

Garraty kopnięciem pozbył się jednego buta, który przekoziołkował prawie na skraj drogi, gdzie spoczął w zasięgu tłumu jak przetrącone szczenię. Wiele dłoni chyżo po niego sięgnęło. Ktoś porwał but, inny mu go wydarł i zrobił się tumult. Garraty nie mógł pozbyć się drugiego buta, noga mu za bardzo spuchła. Ukląkł, dostał upomnienie, rozwiązał sznurowadła. Przymierzał się cisnąć butem w tłum, ale tylko zostawił go na drodze. Nagle poddał się irracjonalnej rozpacz i pomyślał: Straciłem buty. Straciłem buty.

Nawierzchnia chłodziła stopy. Porwane resztki skarpetek wkrótce przemokły. Obie stopy wyglądały dziwnie, niesamowicie bezkształtne. Rozpacz przeszła w litość nad stopami. Szybko zrównał się z Bakerem, który również szedł boso.

— Jestem prawie wykończony — rzekł zwyczajnie Baker.

— Wszyscy jesteśmy wykończeni.

— Staram się wspominać, co miłego mi się w życiu przydarzyło. Jak pierwszy raz zabrałem dziewczynę do dyskoteki i był tam taki wielki pijany gość, który wciąż ładował mi się w parade, więc dokopałem mu w dupę. A dziewczyna patrzyła na mnie tak, jakbym był najwspanialszym wynalazkiem od czasu pierwszego silnika spalinowego. Mój pierwszy rower. Jak pierwszy raz czytałem „Kobietę w bieli” Wilkiego Collinsa... to moja ulubiona książka. Jak przesiadywałem z wędką nad glinianką, jak łowiłem raki tysiącami. Jak leżałem w ogródku za domem i spałem z komiksem na twarzy. Myślę o tych sprawach, Garraty. Teraz, ostatnio. Jakbym się starzał i dzieciłniał.

Deszcz srebrzył się wokół nich. Nawet tłum się nieco uspokoił. Znów widać było twarze, rozmyte, jak twarze za oknami zasnutymi deszczem. Były blade, o ciemnych migdałowych oczach, ponure pod ociekającymi kapturami, parasolami i rozłożonymi gazetami. Garraty czuł coraz większą rozpacz i wiedział, że najlepiej byłoby ją wykrzyzczyć, ale nie potrafił, tak jak nie potrafił pocieszyć Bakera i powiedzieć mu, że łatwo się umiera. Może tak, a może jednak nie.

— Mam nadzieję, że nie będzie ciemno — powiedział Baker. — Nie proszę o nic więcej. Jeśli jest jakieś... jakieś potem, to mam nadzieję, że nie jest tam ciemno. I mam nadzieję, że się pamięta. To okropne musieć wiecznie błąkać się w ciemności, nie wiedząc kim byłem ani co tam robię, nie wiedząc nawet, że kiedyś otaczało mnie coś innego.

Garraty zaczął mówić, ale uciszyły go strzały. Interes znów się rozkręcał. Stan zawieszenia, przewidziany przez Parkera, był bliski końca. Baker wykrzywił usta w grymasie.

— Tego się najbardziej boję, Garraty. Tego dźwięku. Czemuśmy to zrobili, Garraty? Musieliśmy postradać zmysły.

— Nie widzę żadnego rozsądnego powodu.

— Wszyscy jesteśmy myszami w pułapce.

Marsz trwał dalej. Deszcz padał. Mijali miejsca, które Garraty znał — zniszczone domy, w których nikt nie mieszkał, porzuconą jednoizbową szkołę, kurniki, stare ciężarówki na ceglach, świeżo zaorane pola. Wydawało mu się, że pamięta każdy kawałek ziemi, każdy dom. Mrowiło go podniecenie. Droga uciekała w tył. Nogi znów odzyskały sprężystość. Ale może Stebbins miał rację. Może jej nie zobaczy. Należało i na to się przygotować.

Poszła wieść przez przeredzone szeregi, że blisko czołówki jest chłopak, który podejrzewa u siebie zapalenie wyrostka.

Garraty wcześniej by się tego wystraszył, ale teraz liczyła się tylko Jan i Freeport. Wskazówki na jego zegarku gnały jak szalone. Zostało tylko osiem kilometrów. Minęli granicę Freeport. Gdzieś tam Jan i matka stoją już przed supermarketem Woolmana, tak jak się umówili.

Niebo trochę przejaśniało, ale pozostało za chmurami. Deszcz przeszedł w upartą mżawkę. Droga była teraz mrocznym zwierciadłem, czarnym lodem, w którym Garraty widział wykrzywione odbicie swojej twarzy. Przesunął ręką po czole. Było gorące, rozpalone. Jan, och, Jan. Musisz wiedzieć...

Chłopak z bolącymi brzuchem miał numer pięćdziesiąt dziewięć. Klingerman. Zaczął krzyczeć. Te krzyki szybko stały się monotonne. Garraty wrócił myślą do jedyne go Wielkiego Marszu, który widział — również we Freeport — i chłopca, który monotonicznie zawodził: „Nie mogę! Nie mogę! Nie mogę!”.

Klingerman, zamknij pyszczydło! — pomyślał.

Ale Klingerman nadal maszerował i nadal krzyczał, przyciskając ręce do brzucha, a wskazówki zegarka Garraty’ego nadal gnały jak szalone. Kwadrans po ósmej. Będziesz tam, Jan, dobra? Dobra, w porządku. Nie wiem już, co masz w sercu i w głowie, ale wiem, że wciąż żyję i potrzebuję cię. Bądź tam. Bądź.

Wpół do dziewiątej.

— Zbliżamy się do tego cholernego miasta, Garraty?! — wrzasnął Parker.

— A co ciebie to obchodzi? — drwił z niego McVries. — Na ciebie żadna dziewczyna na pewno nie czeka.

— Ja mam wszędzie dziewczyny, ty smutasio. Raz na mnie popatrzą i spuszczaają się w majtki. — Parker był teraz wychudły i pośepny, zaledwie cień dawnego siebie.

Za kwadrans dziewiąta.

— Zwolnij, koleś — powiedział McVries, kiedy Garraty zaczął go wyprzedzać. — Oszczędź trochę sił na dzisiejszą noc.

— Nie mogę. Stebbins powiedział, że Jan nie będzie. Że nie będzie porządkowego, który by

pomógł jej przejść. Muszę się przekonać. Muszę...

— Stebbins zmusiłby własną matkę do wypicia koktajlu z lizolem, gdyby mu to pomogło wygrać. Nie słuchaj go. Ona tam będzie. Przyprawdzą ją. To przecież fantastyczna reklama.

— Ale...

— Bez żadnych ale, Ray. Wyluzuj się i żyj.

— Wsadź sobie w tyłek te pierdolone banały! — krzyknął Garraty. Oblizał wargi i zakrył twarz trzęsącą się dłonią. —Prze... przepraszam. Wypnęło mi się. Stebbins powiedział też, że i tak naprawdę to chcę zobaczyć się z matką.

— Nie chcesz się z nią zobaczyć?

— Oczywiście, że chcę się z nią zobaczyć! Za kogo mnie masz, do diabła... nie... tak... nie wiem. Kiedyś miałem przyjaciela. Rozebraliśmy się i ona... ona...

McVries położył mu rękę na ramieniu. Klingerman wrzeszczał teraz głośno. Ktoś na przedzie spytał go, czy chce alka—seltzer. Ten kapitalny dowcip wzbudził ogólny śmiech.

— Rozlatujesz się, Garraty — rzekł McVries. — Weź sobie na wstrzymanie. Nie przegraj tego.

— Zejdz ze mnie!!! — wrzasnął Garraty. Przycisnął pięść do ust i ugryzł ją. Powiedział po chwili: — Daj mi spokój.

— W porządku. Jasne.

McVries oddalił się. Garraty chciał zawołać go z powrotem, ale nie mógł.

Po raz czwarty nastąpiła dziewiąta rano. Skręcili w lewo i znów zostawili tłum w dole, bo szli wiaduktem. Wchodzili do Freeport. Przed nimi był bar mleczny, do którego Garraty i Jan wpadali czasem po kinie. Skręcili w prawo i znaleźli się na drodze numer jeden, którą ktoś kiedyś nazwał wielkim gościńcem. Wielki czy mały, był to ostatni gościniec. Będą szli tą drogą aż do rozstrzygnięcia. Wskazówki zegarka najnormalniej rosły Garraty'emu w oczach. Śródmieście było dokładnie na wprost. Woolman po prawej. Widział go; przysadzisty, brzydki budynek chowający się za maskującym dołożonym frontem. Znów sypnęło się zrobione domowym sposobem konfetti. W deszczu było ociążałe, posklejane, bez życia. Tłum zaczął pęcznieć. Ktoś włączył miejską syrenę pożarową i jej żalosne zawodzenie mieszało się z jękami Klin—germana. Klingerman i syrena pożarowa wyły w koszmarnym duecie.

Napięcie przepełniło żyły Garraty'ego, jakby napakowa—ło je po brzegi miedzianym drutem. Słyszał własne tętno, a to w bebeczach, a to w gardle, a to w czole. Dwieście metrów. Znów wrzeszczeli jego imię (Ray! Ray! Nie daj się!), ale jak do tej pory nie dojrzał w tłumie znajomej twarzy.

Przesunął się na prawo, aż łączywe dłonie były o centymetry od niego — jedno długie, muskularne ramię faktycznie złapało go za koszulę i odskoczył jak przed młockarnią. Żołnierze wycelowali w niego karabiny, gotowi strzelać, gdyby próbował zniknąć w ludzkiej napierającej fali. Tylko sto metrów do przejścia. Widział wielki brązowy szyld Woolmana, ale ani śladu matki i Jan. O Boże, o Boże, Stebbins miał rację... i nawet jeśli tam były, jak je dojrzy w tej ruchomej, chciwie wyciągającej ramiona masie?

Jęknął drżąc, jakby wypluł kawałek mięsa. Potknął się, omal nie upadł; nogi ugiwały się pod nim bezwładnie. Stebbins miał rację.

Nie chciał iść dalej. Po co? Jaki to ma sens? Jaki to ma sens teraz?

Syrena wyła, tłum wrzeszczał, Klingerman darł się, deszcz padał i jego własna umęczona dusza miotła się jak w klatce, tłukąc ślepo o kraty.

Nie dam rady. Nie dam, nie dam, nie dam.

Ale stopy człapały dalej.

Gdzie jestem? Jan? Jan...? Jan!

Zobaczył ją. Wymachiwała niebieską jedwabną apaszka, którą kupił jej na urodziny, i krople deszczu migotały na jej włosach jak brylanty. Matka była obok, ubrana w swój czarny płaszcz. Tłum naciskał na nie z obu stron, miotał nimi do przodu i do tyłu. Kamera telewizyjna wystawiała nad ramieniem Jan swój ryj.

Na widok Jan i matki Garraty poczuł, że wielki pęcherz w jego ciele pęka. Ropa pociekła zieloną powodzią. Ruszył

biegiem, zgrabny jak spętany gołąb. Podarte skarpetki klaskały o spuchnięte stopy.

— Jan! Jan!

Słyszał jej myśli. Kamera telewizyjna prowadziła go, zachwycona. Wrzawa spotężniała. Widział,

jak Jan wymawia jego imię, i wyciągnął rękę, żeby jej dosięgnąć, musiał...

Ktoś złapał go za ramię. McVries. Żołnierz dawał im pierwsze upomnienie przez dudniący megafon.

McVries zbliżył usta do ucha Garraty'ego.

— Nie w tłum!

— Puść mnie!

— Nie dam ci się zabić, Ray!

— Puść mnie, do cholery!

— Chcesz umrzeć na jej rękach? Chcesz?

Czas uciekał. Płakała. Widział łzy na jej policzkach. Wyrwał się McVriesowi. Znow rzucił do niej. Szlochał. Chciał spać. Chciał znaleźć się w jej ramionach. Kochał ją.

Ray, kocham cię.

Widział te słowa na jej ustach.

McVries nie odchodził. Kamera filmowała nieustannie. Kątem oka dostrzegł teraz kolegów z klasy. Rozwijali wielki proporzec i jego własna twarz — jego zdjęcie z tableau — rozdęta do rozmiarów Godzilla szczyrzyła zęby, kiedy krzyczał i wyrwał się ku Jan.

Drugie upomnienie, huczące z megafonu jak głos Boga.

Jan...

Wyciągała ku niemu ręce. Dotknęli się. Dotykał jej chłodnych rąk. Płakała...

Matka. Wyciągnęła ręce...

Złapał je. Jedną ręką trzymał dłoń Jan, drugą — dłoń matki. Dotknął ich. Dokonało się.

Tak trwali, dopóki ramię McVriesa, okrutnego McVriesa znow go nie objęło.

— Puść mnie! Puść!

— Facet, ty jej chyba nienawidzisz! — wrzeszczał mu do ucha McVries. — O co ci chodzi? Chcesz umrzeć wiedząc, że oboje cuchniecie twoją krwią? O to? Na litość boską, chodź!

Opierał się, ale McVries był silniejszy. Może McVries miał nawet rację. Teraz oczy Jan były pełne przerażenia. A z jej ust wyczytywał słowa jak przekleństwo: Dalej! Dalej!

Oczywiście, że muszę iść dalej, pomyślał tępo. Jestem synem stanu Maine. I w tej krótkiej chwili nienawidził jej, chociaż tak naprawdę to on omotał ją — i matkę — w tę sieć, w którą wcześniej sam się wpakował.

Trzecie ostrzeżenie dla niego i McVriesa potoczyło się z hukiem i majestatem gromu; tłum uciszył się trochę i patrzył oczami zwilgotnionymi zapałem. Jan i matka wpadły w panikę. Dłonie matki frunęły do twarzy i pomyślał o dłoniach Barkovitcha frunących mu do szyi jak wystraszone gołębice, i rozszarpujących gardło.

— Jeśli naprawdę musisz, zrób to za rogiem, żałosny gnoju! — wrzasnął McVries.

Garraty zaczął szlochać cienkim głosikiem. McVries go uderzył. Był bardzo silny.

— W porządku. — Garraty ruszył. — Dobrze, w porządku, puść mnie, bo złamiesz mi obojczyk. — Pociągnął nosem, dostał chwilowej czkawki i otarł nos.

McVries puścił go z niepokojem, gotów w każdej chwili znow złapać.

Niemal już po wszystkim Garraty obejrzał się, ale obie zginęły w tłumie. Pomyślał, że nigdy nie zapomni tego wyrazu paniki rosnącej w ich oczach, tego jak ich zaufanie i pewność w końcu zostały brutalnie przepędzone. Nic nie dostrzegł, jedynie mignięcie niebieskiej apaszki.

Odwrócił się i znow patrzył przed siebie, nie na McVriesa. Potykające się, zdradzieckie stopy poniosły go naprzód. Wyszli z miasta.

Rozdział szesnasty

Krew się polata! Liston chwieje się na nogach! Clay rzuca nim po ringu, wyprowadza kombinację ciosów... przebił się przez gardło! Clay roznosi go miazgę! Na miazgę! Panie i panowie, Liston na deskach! Sonny Liston na deskach! Clay tańczy... wymachuje rękami... krzyczy do tłumu! O, panie i panowie, brak mi słów, żeby opisać tę scenę!

Sprawozdawca radiowy drugiej walki Clay—Liston

Tubbins zwariował.

Tubbins to był niski piegowaty chłopak w okularach. Nosił niebieskie dzinsy, które wisały mu na biodrach i cały czas podciągał je do góry. Nie odzywał się wiele, ale był całkiem miły, dopóki nie zwariował.

— Nierządnica! — bełkotał. Podniósł głowę i deszcz spływał mu po szklach na policzki, wargi i na tępo zarysowany podbródek. — Nierządnica babilońska przybyła pośród nas! Spoczywa na ulicach i rozłożyła nogi na nieczystościach bruku! Ohyda! Ohyda! Strzeżcie się nierządnic babilońskiej! Z jej ust spływa miód, ale jej serce przepełnia żółć i robactwo...

— I ma trypra — powiedział Collie Parker tonem pełnym znużenia. — Jeeezu, jest gorszy od Klingermana. — Podniósł głos. — A żebyś padł i zdechł, Tubby!

— Precz, wy łasi na wdzięki nierządnic! — wrzeszczał przeraźliwie Tubbins. — Ohydni! Nieczyści!

— Żeby go obesrało — mruknął Parker. — Sam go zabiję, jak się nie zamknie. — Przesunął po ustach drżącymi, szkiele—cimi palcami. Strawił pół minuty na odpięcie manierki wiszącej mu u pasa. Mało jej nie upuścił, podnosząc do ust, a potem wylał połowę zawartości. Rozełkał się bezradnie.

Trzecia po południu. Za nimi były Portland i South Portland. Kwadrans temu minęli mokry łopoczący transparent, który głosił, że granica New Hampshire jest tylko siedemdziesiąt kilometrów dalej.

Tylko, powtórzył w myślach Garraty. Tylko, jakie głupie słowo. Co za idiocie wpadło do głowy, że potrzebujemy takiego głupiego słówka?

McVries od Freeport odzywał się tylko monosylabami. Garraty ledwo ośmielał się do niego zwrócić. Znów miał dług wdzięczności i był zawstydzony. Zawstydzony, ponieważ wiedział, że gdyby jemu nadarzyła się szansa, nie pomógłby McVriesowi. Teraz utracił Jan, utracił matkę. Nieodwracalnie i na wiečność. Chyba że wygra. Więc bardzo pragnął wygrać.

Dziwne. Po raz pierwszy, jak sięgał pamięcią w przeszłość, pragnął wygrać. Nawet na starcie, kiedy był świeży (wtedy jeszcze, kiedy dinozaury chodziły po ziemi), nie pragnął tego świadomie. Wtedy czuł tylko, że stoi przed wyzwaniem. Ale z karabinów nie wyskakiwały czerwone chorągiewki z napisem PIF—PAF! To nie baseball ani gra w klasy; tu wszystko było prawdziwe.

A może jednak wiedział o tym od początku?

Od kiedy przyznał się przed sobą, że chce wygrać, nogi bolały go podwójnie, a kiedy nabierał głęboki oddech, kłuło go przeraźliwie w piersi. Coraz mocniej czuł, że ma gorączkę — może złapał coś od Scramma.

Pragnął wygrać, ale nawet McVries nie mógł go donieść do niewidzialnej linii mety. Nie sądził, żeby miał wygrać. W szóstej klasie wygrał konkursowe dyktando — był najlepszy w szkole —ale przewodniczącym miejskiej komisji nie była panna Pétrie, która pozwalała poprawić błąd. Panna Pétrie o miękkim sercu. Stał przed listą wyników, nie wierząc własnym oczom, przekonany, że musiała nastąpić jakaś pomyłka, ale nie było żadnej pomyłki. Po prostu nie okazał się wtedy wystarczająco dobry, żeby wygrać, i teraz też nie będzie wystarczająco dobry. Był wystarczająco dobry, żeby wdeptać w ziemię większość, ale nie wszystkich. Jego nogi pokonały strefę odrętwienia i wścieklej rebelii, teraz znalazły się o krok od buntu.

Przeszli most nad spokojną strugą, której lustro pocętkowały krople deszczu. Karabiny huknęły, tłum wznosił okrzyk i Garraty poczuł, jak gdzieś głęboko w głowie uparta szczelina nadziei rozwiera się minimalnie szerzej.

— Zadowolony ze spotkania z dziewczyną?

To był Abraham, wyglądający jak ofiara marszu przez dżunglę z ludożercami na karku. Z jakiegoś niepojętego powodu pozbył się zarówno kurtki, jak i koszuli, obnażywszy kościste ramiona i rozrośniętą klatkę piersiową.

— Mam nadzieję, że uda mi się do niej wrócić — powiedział Garraty.

— Nadzieję? — Abraham uśmiechnął się. — No, też zaczynam sobie przypominać, co oznacza to słowo. — To była zamaskowana pogroźka. — Kto odpadł? Tubbins?

Garraty wyteżył słuch. Docierał do niego tylko niezmienny ryk tłumu.

— Chyba tak. Kłątwa Parkera poskutkowała.

— Wciąż sobie powtarzam — rzekł Abraham — że nie muszę nic więcej, tylko stawiać jedną nogę przed drugą.

— No.

Abraham sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Garraty... ciężko mi to powiedzieć...

— O co chodzi?

Abraham zamilkł na dłuższą chwilę. Na nogach miał wielkie solidne Oksfordy, które wydawały się koszmarnie ciężkie (stopy Garraty'ego były teraz bose, zziębnięte i pokaleczone). Stukotały i szurały na drodze, rozległej teraz na trzy pasy. Tłum nie był już tak głośny ani przerażająco bliski jak zaraz za Augusta.

Zakłopotanie Abrahama wzrosło.

— Francowata sprawa. Po prostu nie wiem, jak to powiedzieć.

Zdziwiony Garraty wzruszył ramionami.

— Po prostu powiedz.

— No więc, tak... Postanowiliśmy coś. My, wszyscy, którzyśmy zostali.

— Może zagrać w scrabble'a?

— Że składamy... przyrzeczenie.

— Tak?

— Żadnej pomocy nikomu. Albo dasz radę sam, albo nie dasz rady.

Garraty wbił wzrok w ziemię. Zastanawiał się, ile czasu minęło, od kiedy był głodny, i ile czasu minie, zanim zemdleje, jeśli czegoś nie zje. Myślał o tym, że Oksfordy Abrahama są jak Stebbins — te buty mogły zanieść go stąd do mostu Golden Gate w San Francisco i nawet sznurówka by nie pękła... przynajmniej tak wyglądały.

— To strasznie bezduszne przyrzeczenie — powiedział wreszcie.

— Tak się złożyło, że to strasznie bezduszna sytuacja. — Abraham nie patrzył na niego.

— Rozmawiałeś o tym ze wszystkimi innymi?

— Jeszcze nie. Tylko z kilkunastoma.

— Tak, to prawdziwa franca. Widzę, jak ciężko ci o tym mówić.

— Raczej tak.

— Co oni na to? — Wiedział, co powiedzieli, bo co niby mieli powiedzieć?

— Są za.

Niedaleko szedł Baker ze spuszczoną głową. Przemoczony do suchej nitki. Zamiatął dziwnie biodrem. Lewą nogę miał sztywną.

Nagle Garraty spytał Abrahama:

— Czemu zdjąłeś koszulę?

— Była ze sztucznego materiału, skóra mnie swędziała, jakbym dostał pokrzywki. Może jestem uczulony, skąd mam wiedzieć? Co ty na to, Ray?

— Wyglądasz jak pokutnik.

— Co ty na to, Ray?

— Może jestem coś winien McVriesowi. — McVries był nadal blisko, ale nie wiadomo, czy we wrzawie tłumu słyszał tę rozmowę.

No, McVries, powiedz mu, że nie jestem ci nic winien. Mów, ty sukinsynu! — ponaglał Garraty w myślach. Ale McVries nie powiedział.

— Dobra, możecie mnie wliczyć.

— Super.

Teraz jesteś zwierzęciem, brudnym, zmęczonym, głupim zwierzęciem. Udało ci się. Wyprzedziłeś wszystko, co miałeś.

— Jak spróbujesz komuś pomóc, nie możemy cię zatrzymać. To sprzeczne z regulaminem. Ale wykluczmy cię. Bo nie dotrzymałeś słowa.

— Nie będę próbował.

— To samo obowiązuje, jak ktoś będzie próbował pomóc tobie.

— Yhm.

— To nic osobistego. Wiesz o tym, Ray. Ale teraz bardzo jesteśmy temu przeciwni.

— Gryź beton albo umrzyj.

— Tak jest.

— Nic osobistego. Wracamy do dżungli. Przez chwilę myślał, że Abraham się wkurzy, ale on tylko głośno odetchnął. Może był zbyt zmęczony, by się wkurzać.

— Zgodziłeś się. Trzymam cię za słowo, Ray.

— Może powinienem uderzyć we wzniosłą nutę i powiedzieć, że mojemu słowu można zawsze ufać. Ale będę szczery. Chcę zobaczyć, jak dostajesz czerwoną kartkę, Abraham. Im wcześniej, tym lepiej.

Abraham oblizał wargi.

— No.

— Masz dobre buty, Abraham.

— Aha. Tylko że są ciężkie, cholera. Możesz w nich maszerować ile dusza zapagnie, ale im dalej maszerujesz, tym bardziej ci ciąży.

— Jeszcze się taki szewc nie narodził, co by wszystkim dogodził, prawda?

Abraham się roześmiał. Garraty obserwował McVriesa, który miał twarz nieprzeniknioną. Może słyszał. Może nie. Deszcz padał równo, prostopadle, mocniejszy teraz, zimniej—szy. Abraham miał skórę białą jak ryba brzuch. Bez koszuli wyglądał zupełnie jak więzień. Garraty zastanawiał się, czy ktoś powiedział Abrahamowi, że bez koszuli nie ma szansy przetrzymać nocy. Wyglądało na to, że zmierzch już się zbiera. McVries? Słyszałeś nas? Sprzedałem cię, McVries. I co się stało z nami, muszkietierami?

— Ach, nie chcę tak umrzeć — powiedział Abraham. Płakał. — Nie na oczach ludzi, kiedy wyją nad tobą, żebyś wstał i przeszedł jeszcze parę kilometrów. To bezmózgowie. Po prostu bezmózgowie. Jest w tym tyle samo godności, co w mongołowatym idiocie, który dusi się połykając język i waląc w pory.

Ta rozmowa miała miejsce kwadrans po trzeciej. Do szóstej tylko jeden dostał czerwoną kartkę. Nikt się nie odzywał. Jakby zawiązał się spisek — udawali, że nic się nie dzieje, to wcale nie są ostatnie chwile ich życia. Grupy — te żalosne szczątki, jakie jeszcze przetrwały — rozpadły się zupełnie. Wszyscy przystali na propozycję Abrahama. McVries. Baker. Stebbins roześmiał się i spytał, czy ma ukłuć się w palec, żeby złożyć podpis krwią.

Robiło się zimno. Garraty zaczął się zastanawiać, czy kiedyś naprawdę widział słońce, czy tylko sobie to wyśnił. Nawet Jan była teraz dla niego tylko snem — letnim snem o lecie, którego nigdy nie było.

A równocześnie widział coraz wyraźniej ojca. Ojca o gęstej czuprynie i potężnych ramionach. Ojciec był zbudowany jak obrońca futbolowy. Pamiętał, jak podrzucał go w górę, robił mu karuzelę, mierzwił włosy, całował. Okazywał miłość.

Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie spotkał się z matką we Freeport, ale ona tam była — w swoim marnym czarnym płaszczu, „niedzielnym”, na którego kołnierzu zawsze widać było łupież, bez względu na to, jak często myła głowę. Zapewne zranił ją głęboko, całą uwagę poświęcając Jan. Może nawet zrobił to celowo. Ale to nie miało teraz znaczenia. To była przeszłość. To była też przyszłość, która już się pruła, zanim jeszcze została utkana.

Jesteś coraz dalej, pomyślał. Nigdy bliżej, tylko dalej, aż wypływasz z zatoki na ocean. Kiedyś wszystko to wyglądało prosto. Wydawało się zabawą na sto dwa, a jakże. Pogadał z McVriesem i McVries powiedział mu, że uratował go wyłącznie odruchowo. A potem, we Freeport, chodziło o to, żeby zapobiec obrzydliwości na oczach ślicznej dziewczyny, której nigdy nie pozna. Tak jak nigdy nie pozna żony Scram—ma z dzieckiem w brzuchu. Na tę myśl Garraty poczuł nagły smutek. Od dawna nie myślał o Scrammie. McVries był dorosły. A dlaczego jemu nie udało się wydorosnąć?

Wielki Marsz trwał dalej. Miasteczka zostawały w tyle.

Garraty wpadł w melancholijny, dziwnie przyjemny nastrój, który nagle został zburzony hukami karabinów i ochrypłymi wrzaskami tłumu. Ze zdumieniem zobaczył Colliego Parkera stojącego na transporterze z karabinem w dłoniach.

Jeden z żołnierzy leżał na drodze, wpatrzony w niebo pustymi oczami. Na środku czoła miał niebieską dziurę, osmaloną na krawędzi prochem.

— Skurwiele! — krzyczał Parker. Pozostali żołnierze zeskoczyli z transportera. Parker spojrzał po oszołomionych zawodnikach. — No, chłopaki! Chodźcie! Możemy...

Wszyscy gapili się na Parkera, jakby przemawiał w obcym języku. A jeden z żołnierzy, który zeskoczył, kiedy Parker wdrapał się na transporter, wycelował starannie i strzelił Parkerowi w plecy.

McVries krzyknął przeraźliwie. Chyba on jedyny rozumiał, co się stało, jaką szansę zmarnowali.

Parker stęknął, jakby ktoś przywalił mu pałką w plecy. Kula wyszła brzuchem i oto stał na transporterze z bebechami rozrzuconymi na podartej koszuli khaki i niebieskich dzinsach. Ręka zastygła mu w szerokim gęście, jakby zwiastującym gniewną filipikę.

— O kurwa — powiedział.

Wystrzelił dwa razy w drogę. Pociski pomknęły z jękiem i Garraty poczuł, jak jeden z nich rozrywa powietrze przed jego twarzą. W tłumie ktoś krzyczał z bólu. Parker upuścił broń. Wykonał niemal wojskowy zwrot w miejscu, spadł na drogę i leżał na boku, dysząc szybko jak pies potrącony przez samochód. Oczy mu płonęły. Otworzył usta i razem z krwią chciał wykrztusić jakieś ostatnie słowa.

— Wy... skur... skur...

Umarł patrząc na nich z wściekłością, kiedy przechodzili obok.

— Jak to się stało?! — krzyknął Garraty, nie kierując pytania do nikogo konkretnego. — Jak on to zrobił?!

— Podszedł ich — powiedział McVries. — Musiał wiedzieć, że nie może mu się udać. Podszedł od tyłu i zaskoczył ich, bo spali, — Głos McVriesa stał się bardziej chrapliwy. — Chciał, żebyśmy wszyscy tam z nim weszli, Garraty. I myślę, że mogłoby się nam udać.

— O czym ty gadasz? — spytał Garraty, ogarnięty nagłą zgrozą.

— Nie wiesz? Nie wiesz?!

— Żebyśmy tam z nim weszli...? Co...?

— Daj sobie spokój. Po prostu daj sobie z tym spokój.

McVries odszedł. Garraty miał nagły atak dreszczy. Nie mógł nad nimi zapanować. Nie wiedział, o czym gadał McVries. Nie chciał wiedzieć, o czym gadał. Ani nawet nie chciał o tym myśleć.

Wielki Marsz trwał dalej.

Do dziewiątej godziny deszcz ustał, lecz niebo było bez gwiazd. Nikt nie odpadł. Abraham zaczął jęczeć niezrozumiale. Było bardzo zimno, ale nikt nie zaproponował mu niczego do ubrania. Garraty próbował myśleć, że jest w tym jakaś poetycka sprawiedliwość, ale zrobiło mu się od tego niedobrze. Mdłości, koszarne mdłości rosły w jego ciele jak zielony grzyb. Pas z koncentratami miał pełny, zdołał przełknąć jedynie zawartość małej tuby z tuńczykiem. Bał się, że jeśli spróbuje jeszcze czegoś, udławi się.

Baker, Abraham i McVries. Krąg przyjaciół zawężił się do tych trzech. I Stebbins, jeśli można go nazwać czymkolwiek—wiek przyjacielem. Raczej znajomy. Albo półbóg. Albo diabeł. Albo nie wiedzieć kto. Garraty zastanawiał się, czy ktoś z nich będzie maszerował po północy, jakby na pewno miał przeżyć, by się o tym przekonać.

Myśląc o takich sprawach, prawie wpadł w ciemnościach na Bakera, w którego dłoni coś zadźwięczało.

— Co robisz? — spytał Garraty.

— Hę? — Baker podniósł pozbawiony wyrazu wzrok.

— Co robisz? — powtórzył cierpliwie Garraty.

— Liczę drobne.

— Ile masz?

Baker uśmiechnął się, potrząsnął pieniędzmi w garści.

— Dolar i dwadzieścia dwa centy.

— Fortuna. Co zamierzasz z nią zrobić?

Baker z rozmarzeniem wpatrywał się w zimną ciemność.

— Kupię wielką — powiedział. Jego akcent południowca, to nosowe cedzenie słów, uwydatniło się znacznie. — Kupię taką wybitą ołowiem, wykładaną różowym jedwabiem i z białym satynowym zagłówkiem. — Zamrugał pustymi oczami, wypukłymi jak gałki u drzwi. — Nigdy nie zgniję, aż do Sądu Ostatecznego. Mego ciała nie chwyci się zgnilizna.

Garraty poczuł zgrozę.

— Baker, dostałeś świra?

— Zgadłeś. Wszyscyśmy ześwirowali, porywając się na to. Na zgniliznę nie poradzisz. Nie na tym świecie. Chyba że ołów...

— Jak się nie wezmiesz w kupę, umrzesz do rana. Baker skinął twierdząco głową. Skóra naciągnęła mu się na policzkach, wyglądał jak trup.

— Właśnie. Chciałem umrzeć. A ty nie? Przecież dlatego...

— Zamknij się! — wrzasnął Garraty. Znów dostał dreszczy.

Droga ostro pięła się w górę, nie można już było rozmawiać. Garraty pochylił się, zmarznięty i rozpalony, ból rozchodził mu się po kręgosłupie, ból rozchodził mu się po klatce piersiowej. Był

przekonany, że mięśnie zaraz odmówią dalszej pracy. Pomyślał o wykładanej ołowiem skrzyni Bakera, zapieczętowanej na mroczne tysiąclecia, i zastanawiał się, czy o niej będzie myślał w ostatniej chwili. Oby nie. Usilnie poszukiwał innych ścieżek rozmyślań.

Sporadycznie słyszało się wyszczechiwane upomnienia. Żołnierze na transporterze znów wzorowo sprawowali służbę; zabitego przez Parkera dyskretnie wymieniono. Tłum wiwatował monotownie. Garraty zastanawiał się, jak by to było — leżałby w największej, najbardziej zakurzonej bibliotecznej ciszy świata, śniąc długie, bezmyślne sny za sklejonymi powiekami, ubrany na wieczność w niedzielny garnitur. Żadnych zmartwień o pieniądze, sukcesów, lęków, radości, bólu, smutku, seksu czy miłości. Absolutna nicość. Zmarli są sierotami. Nie mają ojca, matki, dziewczyny, kochanki. Towarzyszy im tylko cisza, cisza jak skrzydełko ćmy. Koniec rozdzierającego bólu przy każdym ruchu, koniec długiego sennego koszmaru marszu drogą. Ciało w spokoju, w bezruchu. Cisza. Idealny mrok śmierci.

Jak by to było? No jak?

I nagle rozedrgane, cierpiące ponad wszelką wytrzymałość mięśnie, pot lejący się po twarzy, nawet sam ból — wydały się niezwykle słodkie i prawdziwe. Garraty przyłożył się bardziej. Przemęczył się do szczytu wzgórza i ciężko dysząc zszedł na dół.

O jedenastej czterdzieści kulkę zarobił Marty Wyman. Garraty zapomniał całkowicie o Wymanie, który przez ostatnią dobę nie odzywał się ani nie zrobił żadnego gestu. Nie umarł spektakularnie. Po prostu upadł i zastrzelono go. I ktoś szepnął, że to był Wyman. A ktoś inny szepnął: „Osiemdziesiąty trzeci, co nie?”. I to wszystko.

O północy znajdowali się tylko dwadzieścia dziewięć kilometrów od granicy New Hampshire. Minęli kino pod gołym niebem, wielki biały prostokąt w ciemności. Na ekranie wyświetlano slajd: KIEROWNICTWO KINA POZDRAWIA TEGOROCZNYCH UCZESTNIKÓW WIELKIEGO MARSZU! Dwadzieścia po północy rozpadało się i Abraham zaczął kaszleć — to był ten sam mokry, szarpany kaszel, jaki miał Scramm niewiele wcześniej, zanim wytasował się na wieczność. O pierwszej deszcz przeszedł w silną, równomierną ulewę, która kłuła Garraty'ego w oczy i sprawiła, że trząsał się jak w ataku febry. Wiatr wiał im w plecy.

O pierwszej piętnaście Bobby Sledge usiłował skryć się w tłumie pod osłoną ciemności i zacinającego deszczu. Podziurawiono go szybko i sprawnie. Garraty zastanawiał się, czy dokonał tego jasnowłosy żołnierz, który jemu niemalże wlepił czerwoną kartkę. Wiedział, że jasnowłosy ma służbę; wyraźnie dojrzał jego twarz w świetle punktowców kina. Całym sercem żałował, że to nie jego Parker wysłał do parku sztywnych.

Za dwadzieścia druga Baker upadł i uderzył głową o nawierzchnię drogi. Garraty bez namysłu ruszył ku niemu. Ktoś chwycił go silnie za ramię. McVries. Oczywiście McVries.

— Nie — powiedział. — Koniec z muszkieterstwem. Teraz na serio.

Poszli dalej.

Baker uzbierał trzy upomnienia, potem cisza przeciągała się w nieskończoność. Garraty czekał na strzały karabinowe, a kiedy się nie rozległy, sprawdził czas. Minęły cztery minuty. Niedługo potem Baker przemaszerował obok niego i McVriesa, nie patrząc na nikogo. Na czole miał brzydką krwawiącą ranę, ale patrzył trzeźwiej.

Tuż przed drugą przekroczyli granicę stanu New Hampshire pośród największego do tej pory pandemonium. Rozległy się wystrzały z armat. Sztuczne ognie wleciały w niebo, oświetlając masy ludzi, ustawione dokąd sięgał wzrok w szalonym rozgorączkowanym blasku. Współzawodniczące orkiestry dęte grały marsze wojskowe. Owacje przeszły w gromy. Fajerwerki wyrysowały na niebie ognistą twarz majora, tak że Garraty pomyślał tępo o Bogu. Po niej pokazało się oblicze wojskowego gubernatora stanu, człowieka znanego z tego, że dawno temu, w pięćdziesiątym trzecim, prawie w pojedynkę zaatakował niemiecką bazę nuklearną w Santiago. Stracił nogę w wyniku napromieniowania.

Garraty znów drzemał. Jego myśli były coraz bardziej nie—zborne. Pokraka D'Allesio kulił się pod bujanym fotelem ciotki Bakera, zwinięty w kłębek w malutkiej trumience. Miał ciało tłustego Kota z Cheshire. Szczerzył wszystkie zęby w uśmiechu. Między zezującymi zielonymi oczami, na futerku, widać było zaleczone ślady starej rany po piłce baseballowej, jak ślad po cechowaniu cielaka. I zaraz do czarnej nie oznakowanej furgonetki prowadzono ojca Garraty'ego. Jednym z prowadzących był jasnowłosy żołnierz. Ojciec miał na sobie tylko spodenki. Drugi żołnierz obejrzał się przez ramię i Garraty'emu przelotnie wydało się, że to major. Potem jednak dojrzał Stebbinsa. Wrócił spojrzaniem

do fotela i Kot z Cheshire z głową Pokraki znikł — tylko uśmiech wisiał w powietrzu pod fotelem jak księżyc przed nowiem albo wyjedzona łupina arbuza...

Karabiny znów strzelały, Boże, tym razem strzelały do niego, czuł podmuch pocisku, już po wszystkim, już po wszystkim...

Nagle obudził się i pobiegł dwa kroki, narażając się na błyskawice bólu od stóp aż po krocze, zanim zorientował się, że strzelano do kogoś innego i ten ktoś leży w deszczu martwy twarzą do drogi.

— Zdrowaś Mario — mruknął McVries.

— Łaskiś pełna — odezwał się zza ich pleców Stebbins. Skrócił dystans i uśmiechał się jak Kot z Cheshire. — Daj mi wygrać spluwę z drewna.

— Uspokój się — powiedział McVries. — Nie bądź taki hop—siup do przodu.

— Mój hop—siup nie wystaje bardziej w przód niż twój. McVries i Garraty roześmieli się niepewnie.

— No, może trochę — powiedział Stebbins.

— Gira góra, girą dół, zamknij gębę, boś nie muł — wy—skandował McVries. Przetarł drżąca dłonią twarz i maszerował dalej, wpatrzony prosto przed siebie, z ramionami jak złamany łuk.

Jeszcze jeden wytasował się do parku sztywnych przed trzecią — zastrzelony w deszczu i wietrznej ciemności, kiedy padł na kolana gdzieś nieopodal Portsmouth. Abraham, kaszlący bez ustanku, siedł w beznadziejnym blasku gorączki, jakby łunie śmierci, jasności, która nasuwała Garraty'emu wizję spadających meteorów. Niebawem miał spłonąć siejąc żar, zamiast wyżarzyć się od środka — tak był rozpalony.

Baker maszerował z nieugiętą ponurą determinacją, usiłując zatrzeć trzy upomnienia, zanim one zetną jego. Garraty ledwo go widział w zacinającym deszczu, kulejącego, z dłońmi przyciśniętymi do boków.

A McVries zapadał się w sobie. Garraty nie był pewien, kiedy się to zaczęło. W jednym momencie był silny (Garraty pamiętał uścisk palców McVriesa na swoim przedramieniu, kiedy Baker upadł), a teraz przypominał starca.

Stebbins się nie zmienił. Maszerował i maszerował jak buty Abrahama. Chyba nieco oszczędzał jedną nogę, ale Garraty'emu mogło się to wydawać.

Z pozostałych dziesięciu pięciu dało się wciągnąć w niezwykle nierealny świat, który odkrył Olson — jeden krok poza ból i zrozumienie tego, co ich czeka. Szli przez deszcz i ciemność jak wychudłe zjawy. Garraty nie lubił na nich patrzeć, byli maszerującymi trupami.

Tuż przed brzaskiem trzech spośród nich wytasowało się jednocześnie. Tłum zaryczał i czknął nowym entuzjazmem, kiedy ciała padły na ziemię jak wiązki chrustu. W oczach Garraty'ego wyglądało to na początek koszarnej reakcji łańcuchowej, która mogła dosięgnąć i wykończyć wszystkich. Ale ustała. Ustała na Abrahamie; sunął na klęczkach, oczy skierował na ślepo ku transporterowi i tłumowi w głębi, bezmyślne i pełne nieogarnionego bólu. Oczy owcy zaplątanej w ogrodzenie z drutu kolczastego. Potem padł na twarz. Ciężkie oksfordy dudniły w paroksyzmie o mokrą nawierzchnię, aż zastygły.

Niebawem rozpoczęła się deszczowa symfonia brzasku. Ostatni dzień Wielkiego Marszu wstał mokry i zachmurzony. Wiatr wył nad prawie pustą drogą jak zagubiony pies pędzony batami przez dziwną i straszliwą okolicę.

Część trzecia

Zajac

Rozdział siedemnasty

Matko! Matko! Matko! Matko!

wielebny Jim Jones w chwili apostazji

Koncentraty rozdano po raz piąty i ostatni. Teraz zrobił to jeden żołnierz. Zostało tylko dziewięciu zawodników. Niektórzy z nich tępo spoglądali na pasy, jakby nigdy nie widzieli niczego podobnego, i wypuszczali je z dłoni niczym śliskie węże. Garraty miał wrażenie, że potrzebował godziny na skomplikowany rytuał zapięcia pasa, a myśl o jedzeniu wzbudziła w odrętwiałym i skurczonym żołądku ból i mdłości.

Stebbins szedł teraz obok niego. Mój anioł stróż, pomyślał cierpko Garraty. Stebbins uśmiechnął się szeroko i wpakował sobie do ust dwa krakersy z masłem orzechowym. Mlaskał. Garraty'emu zrobiło się niedobrze.

— Co jest? — spytał Stebbins z pełnymi ustami. — Nie masz ochoty?

— Nie twój interes.

Stebbins przełknął — jak się wydawało Garraty'emu, z prawdziwym wysiłkiem.

— Nie mój. Jak zemdlejesz z niedożywienia, tym lepiej dla mnie.

— Coś mi się zdaje, że uda się nam dojść do Massachusetts — powiedział z obrzydzeniem McVries. Stebbins kiwnął twierdząco głową.

— Pierwszy Wielki Marsz od siedemnastu lat. Dostaną fioła.

— Skąd tyle wiesz o Wielkim Marszu? — nagle spytał Garraty.

Stebbins wzruszył ramionami.

— Wszystko jest w archiwach. Przecież nie mają się czego wstydzić, prawda?

— Co zrobisz, jak wygrasz? — spytał McVries.

Stebbins wybuchnął śmiechem. W deszczu jego chuda, zarośnięta twarz, pobrużdżona zmęczeniem, miała lwi wygląd.

— A co sobie wyobrażasz? Że kupię wielkiego złotciutkiego caddillaca z purpurowym dachem i kolorowy telewizor stereo do każdego pokoju w domu?

— Spodziewani się, że przeznacysz dwieście albo trzysta setek na Towarzystwo Intensyfikacji Okrucieństwa wobec Zwierząt.

— Abraham wyglądał jak owca — nagle powiedział Garraty. — Jak owca zaplątana w drut kolczasty. Tak sobie pomyślałem.

Przeszli pod wielkim transparentem głoszącym, że są tylko dwadzieścia pięć kilometrów od granicy stanu Massachusetts — droga numer jeden biegła przez New Hampshire wąskim paskiem ziemi oddzielającej Maine od Massachusetts.

— Garraty — powiedział miłym tonem Stebbins — wracaj do domu pokopulować z mamusią.

— Wybacz, naciskasz nie ten guzik, co trzeba. — Garraty z rozwagą wybrał z pasa baton czekoladowy i wsadził cały do ust. Przełknął. Żołądek zacisnął się wściekle, ale po chwili uspokoił. — Mogę maszerować jeszcze jakiś dzień albo dwa — rzucił zdawkowo — albo jeszcze dwa, jak będzie trzeba. Pogódź się z tym, Stebbins. Nie załatwisz mnie wojną psychologiczną. Zjedz sobie jeszcze krakersów.

Stebbins zesnurował ciasno usta — zaledwie na chwilę, ale Garraty to zauważył. Zalaźł Stebbinsowi za skórę. Poczul fałę niewiarygodnego uniesienia. Wreszcie trafił na złożę macierzyste.

— No, śmiało, Stebbins. Powiedz nam, dlaczego tu jesteś. Nie będziemy już długo razem.

Powiedz nam. Tak między nami trzema, teraz kiedy już wiemy, że nie jesteś Supermanem.

Stebbins otworzył usta i zwymiotował krakersy z masłem orzechowym. Zatoczył się i po raz drugi od startu został upomniany.

Garraty poczuł, jak gęsta krew łomoce mu w głowie.

— No, śmiało, Stebbins. Wyrzygałeś. Wyrzuc z siebie resztę. Opowiedz nam.

Twarz Stebbinsa miała kolor starej ścierki, ale odzyskał panowanie nad sobą.

— Dlaczego tu jestem? Chcecie wiedzieć?

McVries przyglądał mu się z ciekawością. Obok nie było nikogo; najbliższy był Baker, wlokący się na skraju tłumu, wpatrzony zawzięcie w jego zbiorową twarz.

— Dlaczego tu jestem, czy dlaczego jeszcze idę? Co chcecie wiedzieć?

— Chcę wiedzieć wszystko — powiedział Garraty. To była tylko prawda.

— Jestem zającem — powiedział Stebbins. Deszcz padał równo, kapał im z nosów, zwiślał kroplami na koniuszkach uszu jak kolczyki. W przedzie bosi chłopak, o stopach jak z purpurowego patchworku, upadł na kolana, czołgał się kiwając szaleńczo głową w górę i w dół, usiłował się podnieść, znowu upadł i wreszcie mu się udało podnieść na nogi. Pokuśtykał dalej.

To Pastor, zauważył z pewnym zdumieniem Garraty. Wciąż z nami.

— Jestem zającem — powtórzył Stebbins. — Widziałeś takiego szarego mechanicznego zająca, ściganego przez charty na gonitwach? Psom nigdy nie udaje się go złapać. Bo nie jest z ciała i krwi, jak one. Zając to figurka z dykty na kiju, podłączonego do kupki przekładni i kół zębatych. Za dawnych czasów, w Anglii, używano prawdziwego zająca, ale czasem psy go dopadały. Mechaniczny jest niezawodny. No i on mnie zrobił takim zającem.

Stebbins wpatrywał się bladoniebieskimi oczami w padający deszcz.

— Może nawet... rzucił na mnie czar. Pamiętacie Królika z „Alicji w krainie czarów”? To mój kuzyn. Ale masz rację, Garraty. Czas przestać być zającami, królikami, chrumkającymi świniami czy owcami i stać się ludźmi... nawet gdy stać nas tylko na to, by wznieść się do poziomu alfonsów i perwersów w lożach teatrów przy Czterdziestej Drugiej Ulicy.

W oczach Stebbinsa pojawiła się obłąkańcza wesołość. Garraty i McVries uciekli od jego spojrzenia. Stebbins zwariował. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Stebbins oszalał ze szczętem.

Jego cichy głos narastał do krzyku kaznodziei.

— Jakim cudem wiem tak dużo o Wielkim Marszu? Ja

wiem wszystko o Wielkim Marszu! Ja musiałem wiedzieć! Major jest moim ojcem, Garraty! On

jest moim ojcem!

Głos tłumu wzniósł się w owacji, szczytowej i bezsensownej. Przecież ludzie nie mogli słyszeć, co powiedział Stebbins. Huknęły karabiny. To z tego powodu wiwatował tłum. Huknęły karabiny i Pastor potoczył się martwy po drodze.

Garraty poczuł pełzający ruch w brzuchu i w mosznie.

— O mój Boże, to prawda? — McVries oblizął popękane wargi.

— To prawda — powiedział Stebbins niemal dobrotliwie. — Jestem jego bękartem. Nie wiedziałem, że on wie, że jestem jego synem. Na tym polegał mój błąd. Major to lubieżny stary skurwysyn. Pewnie ma bękartów na kopy. Chciałem cisnąć mu to w twarz... objawić to znieścacka światu. A kuku! A kiedy bym wygrał, w nagrodę chciałbym zostać zabrany do domu mojego ojca.

— Ale on wiedział wszystko? — szepnął McVries.

— Zrobił mnie swoim zającem. Szarym zajączkiem, który miał pociągnąć resztę sfory do szybszego biegu... i dłuższego. I chyba mu się udało. Niedługo dojdziemy do Massachusetts.

— A teraz? — spytał Garraty. Stebbins wzruszył ramionami.

— Jednak wychodzi na to, że zając jest z krwi i ciała. Maszeruję. Gadam. I podejrzewam, że jak się to wszystko szybko nie skończy, będę czołgał się na brzuchu jak gad.

Przechodzili pod grubymi przewodami elektrycznymi. Jacyś ludzie z rakami na butach przylgnęli do słupów jak wielkie modliszki.

— Która godzina? — spytał Stebbins. Wydawało się, że twarz rozplywa mu się w deszczu. Stała się twarzą Olsona, twarzą Abrahama, twarzą Barkovitcha... a potem, co straszliwe, twarzą Garraty'ego, wyzbytą nadziei, wyczerpaną, zapadniętą, twarzą zgniłego stracha na wróble na pustym ściernisku.

— Za dwadzieścia dziesiąta — odpowiedział McVries. Uśmiechnął się upiorną imitacją swojego starego cynicznego uśmiechu. — Szczęśliwego piątego dnia, frajerzy.

Stebbins skinął głową.

— Deszcz będzie padać cały dzień, Garraty?

— Tak mi się zdaje. Na to wygląda. Stebbins pokiwał twierdząco głową.

— Mnie się też tak zdaje.

— No, to powodzenia w deszczu — nagle powiedział McVries.

— W porządku. Dzięki.

Pomaszerowali dalej, jakoś w nogę, chociaż bóle, które nimi targały, powykrzywiały wszystkich trzech, każdego inaczej.

Kiedy weszli do Massachusetts, było ich siedmiu: Gar—raty, Baker, McVries, ledwo wlokący się szkielet George Fiedler, Bill Hough („wymawia się Huf, powiedział dużo wcześniej Garraty'emu), wysoki, muskularny Mulligan, który jeszcze chyba nie był w poważnych opałach, i Stebbins.

Nadęte ogłuszające ceremonie powitalne na granicy z wolna wygasły w tyle. Deszcz wciąż lał, stały i monotony. Wiatr wiał i szarpał z całym młodym, nieświadomym okrucieństwem wiosny. Zrywał ludziom w tłumie czapki i ciskał nimi gwałtownie, krótkimi łukami po rozbielonym niebie. Wyglądały wtedy jak spodki.

Tuż wcześniej — niedługo po wyznaniu Stebbinsa — Gar—raty doznał dziwnego uniesienia, przypływu sił. Stopy jakby przypomniały sobie dawną sprawność. Oślepiające bóle w plecach i karku zastygły, zmarły. Można by to porównać do wspinaczki po nagiej ścianie skalnej i wyjścia na szczyt — z ruchomych mgieł i chmur na zimne światło słońca i przenikliwe rozrzedzone powietrze... skąd można iść tylko w dół. Albo sfrunąć.

Transporter był nieco przed nimi. Garraty spoglądał na jasnowłosego żołnierza skulonego pod płóciennym parasolem. Usiłował wsączyć w niego swój ból, przesiąkniętą deszczem rozpacz i nędzę. Tamten odpowiadał mu obojętnym spojrzeniem.

Baker silnie krwawił z nosa. Krew pomalowała mu policzki i kapała ze szczęki.

— Niedługo umrze, no nie? — powiedział Stebbins.

— Pewnie — odparł McVries. — Wszyscy umierają.

Mocny powiew wiatru plunął w nich deszczem i McVries zachwiał się na nogach. Dostał upomnienie. Tłum wiwatował. Ale przynajmniej było mniej fajerwerków. Deszcz ukrócił te radosne wygłupy.

Minęli wielki zakręt i Garraty poczuł, jak serce zamiera mu w piersiach. Usłyszał niewyraźne

mruczenie Mulligana:

— Dobry Boże!

Szosa biegła między dwoma wzgórzami. Przypominała rowek między sterczącymi piersiami. Wzgórza czerniły się od ludzi. Ludzie wznosili się nad zawodnikami jak żywe ściany wielkiego mrocznego bagna.

George Fielder nagle ożył. Powoli kręcił głową, przypominającą nagą czaszkę na kiju.

— Zaraz nas zjedzą — mamrotał. — Rzucą się na nas i zjedzą.

— Nie sędzę — powiedział krótko Stebbins. — Nigdy nie było przypadku...

— Zaraz nas zjedzą! Zjedzą nas! Zjedzą nas! Zjedzą! Zjedzą! Zjedzą nas, zjedzą...

George Fielder biegał po wielkim, nierównym okręgu, wymachując dziko rękami. Z oczu biła mu groza dzikiego zwierzęcia zagonionego w kąt. Garraty miał wrażenie, że ogląda jakąś grę wideo, która dostała bzika.

— Zjedzą nas, zjedzą nas, zjedzą nas, zjedzą...

Darł się piskliwie co tchu w piersiach, ale Garraty ledwo go słyszał. Fale hałasu waliły w nich z góry jak młot kowalski. Garraty nawet nie usłyszał strzałów, kiedy załatwiono Fieldera; tylko prymitywny wrzask tłumu. Fielder wymachiwał bez umiaru przydługimi kończynami, odtańczył całkiem wdzięczną rumbę na środku drogi, tupiąc nogami, rzucając torsem, miotając barkami. Potem, najwyraźniej zbyt zmęczony, aby dalej tańczyć, siadł rozłożywszy szeroko nogi i umarł w tej pozycji, siedząc prosto, z głową opuszczoną na piersi, jak zmęczony chłopczyk przyłapany przez piaskuna podczas zabawy.

— Garraty — powiedział Baker. — Garraty, ja krwawię. Wzgórza były teraz za nimi i Garraty go usłyszał.

— Widzę — powiedział. Musiał bardzo się starać, żeby mówić spokojnie. Coś w środku Arta Bakera mocno krwawiło. Krew tryskała mu z nosa. Policzki, szyję i kołnierzyk koszuli miał całe czerwone.

— To nic groźnego, co? — Baker płakał ze strachu.

— Nie, niezbyt groźne.

— Deszcz wydaje się taki ciepły... ale wiem, że to tylko deszcz. To tylko deszcz, prawda, Garraty?

— Prawda — odrzekł słabo Garraty.

— Żeby tak miał trochę lodu na okład — powiedział Baker i odszedł. Garraty odprowadził go wzrokiem.

Bill Hough („wymawia się Huf) dostał czerwoną kartkę za kwadrans jedenasta, a Milligan o wpół do dwunastej, tuż po tym, jak mistrzowie akrobacji powietrznej, Flying Deuces, przemknęli nad nimi w sześciu niebieskich F—111. Garraty spodziewał się, że Baker umrze najwcześniej, ale trzymał się, chociaż koszulę na piersi miał czerwoną od krwi.

W głowie Garraty'ego dudnił jazz. Dave Brubeck, Thelo—nius Monk, Cannonball Adderly — hałaśliwa banda, którą każdy trzymał w szufladzie i puszczał, kiedy prywatka utonęła w wódzie i wrzawie.

Może kiedyś był kochany, może kiedyś sam kochał. Ale teraz był tylko hałas i rosnące dudnienie w jego głowie. Matka stała się tylko wypchanym strachem na wróble w sztucznym futrze, Jan — tylko manekinem sklepowym. Było po wszystkim. Nawet gdyby wygrał, nawet gdyby udało mu się przetrzymać McVriesa, Stebbinsa i Bakera, było po wszystkim. Już nigdy nie wróci do domu.

Zaczął popłakiwać. Oczy zaszyły mu mgłą, nogi się zaplątały i upadł. Nawierzchnia drogi była twarda, zimna i niewiarygodnie zachęcająca do odpoczynku. Został dwukrotnie upomniany, zanim udało mu się pozbierać, po całej serii pijackich niezbornych ruchów. Znów zapędził nogi do pracy. Puścił baka — długi sterylny warkot, któremu daleko było do serdecznego pierdnięcia.

Baker wędrował zygzakami jak pijany. McVries i Steb—bins szli razem. Garraty nagle był bardzo pewny, że knują jego śmieć, tak jak Barkovitch zabił kiedyś Ranka.

Zmusił się do szybszego marszu, dogonił ich. Bez słowa zrobili mu miejsce. (Przestaliście rozmawiać o mnie, no nie? Ale rozmawialiście. Myślicie, że nie wiem? Myślicie, że zwariowałem?). Poczł się lepiej. Chciał być z nimi, zostać z nimi, dopóki nie umrze.

Minęli tablicę, która w tępo zdumionych oczach Garraty'ego wyrażała nieprawdopodobne wariactwo wszechświata, grzmiący śmiech sfer niebieskich, a napis na niej głosił: 78 KILOMETRÓW DO BOSTONU! MOŻECIE DOJŚĆ! Gdyby mógł, zawyłby ze śmiechu. Boston! Sam dźwięk tego

słowa był mityczny, niewiarygodny.

Baker znów znalazł się obok niego.

— Garraty...?

— Co?

— Jesteś za?

— Hę?

— Za. Czy jesteś za? Garraty, proszę.

Oczy Bakera błagały. Był otwartą raną, żywą krwią.

— No. Jestem za. Jestem za, Art. — Nie miał pojęcia, o czym Baker mówi.

— Teraz umrę, Garraty.

— W porządku.

— Jak wygrasz, zrobisz coś dla mnie? Boję się poprosić kogoś innego. — I Baker szerokim gestem objął pustą drogę, jakby była nadal pełna zawodników. Przez paralizującą chwilę Garraty zastanawiał się, czy może oni wszyscy nadal tam są, maszerujące upiory, które Baker potrafi dojrzeć w tym momencie.

— Zrobię wszystko.

Baker położył mu dłoń na ramieniu. Garraty nie wytrzymał, wybuchnął płaczem. Myślał, że serce wyskoczy mu z piersi i będzie płakało własnymi łzami.

— Wyłożoną ołowiem — powiedział Baker.

— Przejdź jeszcze trochę — mówił Garraty przez łzy. — Jeszcze trochę, Art.

— Nie... nie mogę.

— W porządku.

— Może się jeszcze kiedyś zobaczymy, kolego — powiedział Baker i z roztargnieniem otarł krew z policzka, Garraty opuścił głowę i płakał.

— Obiecuj mi, że nie będziesz patrzył — poprosił Baker. Garraty tylko skinął głową.

— Dzięki. Byłeś moim przyjacielem, Garraty. — Baker próbował się uśmiechnąć. Na ślepo wyciągnął rękę i Garraty nią potrząsnął.

— O innym czasie, w innym miejscu — powiedział Baker.

Garraty ukrył twarz w dłoniach. Krztusił się rwanym szlochem, wywołującym ból daleko większy niż wszystko, co mógł spowodować Wielki Marsz.

Miał nadzieję, że nie usłyszy strzałów. Ale usłyszał.

Rozdział osiemnasty

Ogłaszam tegoroczny Wielki Marsz za zakończony. Panie i panowie... obywatele... oto zwycięzca!

Major

Byli sześćdziesiąt cztery kilometry od Bostonu.

— Opowiedz nam jakąś historyjkę, Garraty — niespodziewanie odezwał się Stebbins. — Opowiedz nam historyjkę, która pozwoli nam zapomnieć o kłopotach. — Postarzał się niewiarygodnie; Stebbins był starcem.

— Tak — poparł go McVries. On także wyglądał na zaszuszonego staruszka. — Opowiastkę, Garraty.

Garraty spojrział tępo to na jednego, to na drugiego, ale nie ujrzał żadnej kpiny, jedynie sięgające szpiku kości znużenie. Opadał z sił; wszystkie wredne, zadawnione bóle powracały z pośpiechem.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, świat podwoił się i dopiero po dłuższej chwili z oporami stopił w jedno.

— Dobra — rzekł.

McVries z powagą klasnął trzy razy w dłoń. Szedł z trzema upomnieniami, Garraty miał jedno,

Stebbins żadnego.

— Kiedyś, bardzo dawno temu...

— Nie chcę służyć pieprzonej bajeczki — przerwał Stebbins.

McVries zachichotał.

— Jeszcze się wam spodoba! — powiedział chytrze Garraty. — Słuchajcie!

Stebbins wpadł na Garraty'ego. Jeden i drugi dostali upomnienie.

— Lepsza bajka niż nic — dodał Garraty. — Zresztą to nie bajka. Chociaż dzieje się w nieistniejącym świecie, to nie znaczy, że jest bajką. Nie mam na myśli...

— Opowiadaj! — rozkazał kapryśnym tonem McVries.

— Dawno, dawno temu — zaczął Garraty — był sobie Biały Rycerz, który wyruszył w świat na Świętą Wyprawę. Opuścił swój zamek i szedł przez Zaczarowany Las...

— Rycerze jeżdżą konno — zaprotestował Stebbins.

— W takim razie jechał konno przez Zaczarowany Las. Jechał. I miał wiele dziwnych przygód. Pokonał tysiące trollów i goblinów, i masę wilków. Może być? Wreszcie dotarł do królewskiego zamku i spytał, czy może zabrać Gwendoline, Przeczystą Panią, na długi spacer za mury zamku.

McVries zarechotał.

— Król nie chciał pozwolić — ciągnął Garraty — bo wyobrażał sobie, że nikt nie jest odpowiedni dla jego córki Gwen, sławnej na cały świat Przeczystej Pani, ale Przeczysta Pani kochała Białego Rycerza tak bardzo, że zagroziła ucieczką do Dzikiej Kniei, jeśli... jeśli... — Zakreśliło mu się w głowie, poczuł się tak, jakby leciał w powietrzu. Ryk tłumu docierał do niego jak huk morza w głębi długiego stożkowatego tunelu. Wreszcie zawroty głowy minęły, ale powoli.

Rozejrzał się. McVries spał. Szedł prosto w tłum.

— Hej! — krzyknął Garraty. — Hej, Pete!

— Zostaw go w spokoju — rzekł Stebbins. — Dałeś słowo.

— Odpieprz się — powiedział głośno i wyraźnie Garraty. Pobiegł do McVriesa. Położył mu dłoń na ramieniu. McVries ocknął się, popatrzył na niego sennie, z uśmiechem.

— Nie, Ray. Czas usiąść.

Groza tłukła się w piersi Garraty'ego.

— Nie! Nie ma mowy!

McVries patrzył na niego przez chwilę, a potem uśmiechnął się znów i potrząsnął głową. Siadł na drodze, krzyżując nogi. Wyglądał jak mnich, który zaznał wszystkich cierpień tego świata. Szrama na jego policzku bieląca w deszczowej szarości.

— Nie! — krzyknął przeraźliwie Garraty.

Usiłował podnieść McVriesa, lecz był na to o wiele za słaby. McVries nawet na niego nie spojrział. Oczy miał zamknięte. Nagle dwaj żołnierze odciągnęli McVriesa, wyrwali go Garraty'emu z rąk. Przystawili McVriesowi do głowy lufy karabinów.

— Nie! — krzyknął znów Garraty. — Mnie! Mnie! Zastrzelcie mnie!

Ale zamiast go zastrzelić, jedynie wlepili mu trzecie upomnienie.

McVries otworzył oczy i znów się uśmiechnął. Po chwili już nie żył.

Garraty szedł teraz nieświadomie. Gapił się bezmyślnie na Stebbinsa, który odpowiadał mu spojrzeniem pełnym ciekawości. Garraty'ego przepełniała dziwna huczająca pustka.

— Skończ bajkę — powiedział Stebbins. — Skończ bajkę, Garraty.

— Nie.

— Co się przejmujesz. — Stebbins uśmiechnął się z wyższością. — Jeśli istnieje coś takiego jak dusza, McVries wciąż jest blisko. Usłyszysz.

Garraty popatrzył na Stebbinsa i powiedział:

— Wdepczę cię w ziemię.

Och, Pete, pomyślał. Zabrakło mi łez, nie mogę płakać.

— Czyżby? — powiedział Stebbins. — Przekonamy się.

Do ósmej wieczorem przeszli Danvers i Garraty wreszcie był pewny. Już po wszystkim, Stebbins jest nie do pokonania.

Zbyt wiele czasu poświęcił na myślenie. McVries, Baker, Abraham... oni nie myśleli, oni to po prostu zrobili. Jakby to było naturalne. I to było naturalne. W pewien sposób to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Wlókł się przed siebie, wytrzeszczając oczy, rozdziawiając usta, łapiąc w nie krople deszczu.

Miał zamgloną, krótką jak trzask migawki wizję kogoś znajomego, znajomego mu równie dobrze jak on sam, łkającego i zapraszającego go dalej w mrok. Ale nie mógł tam iść.

Powie to Stebbinsowi, który idzie przed nim, utyka wyraźnie i wygląda na wycieńczonego.

Garraty był bardzo zmęczony, ale już się nie bał. Był spokojny. Jakoś zdołał przyspieszyć i położył dłoń na ramieniu Stebbinsa.

— Słuchaj... — powiedział.

Stebbins obejrzał się i popatrzył na Garraty'ego wielkimi wodnistymi oczami, które przez chwilę nie widziały niczego. Potem go poznał, złapał za koszulę i rozdarł ją od góry do dołu. Tłum krzyknął gniewnie, uznając to za zaczepkę, ale tylko Garraty był dość blisko, by ujrzeć grozę w oczach Stebbinsa, i tylko Garraty wiedział, że gest Stebbinsa był ostatnią rozpaczliwą próbą ratunku.

— Och, Garraty! — krzyknął Stebbins i upadł.

Teraz ryk tłumu był apokaliptyczny. Był to ryk, z jakim padają góry i ziemia pęka. Ten ryk zmiażdżyłby Garraty'ego, gdyby Garraty go słyszał. Ale on słyszał jedynie swój głos.

— Stebbins? — zapytał z ciekawością. Udało mu się odwrócić go na plecy. Z oczu Stebbinsa zniknęła już rozpacz. Głowa stoczyła mu się bezwładnie na ramię.

Garraty przyłożył mu stuloną dłoń do ust.

— Stebbins? — powtórzył.

Ale Stebbins nie żył.

Garraty przestał się nim interesować. Wstał i poszedł. Teraz owacje wypełniły ziemię, a ognie sztuczne — niebo. Z oddali ruszył ku niemu z rykiem dżip.

Żadnych pojazdów na drodze, ty głupcze. To przestępstwo karane śmiercią, mogą cię za to zastrzelić.

Major stał w dżipie. Salutował wyprężony na baczność; gotów spełnić pierwsze życzenie, każde życzenie, byle życzenie. Wręczyć nagrodę.

Z tyłu wykończyli kulami już nieżywego Stebbinsa i teraz był tylko on, sam na drodze, maszerujący tam, gdzie dżip zatrzymał się prostopadle do białej linii. Major wysiadł, zbliżał się do niego, z twarzą uprzejmą i nieprzeniknioną za lustrzanymi okularami.

Garraty zboczył. Nie był sam. Czarna postać wróciła, w przedzie, niedaleko; przyzywała go gestem. Którego nie wdeptał w ziemię? Barkovitcha? Colliego Parkera? Percy'ego jak mu tam? Kto to?

— Garraty!!! — ryczał tłum w delirium. — Garraty, Garraty, Garraty!!!

Czy to Scramm? Gribble? Davidson?

Poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Stracił ją niecierpliwie. Ciemna postać przyzywała go, przyzywała go w deszczu, przyzywała go, by stawił się i wszedł do gry. Czas na start. Długa droga czeka nadal.

Na ślepo, z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, jakby prosił o jałmużnę, Garraty szedł ku ciemnej postaci.

A kiedy znów poczuł czyjaś dłoń na ramieniu, znalazł w sobie dosyć siły i pobiegł.